

ANGELA CARTER

MARIANNA I BARBARZYŃCY

CZYTELNIK





Angela Carter (ur. 1940), autorka wysoko ceniona w Wielkiej Brytanii, należy do pisarzy, którzy kreują własny, niepowtarzalny świat. Odnacza się niezwykłą, bogatą wyobraźnią i chętniej niż większość jej rodaków odwołuje się do mitów i archetypów ogólnoeuropejskich, szczególnie z kręgu kultury francuskiej i niemieckiej. Nie stroni też od elementów fantastyczno-naukowych. Do najważniejszych utworów Angeli Carter należą: zbiory opowiadań *The Bloody Chamber* (1979) i *Black Venus* (1985) oraz powieść *Nights at the Circus* (1984).

Marianna i Barbarzyńcy to opowieść z pogranicza literatury fantastyczno-naukowej i utopijnej baśni. Akcja rozgrywa się w zdeformowanym, groteskowym i tajemniczym świecie, który ocalał po katastrofie, prawdopodobnie nuklearnej. Ziemię, opanowaną znów przez dziewiczą puszcze, zamieszkują wrogie sobie społeczności: Profesorowie, próbujący ocalić dawne wartości kulturowe i intelektualne, oraz Barbarzyńcy, plemię koczowników, kierujących się własnymi, często brutalnymi prawami. Marianna, córka Profesora, buntując się przeciwko skostniałej cywilizacji swojej kasty, ucieka do Barbarzyńców, gdzie odnajduje miłość...

Angela CARTER

MARIANNA i BARBARZYŃCY

Przełożyła Ewa Życieńska

Czytelnik • Warszawa 1988

Tytuł oryginału angielskiego Heroes and Villains

Copyright © Angela Carter 1969

Okladkę i kartę tytułową projektował Władysław Brykczyński

Fotografię na okładce wykonała Tara Heinemann

© Tara Heinemann 1986

© Copyright for the Polish edition by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa, 1988
„Czytelnik”, Warszawa 1981. Wydanie I

Nakład 20 S20 egz. Ark. wyd. 9,9; ark. druk. 9,1/Aj.

Papier offset, ki. IV, 71 g, 70X100 cm.

Zakłady Graficzne w Toruniu.

Zam. wyd. 421; druk. 2292. U-64.

Printed In Poland

ISBN 83-07-01827-7

1

Marianna miała przenikliwe, zimne spojrzenie i złośliwy charakter, ale ojciec ją kochał. Był Profesorem Historii. Do niego należał zegar, który każdego ranka nakręcał i trzymał w jadalni na kredensie pełnym resztek nierdzewnych sztućców i półmisek. O zegarze Marianna myślała jak o ulubionym zwierzątku ojca, czymś takim, jak jej własny ukochany królik, mimo że królik prędko zdechł i oddano go Profesorowi Biologii do wypatroszenia, a zegar tajemniczo tykał dalej. Dlatego też doszła do wniosku, że zegar na pewno jest nieśmiertelny. Ale nie zrobiło to na niej wrażenia. Marianna siedziała przy stole i jadła. Przyglądała się beznamiętnie, jak wskazówki zegara obiegają koło, wcale jednak nie czuła mijania czasu, czas bowiem trwał wokół niej zastygły w odosobnieniu, w którym wszystko ogarniał sielski spokój, a pilny zegar wykrawał godziny, jakby rzeźbił je w lodzie.

Marianna mieszkała w białej żelbetowej wieży. Wyglądała przez okno i, jesienią, widziała wzgórze płonące kukurydzą i sady, w których drzewa trzeszczały pod ciężarem rumianych jabłek. Wiosną pola rozwijały się jak różnokolorowe flagi, najpierw brunatne, potem zielone. Za polem uprawnym nie było już nic, tylko mokradła, nieciekawe kamienne rumowisko i tu i ówdzie daleka zapowiedź

wszegogarniającej puszczy, która, jak się czasem wydawało w burzliwe noce późnego września, groźnie osaczała małą wspólnotę, choć mieszkańcy osiedla dotrzymywali na ogół milczącej umowy i wcale jej nie dostrzegali.

Wieża Marianny była jednym z żelbetowych bloków, które przetrwały wybuch i teraz mieściły koszary, muzeum i szkołę, stercząc wzdłuż kilku szerokich ulic wśród pudełkowatych drewnianych domów, stajen i warzywnych ogrodów. Wspólnota uprawiała kukurydzę, len, jarzyny i owoce. Hodowała bydło dla mięsa i mleka, poza tym owce na wełnę i kury ze względu na jajka. W zakresie najprostszych potrzeb była samowystarczalna, a rolnicze nadwyżki eksportowała, dostając za nie medykamenty, książki, amunicję, części wymienne do maszyn, broń i narzędzia. Dźwiękami dzieciństwa Marianny były głosy zwierząt, skrzypienie wozów, pianie kogutów i trąbki żołnierzy ćwiczących w koszarach. W lutym i marcu nad świeżo zaoranymi polami dolatywały znad morza zawodzące wichury, ale samego morza Marianna nigdy nie widziała.

Nie wolno jej było oddalać się od wspólnoty poza zewnętrzną drucianą siatkę. Owce czasami zapuszczały się dalej, przeskakując przez porośnięte wrzoścem kurhany usypane nad opuszczonymi osiedlami, i bywało, że wyprawiał się za nimi któryś z pasterzy, ale wyruszał niechętnie i uzbrojony po zęby. Żołnierze prowadzący ciężarówkę wyładowane produktami trzymali się dróg, mimo to jednak od czasu do czasu na konwoje napadali Barbarzyńcy i wybijali żołnierzy do nogi.

— Jeżeli nie będziesz grzeczna, zjedzą cię Barbarzyńcy — powiedziała niania Marianny, Robotnica mająca po sześć placów u każdej dłoni, co intrygowało Mariannę, która sama miała ich tylko po pięć.

— Dlaczego? — zapytała Marianna.

— Bo Barbarzyńcy są tacy — wyjaśniła niania. — Oblepiają małe dziewczynki gliną, jak jeże, oblepiają je gliną, pieką na ogniu i pożerają posypane solą. Przepadają za mięciutkimi dziewczynkami.

— To ja będę dla nich za twarda — wojowniczo stwierdziła Marianna. Ale wiedziała, że ta kobieta wierzy w to, co mówi, i sama nie miała pewności, że to nieprawda. Pomyślała, że przybycie Barbarzyńców byłoby przynajmniej swego rodzaju urozmaiceniem. Dzieci bawiły się w Żołnierzy i Barbarzyńców. Robiły z palców pistolety i zabiły się nawzajem, ale zawsze zwyciężali Żołnierze. Takie były reguły gry.

— Żołnierze to bohaterowie, a Barbarzyńcy są źli — oznajmił zaczepnie syn Profesora Matematyki. — Ja jestem Bohaterem. Zastrzelę cię.

— O nie, nie zastrzelisz — odpowiedziała Marianna wykrzywiając się odstrasząco. — Ja się nie bawię.

Jej wuj był pułkownikiem. Miał ochrypły, donośny głos i Marianna go nie lubiła. Brat był kadetem. Matka bardziej kochała brata. Marianna podstawiała nogę synowi Profesora Matematyki i zostawiła go rozciągniętego na ziemi i ryczącego, czego reguły zabawy nie przewidywały. Inne dzieci bardzo szybko przestały ją wciągać do swoich zabaw, ale nie dbała o to. Była dzieckiem chudym i kancystym. Znaczyła swoim imieniem wszystko, co posiadała, nawet szczoteczkę do zębów, i nigdy nic nie zgubiła.

Za drucianą siatką otaczającą granice ziemi uprawnej stały w pewnych odstępach wieże strażnicze, z karabinami maszynowymi na stojakach. Wysoki płot zwieńczony drutem kolczastym otaczał też samo osiedle. Jedynym przejściem w tym płocie była wielka drewniana brama, przy której stała warta. Kiedy Barbarzyńcy napadali na

wspólnotę, broniła się ona wewnątrz osiedlowego płotu, Barbarzyńcy bowiem, żeby się dostać do osiedla, musieli szturmować bramę. Marianna po raz pierwszy zobaczyła Barbarzyńców, kiedy miała sześć lat.

Zdarzyło się to podczas majowego święta. W Dzień Maja odbywał się piknik, grała muzyka, a Żołnierze urządzili imponującą defiladę i pokaz musztry. Ojciec Marianny, człowiek łagodny, z natury pogrążony w melancholii, pozostał w gabinecie wśród swoich ukochanych książek, gdyż taki był jego przywilej, ale jej matka, inne Żony Profesorów z wieży i Robotnicy mieli wiele zajęć. Przygotowywano pożywne potrawy i prasowano najlepsze ubrania. Marianny wszędzie było pełno, wszystkim przeszkadzała i wszystkich zamęczała, ukradkiem wyjadając kawałki surowego ciasta i z ciekawości wyładowując na różne sposoby swoją złośliwość, aż wreszcie niania groźnie zapowiedziała:

— Ja się nią zajmę.

Zgarnęła Mariannę pod ramię i zaniosiła ją do wysokiego, przez nikogo nie używanego pokoju. Okno wychodziło na żelazny, biało pomalowany balkonik. Niania miała klucz i zamknęła za Marianną drzwi, dorzucając przez dziurkę od klucza:

— Tu zostaniesz, dopóki po ciebie nie przyjdę.

Marianna, przemocą przeniesiona z kuchennej krzątaniny, całkiem straciła ducha. Usiadła na gołych deskach pośrodku podłogi i rozejrzała się. Jakieś pnącze jak wąż wspięło się przez otwarte okno. W puszczy żyły wszelkiego rodzaju węże, kilka gatunków jadowitych, których dawniej nie było. Marianna nie bała się, kiedy ją zostawiono samą, tylko wpadła w gniew. Wyszła na balkon, który zatrzeszczał pod jej stopami. Poprzez żelazne pręty wyjrzała na osiedle. Z tej wysokości wyglądało jak pomniejszone, bardzo schludne i kolorowe,

niby miejsce, w którym wszyscy są szczęśliwi. Sady drżały od kwiecica. Pola były jasnozielone, z jeżynowych zarośli sterczały jeszcze z rzadka stalowe iglice pochylone łukiem do ziemi jak odbarwione tęcze, a trędowne wiadukty pokryte purpurowym krwawnikiem zjeżdżały ku wciąż nie odkrytemu jądro wypalanej na popiół ziemi pośród ruin. Na skraju horyzontu rozciągała się nieodgadniona puszcza.

Marianna znalazła w kieszeni kawałek biskwita i zjadła go. Ubrana była w kraciatą spódniczkę i brązowy sweter. Miała długie jasne warkocze. Psuła przedmioty, żeby sprawdzić, co mają w środku. Jej brat miał szesnaście lat, był o dziesięć lat starszy od niej. Niania powiedziała: — Powinnaś kochać brata — a Marianna zapytała: — Dlaczego? — Teraz została sama i zapomniana wysoko na wieży w taki piękny dzień. Kiedy skończyła biskwita, nadal była głodna i w braku czego innego żuła koniec warkocza.

Patrzyła, jak wychodzi oddział Żołnierzy poprzedzony małą wojskową orkiestrą, która grała marszową wiązanekę. Wszyscy byli w czarnych skórzanych mundurach i plastikowych hełmach z przezroczystymi przyłbicami. Nieśli przerzucone przez plecy karabiny. Zebrała się cała wspólnota, żeby na nich popatrzeć. Marianna dojrzała w tłumie matkę i nianię, a wśród Żołnierzy brata. Wszyscy byli schludni i godni, spódnice i suknie białe jak papier, ubrania mężczyzn czarne jak atrament. Marianna nudziła się. Jakiś ptak przyleciał i usiadł na balkonie. Była to mewa. Przekrzywiła główkę i obrzuciła ją cynicznym spojrzeniem.

— Cześć, ptaku — powiedziała Marianna. — Z daleka lecisz? Nie widziałeś gdzie Barbarzyńców?

Lubiła dzikie brzmienie tego słowa: Barbarzyńcy.

Następnie, spojrzawszy poza płot, dostrzegła na polu za nim ledwie dostrzegalne poruszenie. Nie był to wiatr w młodej kukurydzy, a jeżeli to był wiatr w młodej kukurydzy, przyniósł jej ochryple rżenie konia. Mimo że za wcześnie było na maki, dostrzegła błysk szkarłatu. Przestała się przyglądać Żołnierzom, tylko śledziła, jak ten ruch pod pływa do desek płotu, przedziera się przez nie i przez młodą pszenicę. Wypadając z zarośli pojawili się jadący szeregiem jeźdźcy i napełnili powietrze straszliwymi wrzaskami. Ubrani byli w zwierzęce skóry i jaskrawe łachmany. Żeby się przedostać, już wcześniej zadusili wartownika na wieży strażniczej, a Żołnierze w wartowni grali w karty, nie dostrzegli więc na czas przybyłych. Dwóch żołnierzy, płacąc życiem za brak dyscypliny, padło od strzałów. A potem wszystko ogarnął chaos

Ten motłoch przybywał rabować, kraść, łupić, gwałcić i, jeżeli to było konieczne, zabijać. Jak zmory z sennego koszmaru, ciała mieli różnokolorowe, a na plecach powiewały im bujne grzywy włosów. Błyskały dziwacznie powycinane arkusze metalu wygrzebanego z ruin. Konie najeźdźców przystrojono przedziwnymi szmatami, a do ich grzyw i ogonów pouczepiane były noże, dzwonki, i łańcuszki, tak że koń razem z jeźdźcem, jak piekielny centaur unurzany w farbie, wydawał się dwakroć większy od zwyczajnego. Strzelali z długich strzelb. Na widok tych nocnych straszydeł w rzeźkich godzinach poranka tłum łagodnych ludzi rozpierzchnął się z krzykiem.

Oszołomiona Marianna ujrzała krew, jak przy szlachtowaniu zwierząt, ale kiedy podniosła oczy z pola walki, na osiedlowej łące dostrzegła drugi oddział Barbarzyńców (aż kolczastych od noży, ale dużo mniej jaskrawo pomalowanych), którzy nie zwracając na siebie uwagi przeskoczyli przez siatkę i teraz, kiedy wojownicy byli zajęci,

spokojnie zajmowali się wynoszeniem worków z mąką, brył masła i bel sukna, przez nikogo nie powstrzymywani. Wchodzili do domów i wychodzili z nich, od czasu do czasu groźnie zamierzając się nożem, i wtedy zauważyła, że niektóre z Robotnic jakby im pomagały. Marianna pomyślała, że to bardzo interesujące.

Żołnierze i Barbarzyńcy walczyli wręcz. Tu i tam miały się konie bez jeźdźców, kwicząc. Do Marianny dochodził huk wystrzałów i krzyki, a ona słuchała w zapamiętaniu. Jakiś Barbarzyńca w hełmie z piór przybranym jelenim porożem pojawił się jak zwariowany wschód słońca na płaskim dachu muzeum. Trzymał nóż w zębach i już miał skoczyć w kłębiący się tłum, kiedy kula trafiła go w oczy. Nóż wypadł z jego wąskich warg. W świetle poranka zatoczył wielki łuk, zanim runął na ziemię i mózg wytrysnął mu z czaszki. Był to pierwszy umierający człowiek, jakiego Marianna widziała. Drugim był jej brat.

Tarzał się po ziemi z obdartym barbarzyńskim chłopakiem uzbrojonym w nóż. Miotali się i szarpali, kłaczki futra zasłaniały im twarze, a nóż bez ustanku błyskał w słońcu. Oddalili się trochę od głównego pola walki, jak gdyby specjalnie przyszli pod platformę widokową Marianny, żeby jej zademonstrować przemoc. Czarne kędziory i war-koczyki barbarzyńskiego chłopca raz ich zasłaniały, raz odsłaniały, ale dojrzała, że obaj nie spuszczają z siebie oka, obaj dziwnie zaskoczeni, jak gdyby ten śmiertelny uścisk był czymś, czego najmniej się spodziewali.

Matka wróciła pod wieżę. Może ich zobaczyła i może zawołała, i może brat dosłyszał jej głos albo jakiś inny hałas, który odwrócił jego uwagę, bo oderwał wzrok od przeciwnika, a ten natychmiast

wykorzystał okazję, kiedy brat przestał mieć się na baczności, i wbił mu nóż w gardło. Zabułgotała krew. Barbarzyński chłopak wypuścił nóż i objął swoją ofiarę, przytrzymując ją z dziwną, przerażającą czułością, dopóki nie znieruchomiała, martwa, Marianna czekała, aż ktoś zastrzeli chłopaka Barbarzyńców, ale nie było w pobliżu nikogo uzbrojonego. Chłopak pchnął świeżego trupa na mur, kucnął i odgarnął włosy z czoła. Zobaczyła, że szyję ma kilkakrotnie owiniętą paciorkami i na palcach mnóstwo pierścieni. Patrzyła na niego w dół z tak dużej wysokości, że widziała go w skróconej perspektywie, dostrzegła więc tylko pierścienie, ponieważ lśniły w słońcu. Odgłosy walki były straszliwą muzyką. Chłopak podniósł oczy i zobaczył przyglądające mu się surowo dziecko.

Wyraz ślepego przerażenia przeleciał mu przez twarz pomalowaną w czarne, czerwone i białe smugi. W przerażeniu wykonał niewyraźny ruch ręką. Kiedy Marianna była już dużo starsza, myśląc o nim, co stało się jej obsesją, przypuszczała, że tym ruchem miał nadzieję zażegnać działanie „złego spojrzenia”. Żuła swój warkocz. Chłopak dźwignął się na nogi. O ścianę za nim grzechotało teraz wiele kul, jedna trafiła w trupa, który drgnął, robiąc wrażenie żywego; przez ogień strzelb przygalopował jakiś koń bez jeźdźcy, więc chłopak w jednej chwili skoczył na niego i zniknął. Wszyscy jeźdźcy pierzchli. Było po napadzie.

Panowała teraz głęboka cisza zakłócona tylko ryczeniem wystraszonego bydła, chrapaniem zdychających koni i jękami umierających. W sumie zginęło pięciu Żołnierzy. Zostało paru Barbarzyńców zbyt ciężko rannych, żeby uciec. Żołnierze szybko ich wystrzelali i pochowali w pośpiesznie wykopanym dole. Z Barbarzyńcami uciekła jedna

kobieta, co się czasem zdarzało. Zabrali żywność, sukno, a także trochę cieląt i kur, dosyć, żeby sobie wynagrodzić straty. Było to typowe dla wszystkich najazdów.

Ojciec znalazł Mariannę, kiedy już było ciemno. Spała w kącie pokoju najdalszym od balkonu. Ssała kciuk. Śniły się jej ciemne, malowane twarze i obudziła się zalana łzami. Ojciec ucałował ją.

— Już po wszystkim, musisz iść do łóżka.

Była głodna i przypomniała sobie, że widziała przygotowane tego ranka nadzwyczaj duże ilości jedzenia. Nie wiedziała, że poszło ono na stypę.

— Chcę ciastek i w ogóle — powiedziała.

— Nie wolno ci teraz prosić matki o ciastka — wyjaśnił ojciec i przyniósł jej do sypialni mleko i kilka kromek chleba z masłem. Choć nie wiedziała dlaczego, usnęła płacząc. Ojciec przez jakiś czas trzymał ją za rękę. Był całkowicie лысы, nie miał też rzęs.

— Twój brat odszedł do ruin, tam, gdzie odchodzą umarli — powiedziała niania Marianny. — Wszyscy wiedzą, że w ruinach pełno duchów.

Dokądkolwiek szedł, matka zaraz szła za nim. Śmierć syna załamała ją, zwłóczyła jeszcze dwa lata, ale kiedy zjadła jakiś trujący owoc, zachorowała niemal z ochotą i w ogóle nie opierała się śmierci. Potem Marianna z ojcem żyli sami, razem z nianią, która teraz była za stara, żeby zamieszkać gdzie indziej. Żyli bardzo zgodnie. Ojciec nauczył ją czytania, pisanie i historii. Przeczytała wszystkie stare księgi z jego biblioteki. Z białej wieży, z jego gabinetu, wyglądała przez okno, patrząc ponad polami w stronę bagien i zarośli wrzośca i próbując sobie wyobrazić puszcę pełną ludzi.

— Czy możesz uzmysłwić sobie, jak wygląda milion, Marianno? — zapytał ojciec. Marianna spróbowała sobie wyobrazić wszystkich ludzi z osiedla i jeszcze raz tyle, i jeszcze, i jeszcze, aż była ich

nieskończona liczba, na próżno by liczyć, więc potrząsnęła głową.

— Wobec tego możemy się pożegnać z pojęciem wielości — orzekł. — Kiedyś to było bardzo ważne. A co znaczy określenie „wielkie miasto”?

Zastanowiła się chwilę.

— Ruiny? — zaryzykowała.

Odesłał ją więc z powrotem do swoich książek, Mumforda i innych, i do słowników. Ale słowniki zawierały nieprzeliczone mnóstwo niezrozumiałych słów, które mogła zdefiniować tylko według ich zastosowania w innych książkach, słowa te bowiem nie określały już faktów, oddawały teraz tylko pojęcia i wspomnienia.

Stała się mniej złośliwa, teraz jednak jej twarz przybrała jakiś niezwykły wyraz, jakby niełatwo ja było zaspokoić. Ojciec powiedział, że nie ma niczego takiego jak duchy, wychodziła więc samotnie na bagna, choć niania jej tego zakazywała. Marianna była bardzo wytrzymała i zwinna. Przemykała owczymi ścieżkami, próbując sobie wyobrazić różne liczby mężczyzn, kobiet i dzieci, ani razu jednak nie upadła i nie zrobiła sobie krzywdy. Nauczyła się wystrzegać rosnących wszędzie obrzydliwych roślin pokrytych ostrymi jak brzytwa kolcami i omijać z daleka dojrzewające na nich jesienią lepkie, zielone i purpurowe jagody, oblepione tęczowymi muszkami, gdyż ich trujący sok parzył palce. Wiedziała, że wrzosiec ukrywa czasem wejścia do bezdennych podziemnych szybów, których pierwotnego przeznaczenia nie знаła. Przekonała się też, że jeśli nie zwraca uwagi na wstrętne szczury, które gnieździły się w zatkanych ściekach, szczyrzyły wielkie zęby i czasami wychodziły się pobawić na zewnątrz, to i one jej nie dostrzegają.

Szkielety domów stanowiły teraz niebezpieczną konfigurację ja-skiń, zewsząd tak zarośnięte, że wydawało się nie do wiary, aby kiedyś można w nich było mieszkać, i nigdy tu nikogo nie spotkała, choć czasem znajdowała ogryzione resztki zwierzęcych kości i ludzkie ekskrementy, oczywiste świadectwo, że duchy z ruin jedzą i wydają, a zatem pewno w ogóle nie są duchami, albo duchami są tylko w tym sensie, że postradały osobowość społeczną jak Wygnańcy z bagien, którzy czasami przychodzili po prośbie do bramy osiedla, mężczyźni i kobiety z ropiejącymi ranami i okaleczeniami z trudem dającymi się ukryć pod strzędami łachmanów i brudem. Czasem Żołnierze rzucali im chleb, a czasem strzelali na postrach nad ich zdeformowanymi głowami, ale nigdy nie wpuszczali do środka.

— To wyrzutki odrzucone przez wyrzutek — wyjaśnił ojciec.

Kiedy miała dwanaście lat, Opowiedział jej:

— Przed wojną były miejsca zwane uniwersytetami, gdzie ludzie nie robili nic innego poza czytaniem książek i przeprowadzaniem eksperymentów. Ci ludzie cieszyli się pewnymi przywilejami, choć na ogół były to przywileje niepisane. Tak czy owak, podczas wojny niektórym Profesorom pozwolono razem z rodzinami wejść do głębokich schronów i okazało się, że oni jedni spośród tych, którzy przeżyli, potrafią wskrzesić dawny świat w złagodzonej formie i tym razem nie dopuścić do jego. zniszczenia.

Przeczytał więcej książek niż którykolwiek inny z Profesorów wspólnoty. Odtwarzał przeszłość. Taki był jego zawód. Bezręse oczy mąciła mu krótkowzroczność, wkrótce mógł oślepnąć, a wtedy pozostałyby mu tylko rzeczy namacalne, takie jak zegar. Marianna będzie mu musiała czytać na głos. Na przykład Rousseau. Ojciec pisał

książkę o przeżytkach teorii społecznej, mogło się jednak okazać, że nikt z całej wspólnoty poza Marianną nie zechce jej przeczytać, a ona może jej nie zrozumieć. Byli przede wszystkim wspólnotą rolników z luksusowym dodatkiem paru Profesorów, którzy za pośrednictwem handlowych konwojów korespondowali z innymi Profesorami, mieszkającymi gdzie indziej. A Żołnierze byli tu po to, żeby ich wszystkich bronić.

— Nie było przed wojną dzikich zwierząt po lasach. I niewiele było lasów godnych wzmianki. Każdy, kto żył, miał wielorakie powiązania, choć jedni luźniej tkwili w całej strukturze od drugih. Teraz każdy jest osobno. Istnieją różne rodzaje człowieka, już nie jeden Homo faber. Teraz istnieje Homo faber, i do tego rodzaju my należymy. A także Homo preadatrix, Homo silvestris i różni inni. Kiedyś, Marianno, takie dzikie zwierzęta jak lwy i tygrysy ludzie trzymali w klatkach i obserwowali w celach naukowych. Kto by pomyślał, że tak się przystosują do naszego klimatu, kiedy przyszedł ogień i wyzwolił je z klatek?

Lubił stawiać tego rodzaju pytania, jak wszyscy Profesorowie. Ale jej ojciec lubił je szczególnie. Czasem myślała, że wcale nie mówi do niej, lecz sam do siebie albo do grona uczonych istniejących tylko w jego wyobraźni. Niemniej słuchała każdego jego słowa.

Od czasu do czasu wspólnota budziła się z transu. Pewnej nocy jeden z Robotników oszalał i podpalił dom, w którym spała jego żona i troje dzieci. Zadławili się i udusili. On sam przebiegał ulicami śmiejąc się i płacząc, wspiął się na wieżę Profesora i rzucił się z balkonu. Samobójstwo nie było rzadkością wśród Robotników i Profesorów, kiedy dożywali pewnego wieku i czuli, że zbliża się senilność i utrata

inteligencji. Było jednak niespotykane wśród Żołnierzy, którzy przyswoili sobie dyscyplinę. Ale zabójstwa zdarzały się bardzo rzadko i zazwyczaj tuż przed najazdem Barbarzyńców.

Innym razem pewien starzec włamał się do muzeum i zaczął systematycznie rozbijać szklane gabloty i znajdujące się w nich skarby. Znalazł puszkę czerwonej farby i napisał nią na ścianie muzeum: JESTEM STARY I JUŻ PRAGNĘ DNIA SĄDU. Ze świecą w rękę dotarł do składu benzyny, ale włączył się alarm i Żołnierze zastrzelili starca, zanim zdążył wyrządzić więcej szkody. Żołnierze rozprawiali się też w jakiś tajemniczy sposób z kalekami.

Ojciec Marianny powiedział:

— Żołnierze są wyznaczeni do utrzymywania wśród nas porządku i do obrony, ale tworzą z czasem władzę niezależną.

Wkrótce po incydencie w muzeum nastąpiła nowa wizyta Barbarzyńców. Najazd był zaskakujący, choć oczekiwany. Sześć lat bez najazdu to wiele, ale skala czasu wspólnoty rozciągała się na nieskończone lata, a więc również w jakiś sposób pozbawiała te lata znaczenia, toteż każde wydarzenie mogło równie dobrze mieć miejsce wczoraj jak przed dziesięciu laty. Ci Barbarzyńcy nie należeli do plemienia, które zabiło brata Marianny. Zjawili się pieszo, w nocy, ukradkiem i podstępnie, bydło, którego nie ukradli, wytruili, przeczołgali się obok żołnierskich placówek i zadusili wartowników. Zniknęło pięć Robotnic.

— Rozcinali kobietom brzuchy po zgwałceniu i zaszywali im we wnętrzościach koty — powiedziała niania, teraz już bardzo stara i dziwaczejaca.

— Wydaje mi się to mało prawdopodobne — zauważyła Marianna. — Przede wszystkim nie sądzę, żeby mieli koty. My trzymamy koty po to, żeby tępiły myszy w spichrzach, i po to, żeby dać ujście

zbędnej czułości. Oni nie sięją zboża ani też nie wydają mi się zbyt czułości. —

— Wam, młodym, zawsze się zdaje, że wszystko o wszystkim wiecie, a tymczasem tak naprawdę nie macie o niczym pojęcia — odpowiedziała staruszka. — Pewnego dnia Barbarzyńcy cię złapią i zaszycią ci we wnętrzościach kota, a wtedy będziesz wiedziała na pewno.

Mimo że Marianna jej nie wierzyła, poczuła jakiś dreszcz w brzuchu, jak gdyby tam grasował kot, czarny jak kot niani. Jak w przebiegu jasnowidzenia przypomniała sobie twarz chłopaka-mordercy, jego naszyjnik, pierścienie i nóż, choć pamięć twarzy brata była zupełnie zatarta. Czasami śniła się jej jego śmierć. Pewnego dnia, budząc się z takiego snu, zdała sobie sprawę, że te dwie twarze całkowicie się na siebie nałożyły i teraz widzi tylko chłopca zabijającego siebie lub swego sobowtóra. Zaniepokoił ją ten powtarzający się sen i obudziła się spocona, choć właściwie nie ze strachu.

— Rousseau mówił o szlachetnym dzikusie, ale teraz nastał czas niegodziwych dzikusów. Pomyśl o tym, który zamordował twój brat — powiedział ojciec.

— Myślę — wyznała. — Całkiem często.

Splótł palce i popatrzył na nią z jakimś lękiem. Miał oczy bezbarwne jak deszczówka. Jego głos brzmiał cienko i chłodno, a skóra była trochę przezroczysta. Nosił solidny ciemny garnitur jak wszyscy Profesorowie. Marianna tak bardzo go kochała, że żalowała tylko, że nie może być bardziej pewna jego realności.

— Czy nie ma w naszej wspólnocie jakiegoś młodego mężczyzny, którego chciałabyś poślubić? — zapytał, kiedy miała szesnaście lat.

Rozważyła po kolei kandydatury wszystkich kadetów. Najstarszy syn każdego Profesora zostawał kadetem, tak chciała tradycja. Potem wzięła pod uwagę młodszych profesorskich synów, też z urodzenia Profesorów, gdyż była to kasta dziedziczna. W myśli zrobiła nawet przegląd Robotników. Wziąwszy ich wszystkich pod rozwagę, przyznała, że nie jest w stanie myśleć o małżeństwie z żadnym z młodych mężczyzn wspólnoty.

— Nie chcę wychodzić za mąż — oświadczyła. — Nie widzę sensu. Może bym mogła poślubić kogoś obcego, z zewnątrz, ale nikogo stąd. Wszyscy tu są tacy strasznie nudni, ojczyste.

— Twoja matka była niezwykłą kobietą — wyznał wydobywając się z jednego ze swoich nagłych i głębokich zamyśleń. — Poślubiła mnie mimo mojego kalectwa. Miałem szczęście.

— Myślę, że to ona miała szczęście — powiedziała Marianna.

— Wszyscy jesteśmy przypadkowymi dziećmi niedoli — oświadczył swoim wykładowym tonem. — Musimy się zadowalać resztkami.

— Nie rozumiem dlaczego! — wykrzyknęła.

— Zobaczysz — odparł.

Pomyślała o niani i jej słowach: „Nie masz o niczym pojęcia”, i pomyślała: „Jest stary”. Spojrzała na ojca z olbrzymią czułością, jakby był chory na jakąś nieuleczalną chorobę.

— Nigdy się nie przyjaźniłaś z innymi dziećmi — mówił ojciec. — Wiem, że wdałabyś tu nie mieszkać, ale nie ma dokąd odejść, a przeciwnym biegunem znudzenia jest chaos, Marianno.

Od dawna przestali używać stołowego pokoju i ojciec przeniósł zegar do gabinetu. Zegar wydawał ciche, dyskretne tykanie, kiedy ojciec mówił, jak gdyby czas, który pokazywał, był wspólnym sekretem ich trojga.

— Jeżeli Barbarzyńcy odziedziczą ziemię, na koniec ją zniszczą, nie będą wiedzieli, co z nią począć. Ich przodkowie przeżyli bez schronów, nie wiadomo jak. Najpierw przeżyli przez przypadek, a dalej żyją dzięki nieustępliwości. Polują, rabują i łupią na nas wszystko, czego im potrzeba, a czego sami nie potrafią wytworzyć, i wcale nie zdają sobie sprawy, że jesteśmy im niezbędni. Kiedy nas wreszcie zniszczą, jeżeli zniszczą ostatecznie, zniszczą w ten sposób własne środki do życia, toteż nie sądzę, żeby to zrobili. Sądzę, że równowaga zostanie zachowana. Ale Żołnierze chcieliby zniszczyć Barbarzyńców, a jeżeli Barbarzyńcy zostaną wyniszczeni, kogo będziemy mogli winić za wszystko zło?

Marianna tak go kochała, że taktownie zakryła dłonią ziewnięcie. Kochała go, ale ją nudził.

Nie cierpiała majowego święta. Wzięła ze sobą trochę jedzenia i uciekła bardzo wcześnie rano. Zapuściła się w ruiny dalej niż kiedykolwiek. Znalazła szlak, który niegdyś musiał być drogą i którym mogła się posuwać z zupełną łatwością. Doszła aż do skamieniałego centrum miasta, na teren całkowicie zmineralizowany, na którym nie było nic, poza bryłami poczerńiałego rdzawego kamienia. Tu nawet wrzosiec nie chciał rosnąć, a w sadzawkach otaczającego miasta bagna stała tylko gęsta ciemność. Wszędzie cisza, króliki nie kopały tu jam ani ptaki nie budowały gniazd. Natknęła się na kłębek łachmanów kryjący jakieś zbutwiałe ciało, więc nie szukała dalej, lecz odbiegła tam, gdzie znowu zaczęły się bagna i zarośla, a ruiny niemal niedostrzegalnie wtopiły się między krzewy i niskie drzewka, tu i ówdzie wciąż jeszcze poznaczone zarosłymi budynkami. A potem weszła w puszcę.

Otoczyły ją drzewa, pociągając wzrok ku górze, tak że nie widziało się sfałdowania terenu. Tu żyły wilki, niedźwiedzie, lwy, zjawy i

Wygnańcy, ale niczego nie zobaczyła, mimo że poruszała się najciszej, jak mogła. Dawno minęło południe i słońce skośnymi promieniami padało na pnie drzew. Spłoszyła jelenia rogacza, który śmignął tylko przez poszycie lasu, zanim zdążyła mu się dobrze przyjrzeć. Przypomniała sobie poroże na głowie Barbarzyńcy, który spadł z dachu muzeum, i przywołała w pamięci tamten szczególny Dzień Maja sprzed dokładnie dziesięciu lat. Krzewy głogu okryte były kwiatami, puszcza kwitła.. W spienionej trawie kryły się stokrocie, jaskry i wszelkiego rodzaju dzikie kwiaty. Zobaczyła pstrokatego węża owiniętego wokół gałęzi, ale nic jej nie zrobił, nawet nie wysunął w jej stronę swojego rozwidlonego języka. Wydawało się, że śpiew ptaków i szum wiatru w liściach nie umniejszają ciszy, tylko ją pogłębiają. Słyszała własną krew, jak przepływa przez ciało.

Myślała, że jest sama, dopóki nie natknęła się na mężczyznę w płaszczu z czarnego futra, obwieszonego wieloma naszyjnikami. Szybko wsunęła się w krzaki, zanim ją zobaczył. Siedział w kucki na ziemi, małą łopatką wykopywał rośliny i wkładał je do kosza. Był olbrzymiego wzrostu, mierzył dobrze ponad sześć stóp, chmura kędzierzawych włosów opadała mu na barki, a rzadka, rozdzielona na końcu broda z jednej strony ufarbowana była na kolor szkarłatny, z drugiej na fioletowy. Zajęty pracą, coś szeptał. Do drzewa w pobliżu przywiązany był osioł, a także dziecko.

Dziecko miało na szyi obrozę z łańcuchem. Chłopczyk był nagi, wyjąwszy tylko parę bardzo obszarpanych spodni. Jadł coś i ślinił się. Miał dwanaście albo trzynaście lat Pokryty był tatuażem w węzowe sploty na całej piersi, ramionach i twarzy. Nagle się rozplakał i zaczął

miotać się wokół z pianą na ustach. Mężczyzna odrzucił łopatkę, podszedł do niego i kilka razy go kopnął. Dziecko krzyknęło i ściszyło, głos do bełkotu, rozcierając sobie żebra w miejscach, w które otrzymał kopniaka. Mężczyzna wrócił do swoich upraw, nie zwracając już sobie chłopcem głowy i od czasu do czasu zaglądając do książki z barwnymi ilustracjami, która leżała obok niego na ziemi. Marianna zdumiała się na widok książki, słyszała bowiem, że Barbarzyńcy są analfabetami. Na zielonkawobladym ciele dziecka odcinał się czerwony ślad po kopnięciu. Marianna ulotniła się bezszelestnie. Myślała, że jest absolutnie sama, i trochę wytrąciło ją z równowagi niespodziewane spotkanie mężczyzny z książką.

Wkrótce znalazła się na drodze. Przedarła się przez gąszcz głogu i obsunęła się z nasypu na szeroką, twardą, zieloną szosę — zieloną, bo porośłą trawą i chwastami, ale jednak szosę. Wspięła się z powrotem w gęstwinę żywopłotu i schowała, usłyszała bowiem dudnienie końskich kopyt. Wcale się nie bała, była tylko ciekawa. Zza zakrętu wyłonili się nomadzi i Marianna ze swej kryjówki przyglądała się, jak przechodzą.

Mieli prymitywne, niemalowane wozy, na których piętrzyły się utensylia kuchenne, koce, zwierzęce skóry, broń i inne przedmioty domowego użytku, których nie potrafiła nazwać. Kilkoro dzieci, trochę kalek i niektórzy starcy jechali na wozach, ale większość kobiet, nawet te w zaawansowanej ciąży, szła przy nich. Ciężarnych kobiet było wiele. Nomadzi prowadzili konie i pędzili przed sobą trochę wychudłego bydła. Mieli wiele koni i kuców, dużo więcej koni niż bydła i kóz.

Kobiety były w spodniach albo długich, niezgrabnych spódnicach uszytych ze skradzionych koców albo skradzionego sukna, skóry czy

futra. Poza tym nosiły bluzki, niektóre pięknie haftowane, i zgrzebne kamizele bez rękawów, na ogół uszyte z futra lub skóry. Niektóre były w kurtkach żołnierskich z czarnej skóry, jakby przeistoczonych ozdobami z paciorków, galonów i piór. Wszystkie miały na sobie ozdoby ze zdumiewającej tandetnej biżuterii, najwidoczniej albo wygrzebanej spośród ruin i bardzo starej, albo przedziwnie wykonanej ze zwierzęcych kości i wypalanej gliny. Włosy miały przeplecione wstążkami i piórami, twarze trochę umalowane wokół oczu albo leż wytatuowane w węzowe sploty, takie same, jakie miało dziecko w lesie. Większość szła bosą, tylko niektóre w kradzionych butach lub uplecionych ze słomy sandałach.

Kobiety były jednocześnie zniszczone i wyzywające. Nigdy dotąd nie widziała takich kobiet, jaskrawo przybranych, dzikich i obwieszonych dziećmi. Życie rodzinne Barbarzyńców było dla Marianny tajemnicą. Dotychczas przypuszczała, że nie znają oni instytucji małżeństwa. Wydawało się, że napastnicy odwiedzający osiedle żyją tylko w tym przerażającym momencie i nie mogą istnieć w żaden inny sposób. Jak gdyby byli tylko wybuchami przemocy wydobywającymi się wprost spod ziemi. Teraz patrzyła, jak przechodzą przed nią w milczącym kondukcje żony i całe rodziny, które czerpały korzyść z rabunku, a nawet sprawiały, że ten rabunek był konieczny, dzieci zanadto zmęczone, żeby płakać, pokryte strupami, brudne, napiętnowane niedożywieniem. Obraz nędzy.

Mężczyźni szli przy nich. Szli niedbale, po drodze spluwali i drapali się. I oni obwieszani byli koralikami i dziwnymi kamieniami, może różnego rodzaju talizmanami. Nie mieli jednak na sobie wojennego malunku, mimo że zdobył ich jeszcze obfitszy tatuaż niż kobiety. Długie włosy nosili związane z tyłu rzemykami. W ten piękny

Dzień Maja byli bez futer i zbroi, wielu szło bez koszul i pod wytatowaną skórą rysowały się sterczące kości. Wszyscy mieli noże u pasów, a większość strzelby przerzucone przez ramię. Jeden zatrzymał się, żeby oddać mocz na trawę u stóp nasypu, na którym ukryła się Marianna. W ramieniu miał przerażającą ranę, spędził z niej muchy. Rana zaczynała ropieć. Wychudłe szkielety psów, kilka z zaognioną wysypką świerzbu, biegły obok swoich panów z wywalonymi jęzorama i zwieszonymi ogonami. Wszyscy mieli za sobą daleką drogę.

W ostatnim wozie siedziała wyprostowana jak świeca bardzo schludna i godna starsza dama. Lśniła jak wymyta gwiazda w tym towarzystwie brudasów i ubrana była w wymuskaną zieloną suknię, taką, jaką nosiły Robotnice. Uczesana była w kok, na nogach miała pończochy i pantofle. Najwidoczniej była ważną osobistością w plemienu. Obok niej siedł, rozmawiając z nią, młody mężczyzna, ale Marianna nie dostrzegła jego twarzy, ponieważ na głowie miał miękki filcowy kapelusz z szerokim rondem, nasunięty na czoło. Wielu Barbarzyńców nosiło takie kapelusze. W tej długiej procesji znajdowało się około sześćdziesięcioro mężczyzn, kobiet i dzieci. Prawie nie odzywali się do siebie, nawet dzieci, szli w milczeniu niemal całkowitego wyczerpania.

Marianna miała czyste łóżko i mogła sypiać spokojnie. Patrząc, jak przechodzą ci okrutnie wydziedziczeni, ci, którym udało się przeżyć, ucieszyła się, że żyje wśród spokojnego ładu kasty Profesorów. Nigdy przedtem się z tego nie cieszyła. Ci straszni obcy odkryli teraz swoje prawdziwe oblicza i oblicza te były chore, smutne i znużone. Dwu lub trzech Żołnierzy mogłoby ich wszystkich wystrzelać, kiedy tak szli, i wyczuła, że może co najwyżej jeden z Barbarzyńców miałby

odwagę sięgnąć po strzelbę i bronić się. Wszyscy by padli, jak gdyby gorzko zadowoleni z szansy na odpoczynek. Wybaczyła im ich rozboje, ponieważ mieli tak niewiele. Wtedy nadjechał za nimi mężczyzna na ośle, z dzieckiem biegnącym obok na łańcuchu. Mężczyzna i osioł dźwigali teraz kosze pełne ziół, naręcze różnego zielska niosło też dziecko.

Ten mężczyzna rozglądał się podejrzliwie, jak gdyby przypuszczał, że z żywopłotu ktoś go szpieguje. Marianna cofnęła się między liście, a on przejechał mijając ją i kopnięciami poganiając osła do niechętnego kłusa, żeby dogonić pozostałych. Dziecko popłakiwało, z wysiłkiem za nim nadążając. Marianna nie wiedziała, dokąd oni idą, ale miała nadzieję, że tym celem nie jest jej dom. Do domu było daleko.

Kiedy wreszcie wróciła, tak późno, że brama była zamknięta i musiała się tłumaczyć wartownikom ze swojej nieobecności, okazało się, że zaszło coś takiego, co wymazało Barbarzyńców z jej pamięci. Niania w ataku starczego szału zabiła toporem jej ojca, po czym sama się otruliła środkiem, którego używała do czyszczenia brązu. Pułkownik, brat matki Marianny, zabrał ją do siebie, do koszar. Przez jakiś czas przechowywała książki ojca, przekonała się jednak, że nie może ich czytać, i w końcu je spaliła. Zegar wyniosła na bagno i zatopiła. Zniknął w ustępliwym gruncie, wciąż wydając nikłe tykanie. Poszukała nożyc i obcięła swoje długie, jasne włosy, tak że wyglądała teraz jak umysłowo chory chłopak. Nie miała pojęcia, dlaczego ścięła włosy, zrobiła to pod wpływem nieodpartego impulsu. Wyglądała przez to bardzo brzydko i badała swoją brzydotę w lustrach z niepohamowaną przyjemnością. Kiedy sobie uzmysłowiła, że mogłaby nie poprzestać na tym jednym akcie przemocy, i znowu szukała nożyc,

nie mogła ich już znaleźć, nie mogła też znaleźć ani jednego noża.

— Tu jest jak w grobie — powiedziała wujowi.

— Brak dostatecznej dyscypliny — orzekł. — Ta stara była nieprzystosowana. Powinno się było ją leczyć.

Tak właśnie mówili Żołnierze.

— Kochała nas, kiedy byliśmy żywi — powiedziała Marianna, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi. Przerazona, poprawiła się: — To znaczy, kiedy byłam mała.

— Była poważnie nieprzystosowana — oświadczył wuj waląc z stół pięścią. — Powinno się ją było poddać badaniom i leczyć.

Przeszył Mariannę przenikliwym, taksującym spojrzeniem, jakby i wobec niej żywił jakieś podejrzenia. Uznał, że trzeba ją ratować przed nią samą.

— Naucz się prowadzić samochód — powiedział. — Wtedy będziesz mogła wyjeżdżać z konwojami i trochę poznać życie.

Był tak zdecydowany poddać ją dyscyplinie, że nauczyła się prowadzić. Okazało się to bardzo łatwe. Jakoś przeżyła, a Robotnicy tymczasem skosili siano. Nadeszła pełnia lata, wieczorami powietrze było łagodne i słodkie. Tuż przed letnim zrównaniem dnia z nocą Barbarzyńcy znowu zaatakowali, o zmierzchu, kiedy zapalano lampy i osiedle siadało do kolacji. Odezwał się dzwon na alarm i wuj zerwał się od stołu, sięgając po pas z pistoletem.

— Zamknijcie drzwi.

Ale Marianna wybiegła, kiedy jeszcze drzwi były otwarte, i przez część mieszkalną koszar przeszła do opuszczonej sypialni. Ujrzała scenę sprzed dziesięciu lat, pomalowanych Barbarzyńców sprzed dziesięciu lat, plemię z leśnej drogi, teraz jak z baśni w całej swojej przerażającej gali. Choć wszystko zacierał mrok, udało jej się jednak

dostrzec tych, którzy rabowali po cichu i w zdumiewającym porządku podczas trwającej bitwy. W okropnym zamieszaniu i ciemności niewiele więcej mogła zobaczyć. Potem włączono lampy łukowe i pole walki zalało białe, ostre światło. To jednak sprawiło tylko tyle, że cały zamęt stał się widoczny, a broni maszynowej nadal nie było można użyć. Oszałale konie bez jeźdźców miażdżyły wszystko po drodze jak lodołamacze. Widziała, jak jakiś mężczyzna w ciemnym garniturze wypadł nagle z wieży zamieszkannej przez Profesorów i rozmyślnie rzucił się pod kopyta konia, który natychmiast go stratował.

W chaosie zmaterializowała się niewyraźna postać okryta zwierzęcymi skórami. Wschodzący księżyc zapalał iskry w jej naszyjnikach. Był to mężczyzna. Przebiegł przez uliczkę za koszarami, domyśliła się, że jest bez broni i próbuje uciec. Jeden z Żołnierzy dogonił go i skoczył mu na plecy. Upadli i zwarli się w walce. Ona znów była widzem. Przyglądała się, tak jak wtedy, i myślała, że znów jest świadkiem czyjejś śmierci, Żołnierze bowiem wyćwiczeni byli w karate i judo, a Żołnierz zadał Barbarzyńcy miażdżący cios w kark, zostawił go zwiotczalego na ziemi i sam zaraz wrócił na główne pole walki. Ale po paru minutach Barbarzyńca powoli się podniósł i otrząsnął.

Uliczka za koszarami była ciemna i pusta. Ciosy, jakie otrzymał od Żołnierza, wyraźnie osłabiły Barbarzyńcę. Dźwignął się niemrawo na ręce i kolana, znów upadł i przez chwilę leżał bez ruchu. Potem zaczął się czołgać. U końca uliczki stała szopa, w której trzymano opancerzone ciężarówki i parę koni pociągowych. Barbarzyńca ukląkł na ziemi i otulił się skórami. Następnie, opierając się ręką o ścianę, wstał i na niepewnych nogach ruszył biegiem. Zniknął w szopie, do

której drzwi przez nieostrożność zostawiono otwarte.

— Tym razem mamy pięciu skurwysynów — oświadczył z satysfakcją wuj. Skoro tylko zmył z siebie krew, wrócili do posiłku przerwano przed trzema godzinami. — Z naszej strony tylko dwóch rannych. Ale popatrz na tego błazna, Profesora Psychologii. Zatrutowany na śmierć. Dobrze mu tak, nieprzystosowanemu. Teraz już poznaliśmy ich sztuczki. Dwóch załatwiłem własnymi rękami. To ci sami, którzy zabili twojego brata, Marianno. Poznałem ich po malunkach. Jak się rozwidni, wyślemy patrol, żeby odszukał ich obóz. Zmiażdżymy ich, zlikwidujemy.

Kiedy sięgał po chleb, jego ręka przypadkiem otarła się o rękę Marianny i Marianna aż podskoczyła. Była wyrodkiem, zwracała się przeciwko swoim na myśl o tym nędznym obozowisku, w którym zawszone dzieci i kobiety z piórami we włosach długo będą czekać na nigdy nie mających powrócić mężczyzn. Obmyte i nagie, podziurawione ranami trupy tych pięciu czekały na bezimienny dół. Szósty, na dobrą sprawę już też jak martwy, ukrywał się w szopie. Budził w niej nadzwyczajną ciekawość. Ta ciekawość częściowo wynikała z prostej chęci zbratania się z wrogiem, ponieważ tak słabo czuła się związana ze swoimi rzekomymi przyjaciółmi, a częściowo z tego, że chciała tylko zobaczyć z bliska twarz obcego. Może też trochę z litości.

Kiedy wszyscy już spali, wzięła z kuchni bochenek chleba i trochę sera i wykradła się na dwór. Drzwi do szopy starannie zamknięto, pewno po dokładnym jej przeszukaniu, ale domyśliła się, że Barbarzyńca wciąż tam jest, bo gdyby go znaleziono, wuj na pewno by o tym wspomniał. Wiedziała, gdzie trzymają klucze. Jeden z koni poruszył się w dusznym zamknięciu. Zaszleściło siano. Na lakierowanym

puddle ciężarówki leżał promień księżyca. Nasłuchiwała, ale nie usłyszała ludzkiego oddechu. Odezwiała się w ciemność:

— Przyniosłam ci trochę jedzenia.

Nic nie drgnęło.

— Wszystko w porządku — dodała. — Nie wydam cię.

Weszła w głąb szopy. Tak jak oczekiwała, Barbarzyńca położył jej dłoń na ustach i wykręcił ręce do tyłu. Poczowała, jak niezliczone pierścienie wrzynają się jej w twarz, i natychmiast z całych sił ugryzła go w palce. Zacisnął uścisk. Przyłożył usta do jej ucha.

— Wyprowadź mnie stąd, a nic ci nie zrobię, ale jeżeli krzykniesz, uduszę cię.

Przesunął prawą dłoń z jej ust na gardło. Odkasznęła i splunęła.

— Nic ci z tego nie przyjdzie, jak mnie udusisz — szepnęła ze złością. — Jesteś ranny?

— Zemdląłem — powiedział, jakby go zdumiewało i raniło jego dumę. Kiedy mówił, słowa się zlewały, a jego głos miał ostre brzmienie jak głos człowieka, który przywykł mówić na wolnym powietrzu, ale rozumiała go całkiem dobrze. Dała mu jedzenie, a on je zjadł. Zupełnie nie było go widać.

— Zgwałcisz mnie i zaszyczesz mi we wnętrzościach kota? — zapytała, przypominając sobie ostrzeżenia niani.

— Nie ma pod ręką kotów — zauważył całkiem rozsądnym tonem, rozsądniejszego nie mogłaby sobie życzyć. A potem wrócił do tak absolutnego milczenia, że powiedziała mu to, co jej ciążyło na sercu, jakby to mogło wytłumaczyć i uzasadnić jej niespodziewane pojawienie się przy nim.

— Mój ojciec nie żyje.

— Mój też. Kiedy twój umarł?
— W zeszłym miesiącu.
— Mój umarł dziesięć lat temu. Został zamordowany.
— Mój też.
— Wszędzie to samo, gdziekolwiek spojrzysz. Wszędzie przemoc i gwałt. Chcesz iść ze mną?

— Tak — odpowiedziała bez namysłu.

Gdyby pozwoliła sobie na namysł, nigdy by tego nie powiedziała.

— Potrafisz prowadzić te rzeczy?

— O, tak.

— To przecież możesz przebić się ciężarówką przez bramę. To zrobi wrażenie.

— Myślę, że tak — przyznała, bo nie było w osiedlu nic poza przyzwyczajeniem, co by ją zatrzymywało, i nic, co by chciała ze sobą zabrać. Wydawało się teraz, że ani jedna z wszystkich tych rzeczy, które kiedyś zaborczo znaczyła swoim imieniem, do niej nie należy. To ona chciała go ratować, tymczasem się okazało, że godzi się, żeby on ją ratował. Jakiś ruch zdradził, gdzie on jest, poczuła, że smaruje jej twarz czymś tłustym. Była to odrobina jego farby wojennej.

— Położyłem na tobie swój znak — powiedział. — Teraz jesteś moim jeńcem.

— Wcale nie! — krzyknęła. — To, ja...

— Otwieraj szeroko drzwi, chodź.

W świetle księżyca przestraszył ją ten anioł śmierci. Takiej zjawy się nie spodziewała. Rozmawiając z nim, zupełnie zapomniała, jak będzie wyglądał. Wygramoliła się z kabiny ciężarówki i rzuciła z powrotem w mrok szopy, szukając, gdzie by się przed nim ukryć, ale schwytał ją z łatwością, przydusił do ziemi, zaniósł do ciężarówki i wsadził do kabiny.

Wierzała i drapała, ale nawet w tej chwili nie krzyczała, żeby zbudzić osiedle.

— Słowo się rzekło, dziecinko — powiedział. — Nie ma odwrotu.

Śmiał się i robił wrażenie bardzo rozbawionego, jakby to miało być dla niego nudne i za łatwe, gdyby się zachowała zbyt potulnie. Może jego żywiołem było niebezpieczeństwo. Położył jej ręce na kierownicy.

— Ruszaj.

Światło księżyca zalewało szopę i odbarwiała dziwne malunki na jego twarzy poza czarnymi kołami wokół oczu, to światło sprawiało także, że krew na jego twarzy zrobiła się czarna. W promieniach księżyca leżała uśpiona osada. Przy bramie stali Żołnierze ze szklanymi twarzami i te szklane twarze były jeszcze bardziej nienaturalne niż jego malunek i nawet w połowie nie tak tajemnicze. Nikogo tu nie kochała, ale poza osadą kończyło się wszystko, co znała, i zaczynała niechybna samotność. Zawahała się i ten obcy znów chwycił ją za gardło. Odepchnęła go i zapaliła silnik.

Zapał pełnym zachwyty śmiechem.

Ujechali jakieś sto jardów, zanim nad rykiem silnika usłyszała dzwon na alarm. Kiedy się wyłamali za bramę, od kabiny odbiły się pierwsze pociski z broni wartowników. Zostawili za sobą wybuch zgiełku i z rykiem pomknęli używaną przez Żołnierzy drogą.

— Musisz ich zgubić — rozkazał, wychylając się z okna, żeby spojrzeć do tyłu. — Gonią nas na motocyklach.

Skręciła w pole młodej pszenicy. Opadł z powrotem do kabiny. Ciężka rana na twarzy znów mu się otworzyła, otarł więc krew nadgarstkiem.

— Mimo wszystko żal mi niszczyć dobry chleb — powiedziała.
Spojrzał na pole, a potem na nią.
— Widzę, że jesteś intelektualistką — zauważył ni z tego, ni z owego.
— Nie przypuszczałam, że będziesz znał takie słowo! — wykrzyknęła, rozjeżdżając jakiś żywopłot.
— Jestem cholernie wykształcony — powiedział. — A nazywam się Klejnot.
— Kto by to pomyślał.
— Jestem najinteligentniejszy z dzikusów — wyznał. — Ale wcale nie najlepszy.
— Będziesz dla mnie dobry?
— Bardzo w to wątpię.
Byli już na granicy pól uprawnych i przedarli się przez drucziane ogrodzenie wprawiając w ruch kuranty alarmowych dzwonek.
— Znam drogę przez ruiny — powiedziała. — Choć tam podobno pełno duchów.
Przyszło jej na myśl, że on na pewno jest przesądny, ale odpowiedział tylko:
— Jedź dalej.
Wyjechali teraz na wypalony teren i światła ciężarówki wyszperały parę szkieletów po obu stronach upiornej drogi, po której mknęli ze zwariowaną szybkością. Wyglądał przez szybę.
— Szybciej!
— Szybciej nie mogę. Gonią nas?
Otworzył drzwiczki i wychylił się, zawieszony na nich. Przyzwyczaiła się już do jego niezwyklego wyglądu w świetle księżyca.
— Nie widać. Szybciej, jedź szybciej, tak czy owak.
— Nie mogę.
Zawył z wściekłości i uderzył ją. Wtedy i ona wpadła w gniew, ale przekonała się, że może wycisnąć z niebezpiecznie rozpędzonej

ciężarówki jeszcze trochę szybkości, więc jechali dalej. Ruiny po obu stronach odpadały i uciekały do tyłu. Nie orientowali się, gdzie jest pościg i czy w ogóle ktoś ich ściga. Księżyc skakał po niebie zygzakami i wszystko naokoło nieustannie przesunęło się i pochyliło. W każdej chwili spodziewała się kraksy. Zaczął się las. Na prawo od drogi dojrzała dąb o grubym pniu pokrytym bluszczem.

— Jedź na niego. No.

Skierowała ciężarówkę na drzewo w przekonaniu, że za chwilę oboje zginą. Ale on otworzył drzwiczki od swojej strony, złapał ją za ramiona, poderwał z siedzenia i skoczył. Wóz bez kierowcy pomknął dalej, uderzył w drzewo z hukiem, jakiego Marianna w życiu nie słyszała, i stanął w płomieniach. Oboje miękko wylądowali w zamulonej sadzawce.

Puścił ją i patrzył na ogień. Najpierw jego twarz wyrażała radość i zadowolenie, potem zubożała. Żar płomieni obmywał im twarze. Kiedy zapaliły się zielone części drzewa, strugi gryzącego dymu, niesione wiatrem, wycisnęły jej łyżę z oczu.

— Znajdą cię — powiedziała. — Dałeś im wyraźny sygnał, gdzie jesteś. Dlaczego, u diabła, to zrobiłeś?

Odwrócił się i popatrzył na nią z ciekawością. Na kościach policzkowych miał czerwony malunek, któremu światło ognia przywróciło barwę. Myślała, że zaraz coś powie, ale rozmyślił się i wzruszył ramionami.

Wyciągnął ją z błota i odprowadził trochę dalej w las, aż znaleźli się w miejscu, gdzie z kępy szorstkich paproci widać było drogę. W jakiś czas potem z wyciem motorów zajechał oddział Żołnierzy. Klejnot mocno nakrył jej ręką usta, ale i tak zachowały milczenie, księżyc bowiem tak dziwnie błyskał w szklanych przyłbicach i na

gładkich skórzanych rękawach i nogawkach Żołnierzy, że wyglądali jak wymyślne automaty, które nie dosłyszałyby jej wołania. Żołnierze rozgrzebali żarzące się szczątki ciężarówki w poszukiwaniu kości lub zwęglonych ciał, pilnie też przeszukali drogę w świetle przywiezionych ze sobą latarek, ale nic nie znaleźli. Zapewne stwierdzili w końcu, że ogień wraz z ciężarówką musiał pochłonąć i kierowcę, bo zebrali się, naradzali przez chwilę, po czym dosiedli z powrotem motorów i odjechali konwojem tą samą drogą, jaką przybyli. I wtedy Marianna oglądała ich po raz ostatni.

Nie wiedziała, jak zinterpretowali sytuację, czy uznali, że była dziełem człowieka oszalałego pod wpływem gwałtownych wydarzeń. Niewątpliwie nazajutrz rano, kiedy zobaczą, że jej łóżko jest puste, wuj stwierdzi urągliwie, że nigdy nie pogodziła się ze śmiercią ojca, że brak jej było dyscypliny i że żałuje, że nauczył ją prowadzić wóz. Teraz ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że Klejnot zorganizował dla niej formalne samobójstwo.

Zdjął rękę z jej ust. Bolała ją szczeka. Uśmiechał się, zobaczyła błysk jego zębów.

— Mówiłem ci, że jestem inteligentny — powiedział. Po czym, jakby porażony zmęczeniem, położył się przy niej na trawie i natychmiast usnął.

Zrobiło się bardzo zimno i niedługo zaszedł księżyc. Żaden dźwięk nie zakłócał czarnej, wielkiej ciszy nocy. Ściągnęła z Klejnota futro i sama się nim owinęła. Były to skórki rudego lisa, pod którymi miał na sobie kurtkę z prymitywnie wygarbowanej skóry, uszytą włosom do środka. Kurta śmierdziała, źle wyprawiona. Mruknął coś przez sen i przysunął się do niej, aż wreszcie położył jej głowę na kolanach. Dotknęła jego naszyjników i zastanowiła się, czyby go nie udusić przy ich pomocy. Był bardzo ciepły i bardzo ciężki. Wyglądało na to,

że zaufał jej bez zastrzeżeń, toteż wypuściła z palców naszyjnik, ponieważ od śmierci ojca nie miała nikogo, kto by jej ufał. Chowali przed nią noże i nożyce i zwracali się do niej cichym, ujmującym głosem. Po jakimś czasie rozplakała się z tęsknoty za ojcem. Zanim przestała płakać, już dniało.

2

Spleceni tym przypadkowym uściskiem, Klejnot i Marianna leżeli wśród fryzowanych paproci. Najpierw pojawiły się w lesie tylko same zarysy, bezbarwne, puste kształty, jednolicie i widmowo szare, ale kiedy przez gałęzie przeniknęło słońce, wyłoniły się z ciemności realne drzewa, a kiedy niebo pojaśniało, wszystko naokoło okazało się zielone lub pokryte kwieciem. Rośliny, których nie umiała nazwać, strzelały soczystymi pędami ku jej rękom, wielkie kasztany z fantastycznymi stożkami zielonkawych kwiatów tworzyły łuk nad jej głową. Naokoło, jak okiem sięgnąć, otaczały ją stulone białe kwiaty głogu, a przez liściaste poszycie przewijał się gąszcz pnących różyczek. Ich kwiaty rozchylały się płasko jak talerzyki i niósł się od nich najdelikatniejszy zapach, podobny do zapachu jabłek. Choć był ulotny, wydawał się jednak konkretnym tchnieniem całkowicie nowego, roślinnego świata, świata tak dla Marianny nieznanego i tajemniczego jak głębie morza. Albo jak ciało tego młodego mężczyzny, który spał, zdawałoby się, słodko na jej kolanach. Zbudzony ptak poderwał się z trzepotem w górę, a w kępie głogu dosłyszała jakieś poruszenie. Bez najmniejszego lęku czekała na wilka o przekrwionych oczach lub szczyrzącego kły niedźwiedzia, który, jak się to podobno zdarzało,

mógł zgłodniały pożreć ją i jej towarzysza. Ale nic się nie pojawiło. Poruszały się tylko drzewa, i to z rzadka.

Tymczasem w osadzie wstawali teraz i rozpalali ogień, dym zaczynał snuć się z kominów. Kobiety z powiekami obrzmiałymi jeszcze od snu mieszały owsiankę, a krowy ryczały upominając się o dojenie. Dzieci biegły nakarmić drób, a uroczyste koguty dydaktycznie głosiły początek nowego dnia, choć ten dzień miał być bliźniaczo podobny do poprzednich. Tyle że jedna z profesorskich córek w nocy oszalała i skończyła ze sobą, spalając się żywcem. Kiedy wstał dzień, Klejnot obudził się i wlepił w nią oczy. Przyłapana tym spojrzeniem, bliskim i nagłym, miała przez chwilę uczucie, że spada. Jego oczy były tak pusto, obojętnie brązowe, że kolor mógł być nałożony pędzlem na tęczówki. Lewe oko miał podbite i bardzo podpuchnięte, ponieważ tuż nad nim biegło rozcięcie. Zaczęły śpiewać ptaki. Klejnota chwycił nagły atak kaszlu. Dygotał konwulsyjnie, stoczył się na bok z nieoczekiwaną delikatnością i splunął. Może miał jakieś kłopoty z płucami. Kiedy atak minął, zapytał:

— Nie spałaś całą noc?

Skinęła głową.

— Zupełna głupota — powiedział. Przyjrzał się jej bliżej. — Płakałaś?

Skinęła znowu. Wzruszył ramionami. Światło poranka było teraz cudownie tęcze i materializowało się w kroplach białej rosy rozsypanych na szorstkich płaszczyznach jego kurty. Jego twarz była rozmazaną paletą. Nie mogła się doszukać rysów pod grubą skorupą farb i zaschłej krwi.

— Mogłam cię zabić, kiedy spałeś — powiedziała.

— Ale się powstrzymałaś — zauważył i znowu zadygotał, zginając się wół od tak głośniego kaszlu, że spłoszył ranne ptaki, które się

poderwały do góry. Kiedy kaszel minął, miała wrażenie, że Klejnot na powrót zbiera się w sobie, może nie bez bólu, tak jakby z każdym atakiem coraz bardziej się rozpadał. Ale nadal nie mogła dojrzeć jego twarzy i nie wiedziała, co robić, tak trudno było na niego patrzeć i jeszcze trudniej go opisać, a najtrudniej ze wszystkiego odgadnąć, jak ten dzikus będzie wyglądał, kiedy znajdą się u celu. Wstał, przeciągnął się, zerknął najpierw ku niebu, potem w dół, na popioły ciężarówki i drzewa. Roześmiał się po cichu sam do siebie. Choćby chciała, nie mogłaby znaleźć nikogo tak całkowicie obcego, a do tego jeszcze ten obcy był jej jedynym towarzyszem. Na każdym palcu miał pierścień, a na niektórych po dwa.

— Z początku myślałem, że jesteś chłopcem — rzucił tonem rozmowy. — Kto ci tak obciął włosy?

— Nikt. To ja. Ja sama.

— Myślałem, że to kara za coś.

Znowu ziewnęła, a potem podszedł do niej z boku, ostrożnie, choć z wyciągniętą ręką. Siedziała bez najmniejszego ruchu.

— A co, jeżeli powiem, że dalej z tobą nie idę?

— No... — powiedział — nie uwierzę ci.

— A to dlaczego?

— Nie możesz przecież wracać do osiedla. Nie zrobisz z siebie głupka wracając z jakąś bajeczką na wytłumaczenie tego, co się stało. I oni ci nie uwierzą. Wymyślą jakąś zbrodnię, żeby cię ukarać, bo przede wszystkim nie będą rozumieli, dlaczego chciałaś uciekać, i będą cię podejrzewali. I nie możesz zostać tu, gdzie jesteś, bo nie masz nic do jedzenia, no i przecież tu mogą cię napaść Wygnańcy, nie mówiąc już o dzikich zwierzętach.

Poczuła się bardzo urażona tą pozorną wesołością, szczególnie kiedy zrozumiała, że on ma rację. Nie mogła i nie wróciłaby tam, skąd

przyszła, nie mogła też zostać tutaj. Odtrąciła jego rękę i wstała bez pomocy. Podniosła lisie futro.

— Jeżeli pójde z tobą, pamiętaj, że robię to z własnej woli.

— O, tak. Pewno.

Od razu oderwali się od drogi. Prowadził ją skrajem lasu, aż doszli do strumienia. Był już jasny ranek i grube złote kaczeńce pływały po powierzchni błękitnej wody. Ukląkł, napił się wody, zanurzył twarz i zmył czerwono-czarno-białą obwódkę. Uklęka obok niego, przemyła oczy, zmyła znak z czoła i też napiła się wody. Była zaskoczona, kiedy zobaczyła jego prawdziwą twarz, mizerną, zamkniętą, skrytą, kościstą, ciemną i ogorzałą od wiatru. Nie było na niej żadnego zarostu. Miał przekłute uszy, a w nich nosił wiszące kolczyki z wyklepanej cyny. Zaczął rozwiązywać splecione, przybrane ozdobami włosy.

— Dlaczego tak dziwnie się czesiecie? — zapytała.

— Przez to wyglądamy bardziej przerażająco — wyjaśnił i wyszczerzył zęby. Z zadowoleniem stwierdziła, że nie spiłował sobie zębów w szpic na modę wielu Barbarzyńców. Nad powierzchnią strumienia zaczęła tańczyć chmura komarów.

— Czy i dlatego malujecie twarze?

— Jasne.

— Profesorowie uważają, że powróciliście do stanu zwierzęcego — oznajmiła mentorskim tonem. — Stanowicie doskonałą ilustrację zarania wszelkich stosunków społecznych i rozpadu społecznych systemów.

— Co ty powiesz? — powiedział z całkowitym brakiem zainteresowania. Przyglądał się jej ciekawie. Jeżeli on wyglądał obco dla niej, ona z kolei wydawała się co najmniej równie obca jemu, taka była

mała, czysta, schludna, blada i pewna siebie. Nigdy z tak bliska nie oglądał kobiety z tej klasy, toteż z ciekawością się przypatrywał, jak Marianna zdejmuje spódniczkę i białą bluzkę, unurzane teraz w błocie. Oglądali się nawzajem jak dwa interesujące okazy, ale jego pierwszego to znudziło. Opowiadano wśród Barbarzyńców, że profesorskie kobiety nie krwawią, kiedy je zranić. Choć nie wierzył tym opowieściom, z namysłem obracał w palcach ostatni ze swoich noży.

Wkrótce zrobiło się za gorąco na lisie futro, więc niosła je przezucone przez rękę. Klejnot szedł przodem. Choć sukno, z którego uszyte było jego ubranie, zostało skradzione Profesorom, ze swego oryginalnego praktycznego szarego koloru zostało przefarbowane i teraz widniały na nim ochronne plamy zieleni mchu i brązu, Barbarzyńcy bowiem byli myśliwymi i starali się być niewidoczni w lesie. Rzadko oglądał się za siebie, więc musiała, najzręczniejsz, jak potrafiła, przedzierać się przez krzaki, wysoką trawę, paprocie i kwiaty. Zastanawiała się, skąd się wzięło jego imię: Klejnot. Była to może nieprawidłowa wymowa jakiegoś słowa z Biblii. Wielu Barbarzyńców po wojnie założyło sekty religijne oparte na Apokalipsie, tak samo zresztą jak niektórzy Profesorowie. Albo może nazywano go Klejnotem dlatego, że był taki piękny, choć równie bardzo dziwny.

Na krzakach jeżyn pełno było małych różowych kwiatków, a jawnowiec miał żółte kolce. Najwyższe krzewy trybuli wyrastały do wysokości pięciu, sześciu stóp i Klejnot często posługiwał się nożem, żeby wyciąć drogę dla nich obojga. Łodygi paproci wydawały się grube jak przegub jej ręki. Zaplątana w krzew dzikiej róży zawołała o pomoc, ale on jej nie dosłyszał, las bowiem jakby się zanurzył w żywiole gęściejszym od powietrza, w którym utonął jej głos.

Panowała niezwykła cisza. Światło, przesiane przez liście, wydawało się idealnie zielone. Wyrwała spódniczkę z więzi. Klejnot czekał na nią pod gigantycznym szkieletowym kandelabrem trybuli. Znowu szczyrzył zęby.

— Nic dziwnego, że musieli zapakować Profesorów do schronów, jeżeli nie potrafią nawet znaleźć drogi w lesie. Gdyby nie to, że ja tu jestem, chodziłabyś w koło.

— Nie znam lasu ani pola — parsknęła ze złością. Wyglądało na to, że sposób, w jaki ona wymawia samogłoski, wyraźnie i dobitnie, sprawia mu olbrzymią, choć nie pozbawioną sarkazmu przyjemność. Przyszło jej do głowy, że Klejnot prowadzi ją do domu jako rodzaj wojennego trofeum, nie tak praktycznego jak bela sukna, lecz bardziej interesującego. Od oślepiającej zieleni zalanego słońcem lasu rozboleła ją głowa. Później oczy zaczęły jej płatać figle. Raz Klejnot wydawał się wyższy od najwyższego drzewa: gdyby wyciągnął rękę, mógłby dosięgnąć nieba. Innym razem kurczył się i ginął z oczu, aż wreszcie zgubiła go w trawie.

— Szkoda, że się trochę nie przespaaś — powiedział z nieokreśloną irytacją, olbrzymi obok niej, z łyskającymi białkami oczu. — Teraz jesteś słaba i bez sił.

— Przeżyję to — odpowiedziała. Nie miała zamiaru prosić o pomoc.

W gałęziach zaskrzeczała wiewiórka. Piskliwy głosik ucichł jak tykanie ojcowskiego zegara, ale to był zegar biologiczny, z ciała i krwi, i nie wskazywał godzin. Zwrócona w górę, w stronę niewidocznej wiewiórki, twarz Marianny była tak napięta, taka widmowa, że Klejnot nagle zwątpił w jej realność i przyłożył do niej rękę, żeby sprawdzić, czy jest rzeczywista.

— Nie dotykaj mnie — warknęła Marianna z dreszczem i odsunęła się od niego.

— Żadna przyjemność — odpowiedział szorstko, gdyż zdradził się tym gestem. Myślał, że nie wierzy w duchy.

Okolo południa pozwolił jej odpocząć na polance, wśród ruin kamiennego domku. Na zwałonych murach, gdzie ciemny bluszcz wrósł w grube drzewa, pienieło się trochę ogrodowych kwiatów, w sposób dziki i nienaturalny przywróconych naturze. Poza terenami wspólnot porządek naturalny uległ wypaczeniu. Tuż obok pszczoła buczała nad bajecznym słonecznikiem. Grządka rabarbaru przemieniła się w plantację olbrzymich, soczystych pni podtrzymujących gruby dach liści nadżartych przez owady.

— Uczyli cię kiedy medycyny?

— Tylko trochę historii i socjologii.

— No, to nie pomoże mojemu choremu bratu.

— Co mu jest?

— Gangrena.

Przypomniała sobie ropiejącą ranę w ramieniu Barbarzyńcy, którego widziała na drodze w majowe święto. Gangrena na pewno do tej pory rozpełzła się po nim jak bluszcz.

— I tak chyba już go nie zastaniemy przy życiu, jak wrócimy. To mój średni brat. Już go chyba nie ma. Ściśle mówiąc, brat przyrodni. Widzisz, wszyscy moi bracia są przyrodni, a to dlatego, że żony ojca miały skłonność do umierania przy porodzie. Masz braci?

— Miałam kiedyś jednego, ale Barbarzyńcy go zabili.

— Oko za oko, ząb za ząb — stwierdził Klejnot filozoficznie, żując łądogę trawy.

Mówił jak człowiek na pół wykształcony i bardzo ją to dziwiło, myślała bowiem, że Barbarzyńcy nie mają żadnego wykształcenia.

W swoich dziwnie eleganckich, choć gwałtownych ruchach, tak samo jak w sposobie mówienia, miał też coś, co jej ojciec nazywał ironią, cechę niezwykłą u Profesorów. Mimo to jednak ją rozpoznawała. Mówiąc do Marianny, trochę odwracał twarz i zerkał z boku, jakby oceniał, jakie na niej robi wrażenie, a może bał się ją spuścić z oka, jednocześnie nie mając odwagi spojrzeć wprost. A jednak wydawało się, że widzi coś beznadziejnie śmiesznego we własnej podejrzliwości, bo przecież była tylko młodą dziewczyną.

— Na co chorują Barbarzyńcy?

— Barbarzyńcy — powtórzył z upodobaniem, tak samo akcentując wszystkie sylaby, aż słowo straciło swoje znaczenie i stało się abstrakcją. — Dostajemy gorączki od złej wody. Raka na starość, jeżeli uda się nam dożyć starości. Tężca, jeżeli ktoś się skaleczy. I tego wysychania krwi, wiesz? Kiedy człowiek wysycha i korkuje w parę tygodni.

— Czy Barbarzyńcy popadają w obłąd?

Rzucił na nią spojrzenie pełne najwyższej ciekawości.

— Na ogół nikt nie zdąża. Żeby porządnie popaść w obłąkanie, trzeba na to trochę wolnego czasu. Ale Donally jest szalony. Nie powiem, żebym miał go z kim porównać, ale myślę, że tak ogólnie biorąc jest trochę szalony.

— Kto to jest Donally?

— Mój wychowawca — wyjaśnił. — Doktor Donally. Co nie znaczy, że nauczył mnie czytać.

— Jakie to dziwne, że masz wychowawcę.

— Sam się nim mianował, ja go nie chciałem. Kiedy mój ojciec, stary biedny skurwiol, postarzał się i zachorował, pojawił się Doktor Donally z wężem w pudle. Przyjechał na ośle i miał przy sobie dzieciaka. Owinął go w koc, a dzieciak tylko się ślinił. Miał też skrzynie z

książkami i całą kupą igieł do tatuowania. I farby, przywiózł je ze sobą, wszystkie kolory.

— Czy to taki wysoki mężczyzna z brodą ufarbowaną na czerwono i fioletowo?

— Gdzie go widziałaś? — zapytał ostro.

— W lesie. Przechadzałam się sama i widziałam, jak przejeżdża twoje plemie, ale ciebie chyba nie było. Myślałam, że bym cię zapamiętała. Choć może i nie.

— A ja myślałam, że nikt nas nie mógł zobaczyć, i w ogóle.

— Byłam sama, nikt nie wiedział, gdzie jestem, i nikomu nie powiedziałam. Tego samego dnia umarł mój ojciec i spotkałam twoje plemie. Zrobiło mi się ich żal, tacy byli zmęczeni. Gdybym ich nie widziała takich bezbronnych, powiedziałabym wujowi, że się ukryłeś w szopie, i wuj by cię zastrzelił.

Urwała, żeby przyjrzeć się jego reakcji, i zrozumiała, że go nudzi. Było mniej więcej południe. Słońce świeciło prostopadle i nie rzucało cienia.

— No, idziemy.

Nie patrzyła pod nogi i nadepnęła na żmiję wygrzewającą się na ciepłym kamieniu. Żmija ukąsiła ją w łydkę i wsunęła się w paproć z szybkością pstrokatej błyskawicy. Poczula wokół ranki piekący ból.

— Taa — powiedział Klejnot z głęboką satysfakcją, jak gdyby tego się spodziewał.

Kazał jej położyć się na trawie, wyjął swój ostry nóż i rozciął ranekę, a następnie przytknął do niej usta, wysssał jad, wyplunął i wysysał dalej. Zaciskała i rozluźniała pięści czując na skórze nieznane dotknięcie jago wilgotnych warg. Ból był straszny. Była to pierwsza pomoc najprymitywniejszego rodzaju i Marianna wcale nie miała pewności, czy cokolwiek pomoże. Klejnot oderwał rękaw od koszuli

i ciasno owiazał jej nogę.

— Dlaczego nie płaczesz, kiedy cię boli? — zapytał.

— Ja płacę tylko ze wzruszenia — wyjaśniła. Jeszcze nigdy tak nie cierpiała.

— Poleż trochę bez ruchu, ale potem będziesz musiała iść. Albo będę musiał cię zostawić.

Mimo że nie był przesądny, zainteresował go i może przyniósł mu ulgę widok krwi na ostrzu noża.

— O, nie. Nie zostawisz mnie. Nawet gdybyś musiał mnie nieść.

— Już inaczej śpiewasz. Szczęście, że to tylko żmija. Viperus berus — dodał ni z tego, ni z owego. Od bólu kręciło się jej w głowie, nie była pewna, czy naprawdę słyszy, jak on wymienia łacińską nazwę węża. — To jadowita żmija, choć podobno kiedyś nie była jadowita. Ale teraz naprawdę najgorsze ze wszystkiego są koty.

— Myślałam, że Barbarzyńcy znaleźli dla nich zastosowanie.

— Kto ci naopowiadał o tym zaszywaniu kotów we wnętrzościach kobiet?

— Moja niania. Ale to była głupia starucha.

— Koty i Wygnańcy są najgorsi, gorsi od wilków. Jak je spłoszyć, spadają człowiekowi z gałęzi na kark i drapią, i wydrapują oczy, jak im się uda. Mojemu bratu rozorały ramię. Teraz ropieje. W kociej ślinie jest jakieś paskudztwo. Kiedyś siadywały przy kominkach i mruczały, no nie? Z tego były znane.

— Przed wojną wszystkie koty mruczały — powiedziała. — Teraz tylko koty Profesorów znają swoje miejsce. Moja niania miała ładnego kota. Był czarny i łapał tylko myszy, czasem jakiegoś ptaszka.

— Mówiłaś, że to była głupia starucha. Jej kot tylko się tak przyczaił.

- To był domowy kot.
- A Wygnańcy mają zatrute strzały, trąd, ospą i żadnego poczucia humoru, i to jest straszne. Jak twoja noga?
- Piecze.
- Boisz się umierania?
- Co? Masz na myśli tak w ogóle?
- Nie — wyjaśnił. — W tej chwili.
- Nie bałam się, dopóki tego nie powiedziałaś. Teraz przeszył mnie ból.
- To dobrze, to znaczy, że wyssałem jad — oznajmił z zadowoleniem. — Strach przed śmiercią to zły objaw, zapowiedź śmierci. A ty aż zbladłaś.
- To dobrze czy źle?
- Dobrze. Inaczej mieniłabyś się wszystkimi kolorami tęczy i dostałabyś bąbli na całym ciele.

Reszta drogi do obozu miała cechy halucynacji. Teraz nie tylko oczy ją zawodziły, ale również uszy i poczucie równowagi. Chwilami Klejnot ją podtrzymywał, czasem odchodził, żeby odszukać ścieżkę. Wyszli na rozległą polanę pełną jaskrów i zostawił ją samą na wietrze, który opływał jej twarz jak rozwiane włosy. Łąka była niespokojna, migotała poruszana wiatrem, a Klejnot szedł wśród malowanych jaskrów jak jakiś dotykalny cień. Wrona, przelatując przez promienie słońca, pobielała. Mariannę bardzo bolało. Zdawało się jej chwilami, że Klejnot ją niesie, ale mogło jej się to śnić. Podał jej do wachania brunatno-białe kapryfolium, żeby się czymś zajęła. Szli pod drzewami w labiryncie światła i cienia.

— Opowiem ci coś więcej o Viperus berus — mówił albo też jej się tak tylko wydawało. — Doktor to człowiek praktyczny i uważa, że religia jest społecznie niezbędna. Bez końca rozprawiamy na ten temat, bo ja w to w ogóle nie wierzę. Ale zawsze pozwałam mu mieć

ostatnie słowo, bo, rozumiesz, on ma tę skrzynkę z truciznami, a ja się wystrzegam jego trucizn. Więc on trzyma w pudle Viperus berus ze względu na tę potrzebę społeczną i od czasu do czasu udaje mu się ich wszystkich namówić, żeby oddawali cześć węzowi.

— Czy to kult falliczny? — zapytała, czy może się jej wydawało, że zapytała.

— Jeszcze się nie zdecydował — odpowiedział Klejnot, niosąc ją teraz na rękach. — Czasem jest kultem fallicznym, a czasem nie, to zależy od nastroju Doktora.

Dalej pamiętała tylko, że kuśtykała obok Klejnota, ciężko oparta na jego ramieniu, i słońce przesunęło się na niebie, tak że promienie padały ukośnie i z boku. Utkwiła oczy ponad liśćmi i tysiącnymi replikami otaczających ją zielonych kształtów i widziała drobne oczka sieci cętkujące niebo jak drucziana siatka, pod którą wszystko było wielkim zamknięciem.

— A jeżeli musi się coś czuć, to dlaczego nie węża, który zrzuca skórę i wychodzi z niej odnowiony i gotów na wszystko, i potrafi zwinąć się w idealne koło wkładając ogon do pyska. A żywi się powietrzem i ziemią. I cały czas ma w paszczy jad, gotów do obrony. Ja, widzisz, nie mam nic przeciwko węzom.

— Żałuję, że nie mogę się z tobą zgodzić.

— Kto się sparzył, dmucha na zimne.

Zupełnie tak samo powiedziała kiedyś w kuchni niania, gdy Marianna pociągnęła kota za ogon i kot ją podrapał. Rana nie jątrzyła się, bo kot był domowy. Dotknęła palcem kolczyka Klejnota, aż zadzwonił jak mały dzwoneczek. Możliwe, że przechodzili przez krąg zwęglonej ziemi w miejscu, gdzie Wygnańcy palili ognisko, i możliwe,

że natknęli się po drodze na jakiś szkielet. Wtedy zobaczyli kobietę w burych łachmanach zbierającą grzyby. Klejnot gestem nakazał Mariannie, żeby była cicho, i podkraść się do kobiety z tyłu. Pomyślała, że dusi tę kobietę, kiedy jej wrzask odbił się zwielokrotnionym echem pod sklepieniem drzew, ale Klejnot się śmiał. Rozsypując grzyby kobieta padła przed nim na kolana, jęcząc.

— No, no, chyba nie myślałaś, że naprawdę mnie zabili? — zapytał ją ze złością. — Myślałaś już, że nie żyję?

Palcami rozchylił kobiecie zaciśnięte powieki i gwałtownie wsadził swoją dłoń w jej usta. — Spróbuj, jestem prawdziwy.

Kobieta chciwie possała jego palce i roześmiała się.

— Doktor odprawia modły za twoją duszę — powiedziała. — Kiedy wrócili bez ciebie, powiedział, że nie żyjesz, jak inni.

Marianna zauważyła, że kobieta mówi o wiele bardziej bełkotliwie i niewyraźnie niż Klejnot, jakby połowę słów połykała przed wymówieniem. Klejnot dźwignął ją pod pachy, postawił na nogi i podprowadził do Marianny. Na splecionym rzemieniu na szyi kobieta nosiła czaszkę gronostaja, a na jej bosych stopach wytworzyła się gruba ochronna skorupa zrogowaciałej skóry. Ubrana była w workowate spodnie, koszulę ozdobioną haftem z piór i futrzaną kamizelę. Była szara od brudu. Na widok Marianny szeroko otworzyła oczy ze strachu.

— To córka córki siostry mojego ojca — powiedział Klejnot.

Kobieta tak szeroko otworzyła oczy, że Marianna widziała jej źrenice całe otoczone białkiem. Cofała się i pewno by uciekła, gdyby

Klejnot tak mocno nie trzymał jej za rękę. Wędrowni i porody, sprawiły, że nie można było odgadnąć jej wieku.

— A to dziewczyna imieniem Marianna, jest córką Profesora Historii — dodał Klejnot. — Wie, którą biegnie czas, i przyszła ze mną z własnej nieprzymuszonej woli. Ukąsiła ją żmija, ale nie umarła, szła dalej.

Zarówno jego twarz, jak ton głosu były nieodgadnione. Kobieta spoglądała to na Klejnota, to na Mariannę i u nikogo nie znajdowała pociechy. Marianna zanadto cierpiała i zbyt była przekorna, żeby się uśmiechnąć. Nagle kobieta znowu upadła, drżąc, i wykonała ręką gest, który Marianna ujrzała po raz pierwszy, kiedy miała sześć lat, i odczytała jako magiczny znak mający chronić przed złym spojrzeniem. Chciała powiedzieć kobiecie, żeby nie była taka niemądra, ale nagle poczuła się bardzo chora i zakręciło się jej w głowie.

— Podaj mi rękę — powiedziała do Klejnota. — Robi mi się słabo. Posłuchał jej.

— Proszę cię, wstań — zwróciła się do kobiety. — Bardzo mnie zawstydzasz.

— To słowo, jakiego my, ludzie leśni, często nie słyszymy — uważał Klejnot. — No, Annie, słyszałaś, co mówi, wstawaj.

Ziewnął, jakby nagle strasznie znudzony. Jego krewna wstała, ale nie chciała iść przy nich. Została w tyle i postępowała parę kroków za nimi, szepcząc najwidoczniej zaklęcia i magiczne formułki. Drzewa przeredziły się i las nagle się skończył. Marianna poczuła ostrą woń ekskrementów i koni. Byli na miejscu.

Przed sobą zobaczyła bujne pastwisko zajmujące całą dolinę nad szeroką rzeką obrzeżoną kwitnącymi trzcinami. Na przeciwnym brzegu

rzeki, patrząc z miejsca, z którego wyszli z lasu, stał dom, jakiego Marianna nigdy jeszcze nie widziała, choć dość się naoglądała fotografii i sztychów, by umieć teraz rozpoznać poszczególne części jego anatomii i nadać im historyczne nazwy. Ten dom był gigantycznym wspomnieniem zmurszałego kamienia, zlepkiem niezliczonych, zapomnianych stylów, które żarłoczna pajęczyna pnączy, futro mchu i grzybiasta narośl zgnilizny połączyły teraz w jakąś zieloną jedność. Całkowicie wydane zniszczeniu barokowe rzeźby z późnego okresu panowania Jakuba I, gotyckie wieżyczki gwarne od ptaków i patetyczna elegancja weneckich, wspartych na kolumnach fasad butwiały zgodnie, rozpadając się w pierwotny gruz. Las wpełznął na dachy w postaci żółtych i purpurowych chwastów, zakorzenionych między wykruszonymi dachówkami obok paru drzewek i krzewów. Okna ziały pustką albo wypuszczały ze środka listowie, jakby las zadomowił się już wewnątrz i zbierał tam siły, żeby pewnego dnia rozsadzić mury podniebnym wybuchem zieleni, wracając do natury. Parę koni pasło się na tarasie wzniesionym w stylu przeładowanego ozdobami angielskiego renesansu. Na balustradzie tarasu łuszczył się tłum bezrękich statuetek, przybranych w szaty lub nagich i uwieńczonych girlandami. Wyglądały jak skamieniałe przeżytki dawno temu przerwanej jakąś katastrofą złośliwego fête-champêtre.

U stóp tarasu rosła kępa wspaniałych drzew różanych, pozostałość francuskiego ogrodu. Na wysokich koleczastych drzewkach, splątanych i otrząsających płatki, zakwitły wszystkie kwiaty. Wszędzie, gdziekolwiek spojrziała, roili się mężczyźni, kobiety, dzieci i konie. Pólnagie dzieciaki obsiadły brzegi rzeki i łowiły ryby. Sparszywiałe psy pełniły pracę czyścicieli w olbrzymim śmietniku pełnym kości i

płynnego gnoju, rozlewającym się od ścian domu jak wielka plama. Skradały się po zboczach doliny. Przy kupie chrustu jakiś chłopak ujeżdżał żrebaka. Kiedy na drugim brzegu rzeki dojrzał ich troje, wydał donośny okrzyk. Żreback podskoczył i chłopak spadł.

— To mój brat — powiedział Klejnot. — Najmłodszy. Jest najładniejszy, najdroższy.

Poczucie ulgi i radości w jego sercu musiało przerwać tamy, zobaczyła bowiem, że płacze. Chłopiec rzucił się przez rzekę na spotkanie brata. Dzieciaki porzucały wędkę i jedne biegły do domu po rodziców, a drugie skakały do wody, by nie czekając przepłynąć rzekę. Zdawało się, że cały obóz biegnie Klejnotowi na spotkanie, rzucając wszystkie zajęcia i pędząc, ile sił w nogach, ale najmłodszy brat przybiegł pierwszy i objął najstarszego, całując go po ustach, policzkach i oczach.

— Najdroższy — powiedział Klejnot. — Mój najdroższy.

Dopiero po jakimś czasie Marianna się zorientowała, że Najdroższy to imię chłopca. U Barbarzyńców imieniem mogło być każde bez wyjątku słowo, byle było wystarczająco piękne i imponujące i byle im się podobało.

Na każdym kroku i wciąż od nowa powtarzało się zachowanie kobiety z lasu. Najpierw spoglądali na Klejnota z lękiem, na wypadek gdyby się okazało, że naprawdę nie żyje i mimo to powrócił, potem dopiero dostrzegali, że zostawia ślady na ziemi i jest rzeczywisty, że ucałował brata nie czyniąc mu żadnej krzywdy, a wtedy otoczyli go tłumnie i każdy starał się dotknąć go lub pogłaskać, a wszyscy płakali z radości, uczucia ich bowiem znajdowały wyraz na twarzy z otwartością, do jakiej Marianna nie przywykła. Ale na jej widok odsuwali się.

Klejnot puścił jej rękę, żeby uściskać brata, chłopca mniej więcej w wieku Marianny. Stała bez ruchu i pozwoliła, żeby odszedł w stronę rzeki. Całe plemię odpłynęło jego śladem i zostawiło ją samą.

Z domu wciąż wyłaniali się nowi mężczyźni, kobiety i dzieci. Brunatna naga dziewczynka, mokra po wyjściu z rzeki, wpadła w ramiona Klejnota, który ją uściskał. Marianna pomyślała, że może to jego córka, ucałował ją bowiem z wielką czułością i roześmiał się. Grunt był bagnisty i uginał się pod nogami Marianny.

Niektórzy oglądali się na nią i wykonywali niewyraźne, płochliwe zapobiegawcze gesty. Słońce świeciło, ale Mariannie było bardzo zimno. Mniej więcej czteroletni malec skoczył nagle ku niej i zanim zdołała mu przeszkodzić, oderwał kawałek materiału od jej spódniczki. Cofnął się o parę jardów, przykucnął i, rzucając na nią spojrzenia pełne strachu, zaczął żuć ten strzępek, jakby się spodziewał jakichś natychmiastowych magicznych skutków. Ale większość plemienia zupełnie ją zignorowała. Wszyscy ruszyli w bród z powrotem na drugi brzeg rzeki, więc została sama, gdyż Klejnot najwidoczniej całkiem o niej zapomniał, tak bardzo był uradowany powrotem do domu.

Z domu wyjrzała kobieta w średnim wieku, ta sama, którą Marianna widziała na drodze. Okryta była szerokim, zdumiewająco białym fartuchem, a zawinięte rękawy odsłaniały bardzo silne i grube ramiona. Przebiegła przez taras i kruszące się stopnie schodów trzepotliwym, niezgrabnym kroczkiem tęgich kobiet. Marianna nawet z tej odległości dojrzała, że siwe włosy wymykają się jej z koka na czubku głowy. Ludzie się rozstąpili, żeby ją przepuścić, a ona uściskała

Klejnota serdeczniej niż inni. Potem spojrzała za rzekę i Marianna zobaczyła, że palec tej czystej kobiety wskazuje na nią. Klejnot natychmiast zawrócił i przybiegł z powrotem.

— Zapomniałeś o mnie — powiedziała z wyrzutem.

— Zapomniałem się — sprostował. — Nie co dzień człowiek wstaje z martwych. Możesz jeszcze iść?

Ale okazało się, że kiedy raz się zatrzymała, trudno jej było ruszyć dalej. Przeniósł ją przez rzekę i postawił przed tą czystą kobietą, która nazywała się Pani Green. Była jego macochą. Miała szeroką, ciastowatą twarz pokrytą piegami. Ucałowała Mariannę. Pachniała ciastem.

— Nie bój się — powiedziała. — To w głębi serca nie jest zły chłopak. Wbrew pozorom żaden z nich nie jest zły.

Mała dziewczynka wspięła się na Klejnota zupełnie jak na drzewo i usiadła mu na ramionach, ciągnąc go za włosy. Dał jej klapsa.

Mariannie tak się teraz kręciło w głowie, że te brunatne twarze tańczyły naokoło niej jak suche liście. Kiedy się przekonali, że Pani Green nie obróciła się w kamień po tym pocałunku, otoczyli Mariannę ośmieleni w swej ciekawości, a ona poczuła na rękach, nogach i odkrytym karku wilgotne, badawcze dotknięcia rąk. Ktoś też szarpnął za prymitywny bandaż na jej łydce.

— Zostawcie ją — rozkazał Klejnot. — Żmija ją ukąsiła, ale ona nie umarła.

Przekazał im tę informację lekkim tonem, uchli jednak i odsunęli się od niej. Tłum zaczynał już pomału topnieć, wracali do poprzednich zajęć, wyprawiania skór, ostrzenia noży i lepienia garnków, a Klejnot, jego macocha, przyrodni brat i wnuczka Pani Green,

ta mała dziewczynka, ruszyli w stronę domu.

— A Józef? — zapytał Klejnot. — Jak się ma Józef?

— Cały siny — odpowiedział Najdroższy. — Mówię ci, to nie żarty.

— Wygląda mi na to, że przed nocą umrze — powiedziała Pani Green. — Och, moje biedactwo. I taki ból, a Donally nie zostawia mu chwili spokoju ani nie chce mu ulżyć.

— I ma ledwie dwadzieścia dwa lata — dodał Klejnot. — On pierwszy z nas wszystkich odchodzi.

Pani Green poufale położyła mu rękę na ramieniu i jej głos ścichł do szeptu.

— Klejnot, kochanie, ulżyj mu.

— Ja go nie zabiję! — odpowiedział.

Marianna potknęła się i krzyknęła. Nie zwrócili na nią uwagi.

— Więc uważasz, że powinienem skrócić mu cierpienia, tak jak koniowi, który złamał nogę. Skrócić mu cierpienia zadając śmierć? Jak myślisz, co będzie lepsze, nóż czy strzelba?

— To obowiązek brata — powiedziała sentencjonalnie Pani Green. — Nie musisz się przecież denerwować. Sama bym to zrobiła, ale kobiecie nie przystoi, a poza tym Donally nie wpuszcza mnie do pokoju.

Klejnot z najwyższą łatwością przechodził z jednego nastroju w drugi. Stał w łagodnych promieniach słońca i, chociaż łyż radości jeszcze mu nie obeschły na twarzy, tchnął najczarniejszą rozpaczą.

— Nie zabiję go — powtórzył. — Nie. Nigdy.

— Skróć mu cierpienia, kochanie — mówiła Pani Green, jakby nie słyszała jego słów. — Wiesz, o czym myślę.

Mała grupka ruszyła dalej w stronę domu.

— Nigdy nie widziałeś takiego bólu — mówiła stara kobieta. — I z

upragnieniem czeka nadchodzącej śmierci. To twój obowiązek. Odpowiadasz za niego.

Klejnot położył jej rękę na ustach, żeby zamilkła.

— Więc ty zajmij się tą dziewczyną. Daj jej coś zjeść i połóż ją do łóżka, bo też się rozchoruje, a co wtedy zrobimy?

— Idę z tobą, żeby mieć pewność — oświadczyła Pani Green. — Czyż własnym mlekiem nie wykarmiłam Józefa, kiedy był malutki, tak jak ciebie? Czyż nie jest mi prawie jak rodzony? Ty, Jen, zaprowadź dziewczynę do mojego pokoju i każ się jej położyć.

Stara kobieta i dwóch młodych mężczyzn pośpieszyli nie oglądając się za siebie, wbiegli po schodach na taras i zniknęli w imponujących drzwiach, których jedno skrzydło, stoczone przez korniki, otwarte kołysało się na zawiasach. Zostawili Mariannę z dziewczynką, która z westchnieniem klapnęła przy niej na trawę. Nie miała na sobie nic poza wianuszkami ze stokrotek. Całe jej ciało pokryte było grzybicą.

— Jesteś z Profesorów — oznajmiła stanowczo Mariannie.

Jak na małe dziecko miała bardzo niski głos.

— Tak — przyznała Marianna.

— Zabiłaś mojego ojca — oskarżyła ją Jen.

— To nie ja sama — wyjaśniła Marianna z niezrozumiałym skurczem serca. — Zabito go w samoobronie.

— Przystroił się i poszedł, i nie wrócił, i Profesorowie go zabili i upiekli, i zjedli z solą — wyrecytowała Jen stanowczo. — Tak mówi moja mama.

— Wszyscy tak mówią — powiedziała Marianna, ale nie uspokoiła dziecka, które wykrzywiło się i splunęło. Grudka śliny przylgnęła Mariannie do spódnicy jak przedziwny klejnot. Jen z godnością odeszła.

Na plecach miała otwartą ranę. Marianna poczuła się chora i opuszczona. Z trudem wspięła się na frontowe schody, przytrzymując się zmurszałej kamiennej poręczy. Znowu mgła zaczęła jej przesłaniać oczy, wydało się jej, że za drzwiami widzi jakieś kosmate zwierzęta, ale to było złudzenie. Kiedy weszła do środka, powitał ją tam tylko kloaczny smród.

Barbarzyńcy nie zastanawiali się, dlaczego ten dom jeszcze stoi. Mógł im dać schronienie, więc się wprowadzili, wypełnili go dymem swoich ognisk i obrzydliwymi odpadkami. Sień była bardzo ciemna, ale na ścianach majaczyły jakieś stare rzeźby, a w głębi prowadzące na górę kręte marmurowe schody. Swąd piekącego się mięsa mieszał się ze smrodem nieczystości. Marianna wciąż jeszcze ścisnęła w ręce pęd kapryfolium, więc przytknęła go do nosa, wdychając zapach otwartej przestrzeni. Z mroków w głębi sieni wyszła kobieta, uniosła grubą spódnice, kucnęła i oddała mocz.

— Dokąd poszedł Klejnot? — zapytała Marianna.

Kobieta zachwiała się pośrodku coraz szerszej kałuży, wykonała gest chroniący przed złym spojrzeniem i zawyla.

— Och, nie bądź głupia — powiedziała ze złością Marianna. — Nie jestem duchem i szukam Klejnota.

Wyglądało na to, że gniew dziewczyny zrobił na kobiecie wrażenie, bo odpowiedziała:

— Na górze, w pokoju Donally'ego.

Ostrożnie spojrzęła na Mariannę, zanim wycofała się pospiesznie przez pozbawiony drzwi otwór do jakiejś ciemnej nory, w której płonął ogień. Marianna pokuśtykała na górę i znalazła otwarte drzwi.

Ten pokój był chyba kiedyś kaplicą, wydawał się bowiem najstarszą częścią domu, miał wysokie sklepienie z ciemnego kamienia.

Łukowe okna zasłonięto zwierzęcymi skórami i jedyne światło pochodziło od paru pryskających świec przyklepionych do biegnących poziomo kamiennych półek. Ze szpar w ścianach wyrastało zielsko. Ktoś pomysłowo z wielkiego rondla zrobił piecyk i zainstalował coś w rodzaju rury, która większość dymu odprowadzała przez dziurę w oknie zasłoniętym skórami. Na piecyku szumiał kociołek, a z niego unosił się zapach ziół zagłuszający ciężki odór gnijącego ciała. Marianna poczuła się tak, jakby wszystkie okropne zapachy, jakie kiedykolwiek podrażniły jej węch, osiągnęły teraz swoją kulminację. Nigdy dotąd nie zetknęła się z odorem gangreny. Kapryfolium wypadło jej z ręki. Pośrodku podłogi leżała na sienniku kupka koców i Marianna domyśliła się, że to ten człowiek umierający od zgangrenowanej rany.

W kącie, uczepiony łańcuchem do klamry w ścianie, siedział ogryzając kość chłopak, którego widziała w lesie. Na podłodze rozrzucone było sitowie, a wszędzie walały się książki, butelki, utensylia najróżniejszych kształtów i pęki zasuszonych roślin. Nagle odepchnął ją z drogi najmłodszy z braci, wybiegł, przechylił się przez balustradę schodów i długo wymiotował w głąb sieni. W pokoju potrafiła rozróżnić tylko parę postaci krzątających się przy zaimprovizowanym łóżku i zaskakującą biel fartucha Pani Green. Zrobiło się trochę zamieszania, Marianna dosłyszała gniewne głosy, straszne krzyki i bełkot, a potem zemdlała.

Pani Green miała osobny pokój, ponieważ była stara i wzbudzała szacunek. Nalegała też na posiadanie własnego nocnika. Zachowała wyblakłą fotografię żony pewnego Profesora Ekonomii, u której kiedyś pracowała, oprawną w zmatowiałą srebrną ramkę i stojącą na drewnianej skrzyni. W skrzyni trzymała rzeczy osobiste, parę sukien,

kilka fartuchów, szpilki do włosów i książkę, wcale nie mniej dla niej drogocenną, choć zapomniała sztuki czytania. Był to egzemplarz *Wielkich nadziei*. Przechowywała również owinięty w papier pierwszy ząb, jaki wypadł Klejnotowi, a także kosmyk jego niemowlecych włosów.

Ściany jej pokoju były jeszcze tu i ówdzie wylepione tapetą w czerwone kłaczkę, kosmatą pod dotknięciem, która łuszcząc się odsłaniała wielkie placki tynku, gdzie zlewały się ze sobą różnobarwne plamy wilgoci i zgnilizny, wyglądające jak gigantyczny siniak. Podczas gdy Pani Green obmywała jej nogę i zakładała czysty bandaż, Marianna wpatrywała się w ten siniak, który nieustannie zmieniał barwę, przy czym wszystkie kolory były znajome, ale żaden nie dawał się rozpoznać.

Pani Green odstąpiła Mariannie swoje łóżko, wypchany sianem siennik zaścielony lnianymi prześcieradłami i kocami pochodzącymi bez wyjątku z kradzieży. Dopóki Marianna chorowała, Pani Green większość czasu spędzała przy niej i choć rzadko się do niej odzywała, śpiewała jej czasami kołysanki podobne do tych, jakie znała niania. Marianna długo była bardzo chora i chwilami nieprzytomna, a wtedy brała Panią Green za nianię i albo się uspokajała, albo denerwowała, zależnie od tego, czy przypominała sobie dzieciństwo, czy ostatnie dni niani. Kiedy traciła przytomność, pokój wypełniał się majakami, całymi rojami węzów i nożami, albo przemieniał się w puszcę, a ona była w niej sama. Ale pewnej nocy przebudziła się z niezwykle głębokiego i pozbawionego majaków snu i zobaczyła, że ten pokój, choć pełen niespodziewanych cieni i ciszy, jest zwykłym pokojem o czerwonych ścianach i że na kominku płonie ogień.

Przy nim siedział w kucki towarzysz jej wędrowni. Poznała go natychmiast. Pani Green, jedyna postać niewątpliwa i realna, siedziała obok niego na pieńku drzewa i powoli rozczesywała jego długie, czarne włosy. Głowę Klejnota trzymała na okrytych fartuchem kolanach, a światło malowało ich oboje dramatyczną, ale szlachetną grą cieni. Marianna oparła się na łokciu, żeby się im przyjrzeć, nigdy bowiem dotąd nie widziała niczego równie pradawnego i romantycznego, chyba tylko na drzeworytach zdobiących nagłówki ballad w najstarszych książkach ojca.

— Dziewczyna się obudziła — zauważyła Pani Green. — Coś takiego, ma szczęście, że przeżyła ukąszenie żmii.

— Nic jej nie jest? — zapytał sennym głosem.

Marianna skinęła głową. Myśli miała jasne, czuła, że choroba minęła. Sama wiedziała, że znowu jest zdrowa i że myśli logicznie.

— Twarda dziewczyna — orzekł Klejnot. — To jedno jej przyznam.

— Jest daleko od domu — powiedziała Pani Green. — I będę ci wdzięczna, kochanie, jak łapy będziesz trzymał od niej z daleka. Tylko uważaj.

— Czy twój brat w końcu umarł? — zapytała Marianna i wzdrygnęła się.

Klejnot spuścił wzrok na swoje palce i zdała sobie sprawę, że jest nietaktowna.

— O, tak. Umarł, zanim musiałem zastosować wątpliwy przywilej łaski. Pozostało mi tylko wykopać mu grób. Jestem, widzisz, naszym katem, a także cholernym grabarzem.

— Uważaj, jak się wyrażasz przy młodej damie! — krzyknęła Pani Green.

Zerknął na nią, jakby zdumiony, i roześmiał się, ale śmiech przeszedł mu w nowy atak rozdzierającego kaszlu. Osunął się na podłogę,

wyczerpany, Pani Green bez skutku uspokajająco cmokała, a Marianna, widząc, jak on się wiję, dławi i łapie oddech, pomyślała, jakby szło o coś bardzo odległego: „On młodo umrze”.

3

— Jedno trzeba o nich pamiętać — mówiła Pani Green. — Przerzucają się z jednego w drugie, jakby skakali po kamieniach przez kałużę, i tak to idzie, dopóki nie wpadną do wody.

— A Klejnot, choć jest wykształcony, nigdy nie myśli?

— Zdarza się, że pomyśli — przyznała Pani Green. Zwęzła w szwach haftowaną bluzkę, żeby Marianna miała co na siebie włożyć. Posługiwała się igłami z pudełeczka, które troskliwie przechowywała od pewnej szalonej nocy, kiedy jako osiemnastoletnia kobieta ujrzała własny dom w płomieniach, a męża z głową odstrzeloną równo, jak nożem uciął. Ponieważ był starszym człowiekiem, często ją bijał i w łóżku domagał się praktyk przeciwnych naturze, powiedziała wówczas do mężczyzny na koniu ładującego strzelbę: — Zabierz mnie — a on dźwignął ją i posadził za sobą na siodle, i z czasem obdarzył gromadką dzieci, zanim doszło do innej nocnej wyprawy, z której już nie wrócił. W ten sposób Pani Green przybyła do plemienia.

— Zdarza się, że Klejnot myśli, ale zwykle ma od tego Doktora.

Przez okno bez szyb wiał zimny, wilgotny wiatr. Na dworze padało, był chłodny, mokry letni dzień. Bluzka w rękach Pani Green była z cienkiej wełny, utkana i uszyta po raz pierwszy w profesorskim osiedlu

z myślą o intelektualistkach, teraz jednak, cała wyhaftowana czerwonymi i żółtymi stokrociami oraz naszywana okruchami lusterka, stała się kolorową, zmienioną nie do poznania częścią stroju.

— Widzisz, oni lubią jaskrawe kolory — wyjaśniła Pani Green z pewnym lekceważeniem. — Jaskrawe kolory, koraliki, błyskotki. Są jak dzieci, mówię ci.

Profesorowie nosili brązy i sepie, czern, biel i różne odcienie szarości. Wszystkie ubrania, jakie kiedykolwiek miała Marianna, były stonowane i dyskretne, a Pani Green nadal ubierała się ciemno, jak gdyby nie chciała do końca skapitulować wobec plemienia. Może gdzieś w duchu wciąż marzyła o jeszcze jednej zmianie. Mówiła o plemieniu z rezerwą, choć cieszyła się tu pewnym poważaniem.

— Uciekłabym, gdyby Klejnot zginął. To są małe dzieci, gotowe zrobić wszystko, co im wpadnie do głowy, a Doktorowi nie ufam i nigdy nie ufałam. Lata temu mówiłam Klejnotowi, żeby się go pozbył, ale on nie chce. A wszyscy prócz niego za bardzo się boją. Piekło by się tu rozpętało, gdyby ten Doktor Donally zaczął rządzić po swojemu, prawdziwe piekło, żadnego szacunku dla starszych ani nic. Tylko tortury, okaleczenia i sztuczki magiczne.

Marianna uniosła brwi.

— Piekło — powtórzyła Pani Green. — Piekło na ziemi.

„Piekło” w ustach Pani Green nasunęło Mariannie myśl, że Pani Green mogła kiedyś należeć do którejś z fanatycznych sekt religijnych, nadal cieszących się popularnością w pewnych profesorskich wspólnotach i, co bardziej egzotyczne, również wśród Barbarzyńców. Sekty te łączyło przekonanie, że wojna była gniewem Bożym. We wspólnotach utrzymano Profesorów Teologii, natomiast Barbarzyńcy praktykowali, jak mówiono, ofiary z ludzi. Marianna przypominała

sobie wyobrażenia piekła w książkach ojca, miejsce ognia i katuszy. Ostry deszcz zabębnił wpadając do pokoju.

— Uciekłyby pani do Profesorów, tam, skąd pani przyszła?

Pani Green na chwilę przerwała szycie i wlepiała wzrok w igłę, jak gdyby sobie przypominała, co szyla nią po raz pierwszy.

— Nie rozumiesz serca matki — oświadczyła. Jej wypowiedzi przetykane były banałami.

— Nie, ale tam by pani uciekła?

— Już jestem za stara, żeby się z powrotem zmieniać — odpowiedziała Pani Green. — Przywykłam do podróżowania, i w ogóle. Zabrałabym może wnuczkę, swoją małą Jen, i poszłabym na wybrzeże. Matka Jen nie dość się o nią troszczy, ma słabą głowę matka Jen, a ojciec Jen, to znaczy mój syn, nie żyje. Poszłabym na wybrzeże, mam córkę, która się wżeniła w rybaków. Może tam kiedy pójde, jak Klejnot zginie.

— A żadnemu innemu z braci pani nie ufa? Przecież i oni są pani pasierbami.

— Narwańcy — powiedziała Pani Green. — Wszyscy oni to narwańcy.

Marianna siedziała otulona futrami przed chłodem, a słowa Pani Green płynęły łagodnym, szemrzącym strumykiem, słowa starej kobiety spragnionej towarzystwa, i co drugie zdanie zdradzały jej miłość do najstarszego z pasierbów. Marianna bez ogródek spytała:

— Jak może mężczyzna bez zażenowania nazywać się Klejnot?

— Klejnot Lee Bradley, jego matka była z domu Lee. Wszyscy Lee to wyznawcy Starej Wiary, zadzierają nosa, ale mają klasę. Widzisz, przed wojną byli podróżnikami. Klejnot to ulubieniec mamusi, choć

jej nie pamięta. Taka była ładna kobieta i cieszyła się, jak się doczekała chłopca, bo przed nim miała dwie córki. Obydwie zmarły. Ale tak się uradowała, jak urodziła syna, że go nazwała Klejnotem, swoim klejnotem. A potem sama umarła, biedactwo, po jego urodzeniu nie przestała krwawić. Cała krew wyciekła jej z łona i to ja wykarmiłam małego, bo akurat jedno z moich umarło. Bradleyowie wszyscy są czarni, jak ich ojciec, stary Bradley, ten był czarny jak smoła, ale w końcu bardzo rzadko się mył, jeżeli już w ogóle. Ale i bez tego czarny był jak smoła pod tym brudem. I wszyscy Lee mają lekki chód i ruszają się z gracją, on to wziął po matce. I mają rękę do koni. Lee są z tego znani. Poskramiacze koni.

Marianna z ciekawością słuchała wszystkiego, co świadczyło o snobizmie Barbarzyńców. Jeżeli Klejnota zrodził i osierocił huragan, to przynajmniej osłodził mu sieroctwo arystokratycznym pochodzeniem, co mogło tłumaczyć skrajną arogancję jego postępowania. Nie przyszedł już po raz drugi do macochy, żeby go uczesała. Teraz, kiedy Marianna wyzdrowiała, nikt jej nie odwiedzał, bo była więźniem. Ranę na jej nodze pokrył twardy strup i mogła chodzić normalnie, ale Pani Green wciąż nie wypuszczała jej z pokoju i Marianna nie pamiętała już dokładnie, jak długo tu jest.

Jeżeli u Profesorów czas zastygł, to tu straciła poczucie czasu w ogóle, Barbarzyńcy bowiem nie dzielili swojego istnienia na godziny czy bodaj ranki, popołudnia i wieczory, pozostawiali go w stanie naturalnym, pozwalając, aby się objawiał pod postaciami światła i ciemności, tak że dzień był jednolitym okresem działania, a noc — zapomnienia. Mariannę zamknięto w pokoju kładąc parę pniaków w

poprzek za drzwiami, i zostawiono ją zupełnie samą, teraz bowiem, kiedy już nie była chora, Pani Green zajęła się innymi domowymi obowiązkami i przychodziła do niej tylko po to, żeby jej przynieść niestrawne, ciężkie jedzenie albo położyć się przy niej na sienniku i przespać. Pogoda wciąż była zła, Marianna patrzyła, jak przesuwają się i gęstnieją fale deszczu.

Kiedy zapadał zmrok, między rozmazanymi w deszczu drzewami jak zjawy ukazywały się sylwetki jeźdźców. Wyłaniały się z lasu, przechodziły rzekę, konie obładowane ubitymi jeleniami, dzikami i owcami, a ludzie, w ociekających deszczem futrach, tak oblepieni błotem, że w ogóle nie wyglądali na ludzi, a raczej na jakieś nikczemne leśne stwory. Błoto i zmęczenie pozbawiały każdego z nich indywidualności, a szerokie nawilgłe ronda kapeluszy zakrywały twarze. Nigdy nie potrafiła odszukać wśród nich Klejnota. Przy nich ciężko biegły wychudłe psy, a oni jechali w milczeniu.

Czuła się przeniesiona na inną planetę. Samo powietrze było inne[^] wilgotne, chłodne, lekko przyprawione smrodem nieczystości, dławilo raczej zamiast odświeżać. Nawet płomienie w kominku układały się inaczej, kiedy Pani Green rozpalala ogień, który stwarzał zagrożenie, a nie ogrzewał wystarczająco, buchając tak ostro gryzącym dymem, że oczy Marianny łzawiły nieustannie. Do pokoju przedostawały się zblakane dźwięki, ochryple krzyki i rzenie koni. Czasem słyszała dzikie, nieludzkie wycia, myślała, że to wilki daleko w lesie. A czasem zdawało się jej, że słyszy muzykę, dochodzącą chyba z wnętrza domu, choć często myliła ją z szumem wiatru w gałęziach. Jeżeli Klejnot nie przychodził jej odwiedzić, nie przychodził też jego nauczyciel. Zupełnie, jakby odbywała kwarantannę.

— No, Donally uważa, że będzie w porządku, jak rano zejdiesz na dół — powiedziała któregoś wieczora Pani Green, wyjmując kościane szpilki z mizernego koczka włosów, które zaraz opadły cienkimi siwymi kosmykami wokoło pomarszczonej szyi. — Ale znów, tyle ci powiem, nigdy nie bierz do ust niczego, czego dla ciebie sama nie ugotowałam i nie podałam ci własną ręką. I trzymaj się blisko mnie, pamiętaj, nigdzie się nie wypuszczaj.

— Dlaczego?

— To, że tak powiem, dla twego zdrowia — odpowiedziała Pani Green. Przyodziała się w sutą flanelową nocną koszulę i zdmuchnęła płomyk usmolonej lampki. Był to po prostu strzępek szarpi pływający w spodeczku ze zwierzęcym tłuszczem. Potem położyła się przy Mariannie. W ciemności zamajaczyły tylko jej tłuste plecy jak potężna ściana.

Przyglądała się, jak Pani Green przygotowuje jej śniadanie w pustej kuchni, w której wiele godzin wcześniej zjedli już myśliwi. Pani Green postawiła metalowy kociołek na otwartym palenisku. Rozrobiła mąkę z worka skradzionego tym, którzy z mozołem uprawiali ziemię, przechowali zdrowe ziarno, wysiali je, doglądali, zżęli, zmełli, wyspali w worki i zostali go pozbawieni, mimo że to oni byli prawowitymi piekarzami i zjadaczami tej mąki i powstającego z niej chleba, jeżeli istniało coś takiego jak oczywista sprawiedliwość. Niemniej Pani Green zaczerpnęła garść mąki prawem zdobywcy, jako że Barbarzyńcy bardziej jej potrzebowali. Żeby upiec chleb, wymieszała w bardzo prymitywnej misie mąkę z solą, wodą i zwierzęcym tłuszczem.

— Chleb to odrobina luksusu — powiedziała, ale pszenny chleb jej pieczenia był tylko swego rodzaju kwaśnym biskwitem. Z jakiegoś innego ziarna ugotowała też wodnistą owsiankę. Smakowała głównie

dymem. Poza tym było zimne mięso. Znalazło się też dla Marianny trochę mleka, do którego, choć było chude, Pani Green dołała jeszcze wody, żeby na dłużej starczyło. Marianna usiadła przy olbrzymim kulawym stole i zjadła te dziwne potrawy, które były teraz jej regularnym pożywieniem.

Kuchnia podobniejsza była do jaskim. Prawie we wszystkich oknach zachowały się jeszcze szyby, ale szkło tak grubo teraz pokrywał wieloletni brud, że tylko wielki ogień trzaskający na palenisku i drzwi otwarte na poranek dostarczały światła. W całej kuchni na hakach wisiały polce mięsa wędzące się albo już uwędzone, a wokoło nich brzęczały wielkie lśniące muchy robacznicze. Zachowało się trochę sprzętów stoczonych przez korniki i starodawny kredens zapchany tajemniczymi, popękanymi naczyniami. Plemię zbyt było przesądne, żeby ich używać. Duży zlew pełen był pięknego mchu, który pokrywał też szmaragdowym dywanem kamienne płyty pod nogami. Pachniało ziemią, gnijącym jedzeniem wszędzie też przenikał smród ekskrementów. Marianna skurczyła się w sobie i zjadła śniadanie, ponieważ było to konieczne, choć nie sprawiało najmniejszej przyjemności.

Na stole siedziała, badawczo na nią zerkając, mała Jen. Dzień był znowu zimny i Jen otulona była w tunikę z długowłosego futra, dzięki czemu wyglądała jak maleńka mieszkanka Starej Anglii. Marianna przyglądała się archaicznemu dziecku i zastanawiała, czy jej strój świadczy o szybkim cofaniu się Barbarzyńców w prymityw, czy raczej o ich przystosowaniu do nowych warunków. Nagle Jen uderzyła ją w rękę. Wylała łyżkę owsianki.

— Nie lubię, jak się na mnie gapisz — powiedziała.

— Ja też nie lubię, jak się na mnie gapisz — odparowała wściekła Marianna.

— No, czy muszę się z nią zaprzyjaźniać? — żałośnie zapytała babkę Jen. Pani Green pilnowała, brytfanny z chlebem piekącym się na ogniu. Płomienie rzucały jej cień na ścianę.

— Nie wiem — odpowiedziała Pani Green. — Nie jestem pewna, nikt mi nic nie mówił.

— Co? Stary ci nie powiedział?

— Nikt mi nic nie mówił poza tym, że trzeba się nią zająć — stwierdziła Pani Green z westchnieniem. Spoglądała na dziewczynę i dziecko z namysłem, coś rozważając. Nagle szorstko i kategorycznie rozkazała: — Daj jej buzi. No. Ona jest prawdziwa.

Z paleniska melodramatycznie buchnęły kłęby dymu, obsypując chleb sadzą. Jen zakrakała ze zdumienia i wzdrygnęła się. Drgawki ogarnęły całe jej ciało. Drżąc, zaczęła się cofać tyłem przez stół, żeby schować się przed światłem dziennym i światłem padającym od ognia. Cofała się dotąd, aż spadła ze stołu, i podała tyły uciekając z kuchni na korytarz. Bose stopy zadudniły miękko po kamieniu, oddalając się w głąb domu. Pani Green wzruszyła ramionami, wyrzuciła chleb z brytfanny na drewniany talerz i zabrała się do zeskrobywania nożem sadzy.

— Każdy może się mylić — orzekła. — Sama widzisz, myślałam, że da ci buzi. Myślałam, że od tego wydasz się bardziej zwyczajna.

Marianna zrozumiała, że dziewczynka bierze ją za wiedźmę, mylnie, ale z punktu widzenia dziecka zgodnie z rozsądkiem. Odczuła jakąś szyderczą przyjemność. Podszedł pies i szturchnął ją nosem w kolano. Dała mu resztki swojego śniadania i tak je zakończyła. Wtedy pies uniósł łapę i pokropił nogę stołu, a Pani Green wylała na niego pełen czerpak wody, nie licząc potoku wymysłów.

Doszła do wniosku, że Pani Green zajmuje w domu pozycję gospodyni albo, co byłoby właściwszym określeniem, swego rodzaju

matriarchini. Całymi dniami krzątała się i wszystkiego doglądała. Dom stanowił obozowisko podzielone na wiele poziomów. Pod popękanymi, spleśniałymi sufitami przygasały lub buchały ogniska tego tymczasowego karawanseraju i wszystko się wydawało nietrwale, choć jeśli domem nazywamy miejsce, gdzie mieszka czułość, to nic nie wskazywało na to, żeby dzieci były tu za mało kochane. Krzątano się przy domowych zajęciach. Kobiety różnymi prymitywnymi metodami wyprawiały skóry, małymi nożami usuwając z nich resztki mięsa. Inne haftowały sukno w koguty, róże, słońca, ciasteczka, noże, węże i żółędzie. Mariannie wydawało się to raczej zabawą niż pracą, one jednak wykonywały ją z równym skupieniem jak wyprawianie skór. Później się dowiedziała, że wzory te mają magiczne znaczenie, choć pewno z trudem by uwierzyła, gdyby jej o tym powiedziano zaraz pierwszego dnia. Kilku starców zajętych było rzeźbieniem drewnianych kubeczków i talerzy. Inni ręce mieli po łokcie unurzane w glinie przy robotach garncarskich. Wszystkie domowe czynności odbywały się w milczeniu, nie było bowiem potrzeby rozmowy, a i tak nikt nie miał wiele do powiedzenia. Dorośli mężczyźni pracowali albo poza domem przy koniach, albo byli w lesie, na polowaniu.

Małe rodzinne grupki żyły ze sobą tak blisko, że dzieci traktowano niemal jak wspólne. Jeżeli ktoś upadło, potłukło się i wybuchalo płaczem, pierwsza z brzegu kobieta brała je na ręce i pocieszała. Dwoje niemowląt jednak ciężko chorowało. Leżały w wiklinowych koszykach i bezradnie wypluwały mleko. Pani Green przyglądała się im z lękiem i smutkiem, a matka jednego maleństwa obronnym gestem ścisnęła zawieszony na szyi talizman i drżała na widok Mariany. Ta kobieta była może rok młodsza od niej, niewątpliwie bardzo

młoda. Na przegubach rąk miała wytatuowane węże, ogon owijał rękę i znikał w pysku węża. Była bez pończoch i bez obuwia. Suknię miała uszytą ze skradzionego koca w Wielką granatowo-czarną kratę i głęboko wyciętą na piersiach ze względu na karmienie. Przez rozdarcie w sukni łykała jej prawe kolano. Na jednej ręce nosiła nie nakręcony zegarek, dla samej ozdoby. Był to trupek czasu, który zatrzymał się na dobre na godzinie za dziesięć minut trzecia jakiegoś odległego i zapomnianego dnia. Miała tylko jedno oko, drugie było osłonięte czarną opaską. Marianna nie mogła uwierzyć, że ona i ta kobieta należą do tej samej płci. Tamta znowu była w zaawansowanej ciąży, mimo że jej chore maleństwo nie miało jeszcze roku. Marianie przyszło na myśl, że dziecko cierpi na jakąś dolegliwość gastryczną.

— Na twoim miejscu trzymałabym je ciepło — poradziła Pani Green.

Kobieta przesunęła najpierw jeden, potem drugi koszyk w pobliże pelgającego w rozwalonym kominku nędznego ognia, który wypełniał cały pokój żrącą chmurą dymu. Tu, w oknach, w ogóle nie było szyb, przecinały je tylko zardzewiałe żelazne kraty. Na podartej tapecie płwiały duchy błazenków i królików w cylindrach, pokój musiał być kiedyś, w przeszłości, pokojem dziecięcym. Na podłodze leżały porzucane sienniki, jakiś metalowy garnek i różne części ubrania.

— Wylej to! — ostro rozkazała Pani Green wskazując wiadro z odchodami. Powiedziała to zbyt ostro, kobieta mruknęła coś buntowniczo pod nosem, wyniosła przelewające się wiadro na podest i chlusnęła jego zawartością w głąb sieni. Kiedy wróciła, zdjęła z siebie dwa spośród kilkunastu amuletów i wsunęła je pod kocyki dzieci.

— Doktor przyjdzie później pomodlić się — powiedziała. — Ale lepiej być ostrożnym, niż potem żałować.

Suknia Pani Green sięgała do kostek. Przechodząc korytarzami unosiła ją, pod nogami bowiem pełno było śmieci, popiołu, strzępków futra, zwierzęcych odchodów i innych odpadków. Ale kobiety podejmowały od czasu do czasu próby utrzymania w czystości pomieszczeń, w których właśnie mieszkały, choć Mariannę aż zasweździło na myśl, jakie tu musi być robactwo. Cienkie sienniki wypchane suchymi liśćmi, sianem, słomą lub wełną musiały być wylęgarniami całych kolonii pluskiew. Długie włosy Barbarzyńców, przy skórze gęsto oblepione gnidami, wydały się jej teraz akcesoriami rozmyślnie perwersyjnymi, a kiedy zobaczyła odzież wojowników wiotko zwisającą z gwoździ w ścianie, niemal roześmiała się, tak krucho wyglądały te groźne pancerze, tak słabe miał uzasadnienie lęk, jaki wzbudzały. Dzieci wszystkie bez różnicy cierpiały na grzybicę, inne choroby skóry i ropne zapalenie spojówek. I na krzywicę. Przyszło jej na myśl, że mogą też cierpieć na choroby wywołane niedożywieniem, jak pelagra i beri-beri. Kiedy wspomniała szlachetnego dzikusa z badań naukowych ojca, do obrzydzenia dołączyła się litość.

— Wszystko wygląda zupełnie inaczej niż to, do czego przywykłaś, kochanie — powiedziała Pani Green na jednym z korytarzy dając nurka pod sznurem, na którym suszyły się kawałki skóry wyprawianej przy zastosowaniu psiego nawozu.

— Tak — przyznała Marianna przez zaciśnięte wargi.

— Ale też powinnaś zobaczyć, jak żyją Wygnańcy, jeżeli to można nazwać życiem. Siedzą na kupie w podziemnych norach i liżą swoje rany. Wiadomo, że zatruwają, strzały maczając ostrza we własnych

ranach.

Odwiedziły w tym płodnym mrowisku wszystkie pomieszczenia poza jednym, w którym mieszkał Doktor, ale przechodząc podestem Marianna ze zdumieniem zobaczyła na ścianie wypisane czerwoną farbą hasło. Głosiło ono: NUDA TO UDANE DZIECKO DUMY. Ponieważ Barbarzyńcy byli analfabetami, Donally, jak przypuszczała, musiał to nabazgrać wyłącznie na jej użytek. Bardzo chciała odwiedzić Doktora Donally'ego, ale Pani Green nawet o tym nie napomknęła. Kiedy dom pogrążył się w ciemnościach, wrócili myśliwi z upolowaną tego dnia zwierzyną.

Przynieśli swoją zdobycz do kuchni. Kolejno ciskali ubite zwierzęta na stół, zeszywniałe nogi sterczały w górę, a oczy szkliły się ostatnim przerażeniem śmierci. Podłożono obficie do ognia, żeby było jaśniej podczas rozdzielania mięsa rodzinom. Teraz przystąpiono do zdzierania skór i rąbania. Rolę rzeźników, którzy dzielą i obdzielają, wzięli na siebie bracia i nagle wydało się, że całe plemię zebrało się w tej izbie, kłócili się o ćwierci mięsa, przebierali, a bracia prymitywnie rąbali mięso toporami, które z początku błyskały w świetle ognia, ale szybko zmatowiały i poczerwieniały. Kuchnia zmieniła się w rzeźnię. Ciskali na ziemię kości z przywartymi do nich jeszcze strzępami mięsa, rogi, kły dzików i strzępy skór, a małe dzieci krzyczały i tańczyły wokół w szalonym podnieceniu.

Sześciu braci, wszyscy czarni jak ich wspólny ojciec, poczerwieniało teraz od krwi. Oczy w otaczających Mariannę twarzach straciły już wszelki wyraz, a same twarze, wykrzywione lub stężale, pobladłe albo rozpalone, ziały rozdarciem złych, wykrzywionych ust, z których wydobywały się ostre, zgrzytliwe wrzaski albo ordynarne przekleństwa,

twarze poplamione krwią albo blaskiem ognia, a za chwilę znikające w cieniu. Zmącone zmysły Marianny odbierały tylko wir klócej się ze sobą czerni i czerwieni. Potem i jej zmysły się pomieszały i miała wrażenie, że wdycha gorący odór samej czerwieni, a słyszy niezrozumiałe głosy czerni w otaczającym ją w chaosie krzyków Klejnota, Johnny'ego, Jakuba, Bendigo, Błękitnego i Najdroższego. Niesamowita litania imion braci huczała jej w głowie bez końca. Nie знаła imienia tego, który umarł, a oni chyba już o nim zapomnieli. Ciskali odpadki psom. Jakiś pies wypadł z kuchni z krwawymi płucami w zębach, żeby je pożreć w zaciszu wychodka. Marianna spróbowała przemknąć się do otwartych kuchennych drzwi, żeby uciec w ciszę i świeżość nocy, ale Pani Green ją dostrzegła i silnie chwyciła za ramię, musiała więc zostać, aż wszystko to się skończy. Mięso zostało wreszcie rozdzielone, tłum się rozproszył, a bracia chlustali na siebie wodę z beczki i otrząsali się do sucha.

Pani Green usadziła Mariannę na krześle, a sama zmyła podłogę. Bracia, półnaczy, zbliżyli się do ognia, żeby się ogrzać. Chodząc kołysali się z boku na bok jak ludzie bardziej przywykli do końskiego grzbietu niż do twardej ziemi. Dwóch miało niebieskie abstrakcyjne znaki wytatuowane na policzkach, wszyscy ciała wytatuowane w węże, ptaki, słońca i gwiazdy. Jeden nosił wąsy, a trzech brody. Doliczyła się tylko pięciu i zdała sobie sprawę, że Klejnot zniknął. Poczula się niezbyt bezpieczna.

Bracia zerkali na nią ostrożnie i dostrzegła, że najmłodszy, Najdroższy, ukradkiem wykonał znak chroniący przed złym spojrzeniem. Najdroższy był brunatny, młody i delikatny, pożałowała więc, że jest najbardziej przesądny, zatknął sobie bowiem za ucho zerwaną w

ogrodzie zdziczałą różę. Zebrali się przy ogniu nic nie mówiąc. Strużki zakrwawionej wody ściekały przez podłogę Mariannie pod nogi. Podkulila stopy pod siebie, chwiejąc się na krześle, które jedną nogę miało złamaną.

Nagle to straszne wycie, które już poprzednio słyszała, znów odezwało się na dworze, blisko; pełen napięcia i udręki płacz wzmógł się, osiągnął nieznośny najwyższy ton i znowu przycichł, zniżając się do ochrypłych łkań. Bendigo, a może Błękitny, splunął w ogień.

— Czemu ten Donally nie zejdzie na dół i nie zobaczy, co się dzieje z dzieciakiem! — powiedział.

— To dziecko płacze?! — wykrzyknęła Marianna, tak wstrząśnięta, aż przemówiła.

— To ten półgłupek — wyjaśnił obojętnym tonem Najdroższy. — Przecież to jego dzieciak. To półgłupek Doktora.

— Widzisz, moja droga, półgłupek jest na dworze — dodała Pani Green, szorując teraz stół garściami trawy. — Daje mu się dziś we znaki ta pogoda, i w ogóle.

Bezślowny krzyk podniósł się znowu, jak łuk złowieszczej tęczy. Marianna zeskoczyła z krzesła, przemknęła obok zgromadzenia braci i wyjrzała z kuchennych drzwi na dwór.

Na zewnątrz było jeszcze na tyle widno, że widać było brukowane podwórko zarosłe zielskiem i otoczone walącymi się budynkami. Kiedy widziała chłopca z lasu przykutego łańcuchem do ściany pokoju Donally'ego, myślała, że to halucynacja. Teraz znowu go zobaczyła. Przykucnął na kamieniach bruku u końca swojego łańcucha przytwierdzonego do klamry w ścianie jednej z szop. Wywrócił oczy tak, że widać było tylko białka, i wył do ciemniejszego nieba. Wokoło leżały ogryzione kości. Przed nim stał talerz z wodą i drugi, pusty, z

napisem „Pies”, w którym zapewne dostawał jedzenie. Deszcz rozpryskiwał mu się na barkach i spływał po szczupłej piersi, przeświecającej zielonkawą bladeścią wśród tatuażu. Uniósł się na piętach, zawył i umilkł; zajął się wyskubywaniem brudu spomiędzy palców u nóg. Był całkowicie rzeczywisty.

— On, widzisz, paskudził do łóżka — wyjaśnił inny z braci, tajemniczo materializując się obok niej, pilnując, żeby nie wyszła na podwórko. — Paskudził do łóżka, nie może przecież mieszkać z ojcem, jeżeli paskudzi do łóżka. Już co jak co, ale Doktor jest pod tym względem wymagający.

— Ten półgłupek ma organizm z żelaza — zauważył inny z braci. Stał przy niej z drugiej strony ten zarośnięty, któremu widać było tylko oczy. Rozejrzała się. Była otoczona. Odsunęła się od drzwi, a oni ruszyli za nią tak blisko, że czuła ich węchem. Śmierdzieli grobem. Pani Green niespokojnie podniosła oczy znad sprzątanania. Jakieś polano obsunęło się w ogień, iskry strzeliły w górę.

Atmosfera w tej diabelskiej kuchni kłuła i szarpała. Marianna spróbowała dać nurka pod ramieniem jednego z mężczyzn, żeby uciec do Pani Green, ale on złapał ją za ramiona i Pani Green zrobiła tylko desperacki gest, mimo że wcześniej Klejnotowi kazała trzymać ręce z daleka od Marianny. Narwańcy. Oczy jak z drewna i wyszczerzone oślepiająco białe zęby. Dokądkolwiek spojrziała, widziała wlepione w swoją twarz drewniane oczy i okrutne usta. Zerknęła na drzwi prowadzące w głąb domu, szukając innej drogi ucieczki, ale w nich zobaczyła szóstego czy też siódmego, jeśli liczyć tego, który umarł. Wszedł po cichu i teraz stał oparty o ścianę, prawie schowany, i też się jej przyglądał, czyszcząc paznokcie czubkiem noża i pilnując jej.

— Johnny... — powiedziała Pani Green smutnym, przymilnym głosem. — Jakub...

Najdroższy znów zrobił znak chroniący przed złym spojrzeniem, ale to było wszystko. Poruszali się, krzatali. Odłożyli strzelby, ale wszyscy byli uzbrojeni w noże i wyglądało na to, że jej nienawidzą.

— W domu są chore dzieci — żałośnie perswadowała Pani Green, jakby to było wystarczającą racją, żeby ich odwieść od gwałtu, a może mordu. Marianna zobaczyła, że Klejnot odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem, najwidoczniej rzeczywiście ubawiony tonem jej uwagi. Jakby ten śmiech był sygnałem, trzej bracia sprzed ognia ruszyli w jej stronę, a ten po lewej, Johnny czy może Jakub, z rozmysłem wsunął rękę w dekolt haftowanej bluzki i pomacał jej prawą pierś. Monstrualne cienie gwałpowały po ścianach. Wszyscy wstrzymali oddech i podeszli bliżej.

Nieubłaganie popychali ją w stronę stołu. Pani Green załamała ręce i w zatroskaniu wydawała z siebie ciche miauknięcia, ale ona też była dwulicowa. Zmartwi się, ale może także w głębi ducha będzie zadowolona z tego, co się niewątpliwie stanie. Marianna poczuła, że wcale się nie boi, jest tylko naprawdę wściekła, i zaczęła się wyrывać i krzyżeć. Wywołało to śmiech braci, którzy dalej na nią następowali. Zamknęła więc oczy i udała, że nie żyje.

Ten desperacki sposób samoobrony okazał się jednak zbędny. Nagle wszelki śmiech zamilkł, a mężczyźni odstąpili od niej w milczeniu. Pani Green zaczęła popiskiwać z ulgą, a Marianna poczuła dziwny, słodki zapach lawendy. Otworzyła oczy i zobaczyła, że na brzegu stołu, jak na tronie, siedzi olbrzym z dwubarwną brodą i w rękę trzyma lampkę. To oliwa w lampce pachniała lawendą. Bracia zastraszoną grupką wycofali się do kąta.

— Trzeba przyznać, że to dzielne chłopaki — powiedział olbrzym.

— Jest dobrze znanym faktem, że kobiety Profesorów mają w sobie ostre zęby, żeby odgryzać genitalia młodych mężczyzn.

Klejnót znowu się roześmiał, ale nikt poza nim. Wszedł w krąg światła lampki Doktora. Włosy miał teraz splecione w dwa sztywne warkocze i bardzo przypominał wyglądem Indian amerykańskich, jakich Marianna oglądała w książkach ojca. W tym kontekście jego imię tak samo nie było niczym zaskakującym jak imiona, na przykład, Pięknego Jeziora, Deszczu w Oczy czy Tego-Który-Sięga-i-Zabija. Jego twarz, jak twarze tamtych Indian, nie zdradzała żadnych uczuć. Donally wymierzył mu żartobliwego kuksańca w żebra.

— A ty, co ty byś zrobił, gdyby się do tego zabrali? Rozerwałbyś się w swojej nudzie oklaskując to widowisko?

Głos Doktora był w najwyższym stopniu kulturalny, wysoki i łagodny. Przypuszczalnie dla podtrzymania swojej tajemniczości nosił ciemne okulary w drucianej oprawie. Jedno szkło było pęknięte przez całą szerokość. Miał szczupłą, podstępą i kulturalną twarz. Wśród takich twarzy i takich głosów Marianna się wychowała. Powiedziała pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy:

— Dlaczego nie dba pan lepiej o swoje dziecko?

— Ponieważ ma obrzydliwe nawyki — odpowiedział Doktor lakonicznie. — Kąsa rękę, która go karmi, i tarza się we własnym brudzie.

Zupełnie, jakby była w domu, w swojej wieży, i rozmawiała z gośćmi o psie, który nie daje się przyuczyć do porządku, z tym wyjątkiem, że kiedy Donally przemówił, okazało się, że zęby ma ostro spiłowane w szpic. Wyciągnął do niej rękę. Była to miękka, biała dłoń, paznokcie miał starannie przycięte i wypielęgowane. Po chwili i ona podała mu rękę, a on uściśnął ją formalnie. Sięgnął do wewnętrznej

kieszeni pod zgrabnym płaszczem z lśniącego czarnego futra, wydobyl portfel ze świńskiej skóry, a z niego wizytówkę. Podal jej wizytówkę. Była biała, a na niej pięknie wypisano gotyckim pismem: F.R. DONALLY, DR FIL. Kiedy przeczytała wizytówkę, zabral ją z powrotem.

— Marianna — powiedzial ciepło. Objal gestem calą kuchnię i wszystkich obecnych, uśmiechając się. — A jednak musisz się czuć bardziej jak Miranda.

— Pewno byl pan kiedyś Profesorem Literatury — zauwazyła.

— Cóż, tu jestem i tu pozostanę — odpowiedzial uprzejmie.

Wygladalo na to, ze jest w jowialnym nastroju, nieustannie dotykaj stojacego obok mlodego czlowieka, pieszczotliwie glaszczac go po ramionach lub glowie, ale Klejnot to ignorowal. Marianna odczula niemal ulge, znów majac do czynienia z czlowiekiem tego rodzaju, do jakiego najbardziej przywykla, a on wydawal się zupełnie swobodny, siedzac na stole i czekajac na kolację, mimo ze brali go tu za szamana. A moze to on sam tak się postanowil okrešlic. Zaczela ogryzac paznokcie. Doktor cmoknal jezykiem o zęby.

— No, no, nic mi po tobie z ogryzionymi paznokciami, jezeli masz być naszym świątym wizerunkiem.

— Co to znowu?

— Slyszałas — powiedzial Klejnot.

— Naszą Panią Puszczy — rozbudowal wyjasnienie Donally z uśmiechem zachwytu. — Dziewicą Bagien.

— No to dobrze się stalo, ze mnie nie zgwalcili — odparowala.

— No, właśnie — potwierdził Donally. — Poufałość prowadzi do pogardy. Musisz nadal wzbudzać lęk, moja droga, inaczej przepadłaś.

Pani Green przygotowywała teraz wieczorny posiłek, zawieszała nad ogniem ewartkę wieprzowiny, żeby się piekła, a pozostali bracia, nadal milcząc i od czasu do czasu złowrogo spoglądając w stronę dziewczyny i jej towarzyszy, usadowili się na podłodze kołem, z lampą pośrodku. Rozpoczęli jakąś hazardową grę posługując się kawałkami kości i spierając się po cichu o kolejność rzutów. Zapach pieczenia dołączył się do innych. Po kuchni kręciło się parę psów. Klejnot kopniakiem odpędził tego, który go obwąchiwał. Błyskotki, jakimi był obwieszony, przy najlżejszym ruchu lekko pobrzękiwały, toteż Marianna przy pomocy słuchu raczej niż oczu spostrzegła, że na ogół jest nieruchomy.

— Lęk — powiedział nagle Klejnot, jakby wysuwając temat do dyskusji.

— Naczelne uczucie — podchwycił uprzejmie Donally. — Podnosząc mały palec mogą wywołać ekstazę przerażenia, ale doszedłem do tego ciężką pracą i cierpliwością.

Tłuszcz wieprzowy skwierczał rozkosznie. Donally uniósł jeden z grubych czarnych warkoczy Klejnota i opuścił.

— Dalej, opowiedz jej, jak to religia jest społeczną koniecznością — mówił Klejnot.

— Jeszcze nie — odpowiedział Donally. — Wygląda na zmęczoną.

— Zły dzień? — zapytał Klejnot z pewną ironią.

— Jeszcze się nie zdecydowałam.

— Oto mądra odpowiedź.

— Mówiłem ci, że jest inteligentna.

— Jesteś darem niewiadomego, młoda damo — powiedział Doktor Donally, uśmiechając się na tyle, żeby pokazać swoje przedziwne,

okrutne zęby. — Dzięki tobie ten nieszczęsny lud ma na czym zogniskować lęk i niechęć, jakie czuje wobec narzuconego sobie przeznaczenia.

Odchrząknął jak na sali wykładowej.

— No, no, Donally — wtrącił Klejnot. — Tam, gdzie mieszkała, zabili jej ojca. Rozplatali go toporem.

Odwrócił głowę w stronę swojego nauczyciela z lekkim pobrzękiwaniem biżuterii, ale nadal z twarzą bez wyrazu. Donally znów wysunął smukłą, białą, miękką dłoń i pogłaskał go po policzkach.

— O czym teraz myślisz?

— O królobójstwie.

— Nie przesadzajmy — Doktor zganił Klejnota łagodnie. Zwrócił się do Marianny: — Spójrz na niego, oto Władca Małego Egiptu, oto król deszczowego kraju, on odziedziczył ziemię.

Zaniósł się głośnym śmiechem, i Klejnot, z ociąganiem, też się roześmiał. Ten niepojęty śmiech tak powykrzywił i oszpecił im twarze, że Marianna, zaniepokojona, doszła do wniosku, że nie widzi żadnego powodu i nie ma ochoty zostać chwili dłużej w tym odpychającym i niebezpiecznym miejscu.

Na drugi dzień rano zauważyła, że jedno z chorych niemowląt płonie straszliwą gorączką, a drugie leży bezwładne i blade. Troje innych niemowląt miało pierwsze symptomy tej choroby, wymioty i biegunkę.

— To zła woda — orzekła autorytatywnie Pani Green. — Powinno się przynosić wodę ze źródła, nie z rzeki.

— Doktor mówi... — zaczęła kobieta w ciąży. Nie powiedziała im, co mówi Donally, ale kiedy spojrzała na Mariannę, zadrżała ze strachu. Marianna domyśliła się, że ta kobieta uważa, że to ona sprowadziła

chorobę.

„Czas odejść — pomyślała. — Zaraz. Natychmiast”. Jakkolwiek bowiem puszcza mogła być niebezpieczna, byłaby tam bezpieczniejsza niż wśród tych obcych. Wszelki romantyczny urok, jaki mogli mieć dla niej Barbarzyńcy jako abstrakcja, kiedy siedziała sama w białej wieży i kiedy żył jej ojciec, teraz rozwiął się bez śladu. Pełna była litości dla nich, ale bardziej niż czegokolwiek innego pragnęła uciec, jak gdyby gdzieś się jeszcze zachowało pojęcie jakiegoś domu. Uciekła więc do lasu, niezbyt się troszcząc o to, czy nie pożrą jej dzikie zwierzęta, ale Klejnot odnalazł ją, zgwałcił i przyprowadził z powrotem.

A tak się starała wyjść niepostrzeżenie. Wzięła swoje ubranie, parę koców i trochę żywności. Pani Green była zbyt zajęta chorymi dziećmi, żeby jej pilnować, więc kiedy zapytała, czy jutro po południu może wyjść i odpocząć sama, staruszka bezmyślnie skinęła głową i Marianna wymknęła się tylnymi drzwiami, nie zauważona.

Dzień był jasny, słoneczny i ciepły. Złote różgi na podwórku obsypały swoim pyłkiem zielonkawą skórę chłopca na łańcuchu, który spał na wygrzanych w słońcu kamieniach nurzając włosy w kałuży błota. Na jego ciele widać było ślady niedawnego bicia. Gdyby miała nóż, spróbowałaby go oswobodzić. Było południe i nikt nie widział, jak wychodziła. Dzieci były nad rzeką, kobiety też, wykorzystywały bowiem zmianę pogody, żeby zrobić pranie, i prały teraz odzież uderzając nią o kamienie. Poszła do lasu za domem. Wspięła się na wzgórze i obejrzała. Zobaczyła rozsypujące się dworzyszcze, usypisko odpadków, kilka pasących się koni i krzątanicę przy brzegu rzeki,

ale cała dolina wydała się jej olbrzymim śmietniskiem. Pobiegła dalej, żeby zostawić między sobą a tymi Barbarzyńcami szczyt wzgórze.

Im dalej szła, tym czuła się szczęśliwsza. Cudowne słońce przezie-
rało przez liście, które tu i ówdzie zaczynały właśnie żółknąć. Duża
część lata minęła poza czasem i znajomymi miejscami, w chorobie,
opuszczeniu i zatęchłym powietrzu, teraz jednak była sama wśród
słodkich karbowanych traw, a puszcza lśniła od jagód. Grzyby wiel-
kości moreli jak plamy czerwonej farby albo grube szare fryzy przy-
ozdabiały pnie drzew i opadłe gałęzie. Wszędzie rósł żółty janowiec.
Jeżeli tu miały czyhać dzikie zwierzęta, było za pięknie, nie wierzyła,
żeby mogły wyrządzić jej jakąś krzywdę. Spróbowała sobie przypom-
nieć dojście do drogi, na której po raz pierwszy zobaczyła wędrow-
ców, ale słabo się orientowała w kierunkach, a żeby trafić na nią
przypadkiem, musiałaby chodzić i szukać miejsca, w którym drzewa
się przerzedzały i z którego do drogi było już blisko.

Nie było innych ścieżek poza wydeptanymi przez króliki, a poszy-
cie zastawiało na nią pułapki głogów, pokrzyw i innych parzących
roślin. Chciała odpocząć, więc wspięła się na jeden z buków, lepiej
bowiem była ukryta nad ziemią na wypadek, gdyby pojawili się Bar-
barzyńcy. Liście buku były już grube i miedziane. Rósł na skraju nie-
wielkiej polanki. Bezpieczna na grubym konarze, zamknęła
oczy.

Żałowała, że nie może opowiedzieć ojcu, jacy naprawdę są Barba-
rzyńcy, i omówić z nim społecznych zagadnień tego plemienia. I jego
psychiki, a szczególnie psychiki tego obszarpanego wodza i jego do-
radcy, który w perwersyjny sposób przypominał jej ojca, choć była to
tylko kwestia tonu głosu. Ale ojciec nie żył. Kiedy otworzyła oczy,

żeby dać spłynąć łzom, zobaczyła Klejnota stojącego pod drzewem jak fatum, jakby ściągnęła go tu swoimi myślami.

Stał oparty o pień dębu po drugiej stronie polanki, żuł źdźbło trawy i nożem przycinał sobie paznokcie. Głowę owiazaną miał szmatą przytrzymującą włosy i chroniącą oczy przed strużkami potu. Strzelbę oparł o pień obok siebie, przygotowany na długie oblężenie, jeśli to będzie konieczne. Patrzyli na siebie przez jakiś czas.

— Szedłeś za mną od obozu — powiedziała wreszcie.

— O, nie. Zobaczyłem cię trochę dalej. Odeszłaś dosyć daleko. Byłem zaskoczony. I do tego w linii prostej.

Rozejrzała się nerwowo, szukając jego braci, ale przyszedł sam. Nie było dokąd od niego uciec, nie mogła wyżej wspiąć się na drzewo. Została więc tam, gdzie była, zanadto wściekła, żeby coś powiedzieć.

— Czyż nie piękny dziś mamy dzień? — zagaił na koniec Klejnot.
— Po wszystkich tych ostatnich deszczach.

Wymówił te słowa tak, jakby się ich wyuczył z podręcznika, i wyszczerzył zęby w grymasie przypominającym warczenie. Marianna wciąż się nie odzywała. Zerwała trochę bukwi i szarpała je na strzępy.

— Oczywiście, w pogodny dzień smród w domu jest jeszcze większy — dodał nieoczekiwanie.

Marianna przerwała milczenie, żeby go zwymyślać.

— Wychowany w chlewie — powiedziała niegrzecznie. — Nigdy bym nie pomyślała, że zauważasz takie różnice.

Znowu błysnął w jej stronę nieprzyjaznym uśmiechem, przeżuważając to, co powiedziała.

— Wcale nie wychowałem się w chlewie — sprostował wreszcie.
— Zwykle sypiałem przy koniach, bo wołałem ich pyski.

Dalej przycinał paznokcie.

— Poza tym — dodał — konie są roślinożerne.

Używał słów ze wzruszającą pedanterią ludzi niezbyt wykształconych. Siedząc wysoko na gałęzi poczuła się nieskończenie wyższa. Patrzyła groźnie w dół.

— Schodzisz? — zapytał obojętnie.

— Dopiero jak ty się wyniesiesz.

— Co to, jeszcze jedna próba wyrwania się na wolność?

— Właśnie.

— Ale dokąd uciekniesz? Dokąd pójdziesz w tym obcym lesie? Oprócz Wygnańców, gorszych od najgorszych bestii, żyją tu tylko dzikie zwierzęta. A nie masz nic do obrony ani żywności.

— Tu jestem bezpieczniejsza niż w twoim domu. Odszukam drogę, a droga dokądś mnie doprowadzi. Do jakiegoś osiedla.

— Co? Do któregoś z waszych? Więc wracasz do swoich?

— Innego osiedla, nie tego, z którego odeszłam.

— Sama wiesz, że one wszystkie są takie same.

— A skąd ty to wiesz?

— W bardzo wielu byłem.

— Tylko jako gość — powiedziała. — Zawsze tylko wpadałeś na chwilę.

Wzruszył ramionami i schował nóż.

— Zleż z tej gałęzi i naucz mnie mówić tak jak ty — zaprosił. — Prędzej czy później uda nam się porozmawiać.

— Nie będziemy mieli wiele wspólnego — zauważyła.

Cień Klejnota skoczył do przodu, kiedy on sam ruszył w stronę

drzewa przy akompaniamencie cichutkiego pobrzękiwania talizmanów i amuletów. Był nieunikniony, jak pogoda, a nawet bardziej nieodgadniony, jego twarz bowiem nie była stworzona do uśmiechu i Marianna nie potrafiła zgadnąć, o czym on myśli, a nawet czy myśli w ogóle.

— Musimy, oczywiście, ustalić jakąś wspólną płaszczyznę, żeby się porozumiewać jak równy z równym — powiedział.

W nieokrzesanym głosie Klejnota dosłyszała wysoki, cienki głos nauczyciela i ku własnej wściekłości stwierdziła, że znowu płacze. Wybuchła łzami i wściekłością i skoczyła z drzewa prosto na niego. Zaskoczyła go. Razem upadli w poszycie i przez chwilę walczyli. Klejnot okropnie się zadyszał i rozkaszał, ale był dużo silniejszy od niej i wkrótce wiedziała, że musi ulec przemocy i wracać do obozu. Nie zmniejszyło to jednak jej wściekłości, kiedy poczuła, że leży pod nim jak przygwożdżona, z ręką przyciśniętą za głową do ziemi.

— Zdaje mi się, że jestem ostatnią rozumną kobietą na świecie — powiedziała, wypluwając mu te słowa prosto w twarz. Nie mogła powiedzieć nic, co by go bardziej obraziło. Upadli w gąszcz wysokiej trawy. Wcisnął ją w tłustą, wilgotną ziemię i zaczął rozpinać na niej ubranie.

— Zwyczajny morderca — powiedziała, zdecydowana za wszelką cenę zachować przewagę.

— Przekonasz się, że jestem najłagodniejszym z zabójców — zapewnił z przesadnym sarkazmem, przekonywała się bowiem, że wcale nie jest łagodny.

Szukając wejścia między jej nogami, tak brutalnie wcisnął palce w jej wilgoć, że przeczuła, jak to będzie bolało. Ból był rozdzierający, poczuła się przeszyta na wskroś, nie wydała mimo to jęku, jedyną bowiem jej siłą była bierność, nie zamknęła też swoich chłodnych oczu,

choć zielony słoneczny blask zmienił jego twarz w gładki metal i przypomniała sobie mord, którego była świadkiem, kiedy młody dzikus wbil nóż w gardło jej brata i chlusnęła krew. Nie oszczędził jej plugawych, nieprzyzwoitych wymysłów, ponieważ trudno było w nią wejść. Pod naporem siły ustąpiły wreszcie ostatnie strzępki w jej wnętrzościach. Zamierzył gwałt i dokonał go. Zwalił się na nią jak wieża. Potem było sporo krwi. Przyglądał się jej z pewnym zdumieniem i umaczał w krwi palec. Marianna bezlitośnie wlepiła w niego oczy. Gdyby ją pocałował, odgryzłaby mu język. On jednak prawie natychmiast odzyskał swoje wstrętne opanowanie. Zaczęła znów się wrywać, ale przytrzymał ją jedną ręką, zsunął z ramienia lepką od brudu kurtkę i oderwał rękaw koszuli, tak jak wtedy, kiedy ratował ją po ukąszeniu żmii. Powtórzenie tej czynności mogłoby być komiczne, gdyby była w nastroju to docenić. Przytrzymał płótno między jej nogami, żeby osuszyć krew. Niesamowity przykład kurtuazji.

— Tej rany nie da się uniknąć — zapewnił ją. — Szybko się zagoi.

— To najgorsze, co mnie spotkało, odkąd tu z tobą przyszedłem — stwierdziła. — Bolało dużo bardziej niż ukąszenie żmii, bo było umyślne. Dlaczego mi to zrobiłeś?

Miała wrażenie, że poważnie się nad tym zastanowił.

— Dzieli nas tradycyjna nienawiść. A poza tym bardzo się ciebie boję.

— Mam w tym nad tobą przewagę — wyznała Marianna odpychając go i starając się okryć.

— Nie bądź zbyt pewna — odpowiedział. — Przecież teraz muszę się z tobą ożenić. To dlatego muszę cię zabrać z powrotem.

Kiedy zobaczył wyraz przerażenia na jej twarzy, śmiał się tak długo, dopóki nie uciszył go krótki atak kaszlu.

— A to co znowu?! — wykrzyknęła.

— To werdykt Donally'ego — wyjaśnił, kiedy już mógł mówić. — Połknąć cię i wchłonąć. Tak rzecze Doktor Donally. Psychologia społeczna. Ty biedna suko, przywoździłem cię koniecznością.

Kiedy zostawił ją i odszedł po strzelbę, była za słaba, żeby spróbować ucieczki. Klejnot zabrał też jej zawiniątka, które wraz z nią spadły z drzewa, i podał jej rękę. Zignorowała to i z trudem wstała sama. Narzuciła mu dystans pytając bezosobowo:

— Zużywacie pewno dużo amunicji prowadząc gospodarkę myśliwską. Całą kradniecie?

— Tak, co do naboju.

— Co zrobicie, jak przestaną odlewać naboje?

— Zostaną nam łuki i strzały, jak Wygnańcom — odpowiedział obojętnie, gdyż Profesorowie nadal odlewali naboje, a jeśliby przestali, miał zamiar pokonać tę przeszkodę, kiedy przed nią stanie. Udał, że naciąga łuk, i popatrzył w ślad za wymagowaną strzałą wzbijającą się w powietrze. A elegancja i styl, z jakim to zrobił, były tak uderzające i tak archaiczne, że Marianna, choć bardzo go nie lubiła, musiała przyglądać mu się z podziwem.

— Wróćcie do łuków i strzał jak kaczki do wody — zauważyła. — Jesteś zupełnym anachronizmem.

Ale ledwie wymówiła te słowa, zastanowiła się, czy to prawda, on bowiem pasował do wszystkiego wokoło, ona zaś była tu kimś obcym.

— Co to jest anachronizm? — zapytał niechętnie. — Powiedz mi, co to jest anachronizm.

— Sztuczka z czasem — odpowiedziała przebiegle, żeby nie mógł jej zrozumieć.

- Przystań — warknął. Nie był przynajmniej intelektualistą.
 - To jest coś, co kiedyś pełniło jakąś funkcję i było na miejscu, ale teraz już nie jest.
 - No, no — skomentował Klejnot, znowu opanowany.
- Ruszyli przez las, tą samą drogą, którą tu przyszła. Klejnot raz po raz powtarzał pod nosem „anachronizm”, jakby się tego słowa uczył na pamięć, aż zaczęła podejrzewać, że kpi. Zatrzymał się, żeby upolować królika.
- Słuchaj, czy ja naprawdę muszę cię poślubić? — zapytała zrozpaczona. Machał królikiem trzymając go za skoki, przezroczyste uszy ciągnęły się po ziemi, a z nosa zwierzątka kapłała krew.
 - Na to by wyglądało — odpowiedział.
- Kopnęła kępkę wrzośca.
- Ojciec mówił, że będzie to głębokie duchowe przeżycie — zauważyła z goryczą.
 - Co?
 - Defloracja. I przypuszczalnie małżeństwo, bo w jego pojęciu te dwie rzeczy się uzupełniały.
 - To on się zajmował takimi rzeczami? — zdziwił się Klejnot.
 - Ożenił się tylko raz.
 - Co innego miałem na myśli: że miał czas myśleć o czymś takim! — wytłumaczył mozolnie Klejnot.
 - Jego zadaniem było myślenie.
 - Zapiekują jego mózg i wsadzą do słoja? — zapytał Klejnot. — A może w najlepszych swoich latach już był konserwowanym mózgiem?
 - Gadaj tak o moim ojcu, a zabiję.
 - Nie będziesz wiedziała jak.
- Zobaczył następnego królika i zastrzelił go, miał już dwa. Kiedy ukazał się przed nimi dom, Mariannę opuściła odwaga i chciała uciec.

Z łatwością podstawił jej nogę. Twarz miała naga od cierpienia i mdłości. Wzruszył ramionami, przytknął jej wylot lufy do łopatek i w ten sposób wprowadził na podwórko za domem. Siedziała tu w kucki Pani Green i wyskrobywała z patelni jedzenie na miskę półgłówka, który biegał dookoła na łańcuchu i wrzeszczał.

— Należy mu się czy nie, będzie dostawał uczciwe jedzenie, niech Donally mówi, co chce — orzekła, a następnie zmrużyła oczy i poznała Mariannę i Klejnota. — Co z nią wyprawiasz?

Klejnot opuścił strzelbę i złożył ubite króliki w ramiona macochy. Marianna wlepiała wzrok w ziemię, twarz jej zeszywniała od milczenia. Klejnot ujął ją pod podbródek i unosząc jej twarz zmusił ją, żeby mu spojrzała w oczy.

— Dama straciła w lesie swój uśmiech — oznajmił.

— I nie tylko uśmiech, ty łotrze — powiedziała Pani Green, wymierzając mu potężny cios wierzchem dłoni, w której nie trzymała królików i patelni. — Dla niczego nie masz szacunku?

Półgłupek rzucił się na jedzenie z rozkosznym pochrząkiwaniem, odtrącając łokciem żarłocznego doga, którego zwabił zapach mięsa. Klejnot roztarł na twarzy ślad uderzenia macochy.

— To nieprawda, co mówią o takich dziewczynach — stwierdził.

— Nienawidzę cię — powiedziała Marianna.

— Bardzo możliwe — przyznał. — To naturalne.

Ukląkł obok syna Doktora i wsunął dłoń pod jego obrożę. Chłopak otrząsnął się, ale jadł dalej. Klejnot wolną ręką głaskał i poklepywał chłopaka, szeptali coś do siebie gardłowo jak porozumiewające się zwierzęta.

— Obroża do żywego obtarła mu skórę — stwierdził Klejnot. — Nic dziwnego, że wyje.

— Chodź do domu i obmyj się, kochanie — zwróciła się Pani Green do Marianny. — Ostatecznie nie jest jeszcze tak źle. On się z tobą jutro ożeni.

Mimo całego przygnębienia Marianna mogła zrozumieć, dlaczego Klejnot się roześmiał. Obejrzała się na niego, kiedy Pani Green prowadziła ją do domu, ale on nie podniósł oczu. Przestał się śmiać, wyjął nóż i wydawało się, że rozcina na chłopaku obrożę, chyba że przecinał mu gardło. Marianna miała w głowie zbyt wielki chaos, żeby wiedzieć, co jest bardziej prawdopodobne.

— Ten dzieciak przetrzymał — powiedziała Pani Green. — Czy to nie cud? Gorączka po prostu minęła, minęła ni stąd, ni zowąd, a teraz mały śpi słodko zdrowym snem. I inne są żwawsze, tak samo. O, co za błogosławieństwo! Zwykle taka zaraza nie oszczędza ani jednego maleństwa, dopada wszystkie i większość umiera.

— Jeżeli dziecku się polepszyło — powiedziała Marianna — przynajmniej nikt mnie nie będzie winił o to, że zachorowało.

— A więc już znasz ich sposób myślenia, kochanie. Zawsze szukają, na co by zwalić winę, kiedy coś się nie wie, tacy są. Jak dzieci. Jak małe dzieci. Tak mi ich żal, kochanie, tak strasznie żal!

Ostrożnie przeszły między kupami nieczystości w sieni i weszły na górę, do pokoju Pani. Green. Na ścianie przy drzwiach Donally'ego wypisany był nowy slogan: ZGODA NA WYROKI PRZEZNACZENIA DAJE STYL I WYRÓŻNIA. Tym razem czarną farbą. Marianna nie rozumiała napisu, ale przechodząc opluła go.

4

Tak jak Klejnot przewidział, ból dość szybko minął, ale pragnienie zemsty wzrosło, boleśniej bowiem zranił jej dumę niż ciało, a poza tym poczuła się w pułapce bez wyjścia i nadziei. Trwała w mękach rozpacz, owinięta jak w kokon w koce na sienniku w pokoju Pani Green, nie przyjmując jedzenia i nie chcąc się z nikim widzieć. Z poplamionej ściany zniknęło słońce. Wreszcie przyszła rozebrana do snu Pani Green z lampą. Knot zanurzał się i płomyk filował. I Pani Green jakby filowała.

— Ostatni to raz śpisz ze mną — powiedziała, widoczna tylko chwilami. — Jutro przecież będziesz musiała spać z Klejnotem. Tak to już jest.

Marianna poderwała się na te słowa, jej chłodne oczy ciskały iskry.

— Wszystko to zły sen — powiedziała. — To niemożliwe, to się nie stało i nie stanie.

— Młodzi mężczyźni zawsze wykorzystają sposobność, kochanie — pouczyła ją Pani Green. — A my wszystkie musimy brać to, co możemy dostać.

Westchnęła. Mimo wszystko jednak była taka zadowolona z siebie i czuła się tak dobrze, jakby wilki i tygrysy nie hulały po puszczech wyrosłych tam, gdzie przedtem nie było drzew, a Marianna musiała się godzić ze wszystkim, od gwałtu po śmierć, tak jak jej to przepowiadał również jej ojciec. W świetle lampki mignęła fotografia przechowywana przez Panią Green, zdjęcie kobiety, która mogłaby być matką Marianny. Pani Green mogła też być zadowolona z tego, że jej dziki pasierb ożenił się o tyle wyżej ponad własną klasę, zadowolona i w pewien sposób pomszczona. Najwidoczniej uważała, że Marianna dostała nauczkę i nie będzie już próbowała uciekać, bo nazajutrz rano, po podaniu jej śniadania, pozostawiła ją jej własnym planom,

a sama wybrała się na codzienny obchód obozu. Marianna, mimo że był to dzień jej wesela, na pewno nie miała jeszcze zamiaru ponawiać próby ucieczki, wiedziała bowiem, że wprawni myśliwi natychmiast by ją wytropili, musiałyby przeżyć nowe upokorzenia i znowu wracać pod lufą strzelby od tego śmierdzącego zamczyska. Zamiast uciekać, udała się po prostu do pokoju Doktora.

Schodząc na dół, znowu dosłyszała dźwięki tej dziwnej muzyki, która ją prześladowała w dniach uwięzienia. Akordy i crescendo małych organów dobiegały z kaplicy, w której mieszkał Donally, a grał on z taką gwałtownością, że zdawało się, iż drżą zmurszałe kamienie. Nigdy dotąd nie słyszała muzyki organowej, poznała jednak, że instrument jest rozstrojony. Fuga osiągnęła swój szczyt. Slogan z poprzedniego wieczora był starty ze ściany, a na jego miejscu wymalowano: NIE WIERZ POZOROM, NIGDY NIC SIĘ ZA NIMI NIE KRYJE. Pchnęła gwałtownie drzwi i jak mogła najgłośniejszym wrzasnęła:

— Szarlatan!

Jej głos zabrzmiał pod sklepieniem sufitu w harmonii z muzyką i razem z nią przebrzmiał. Pokój był prawie ciemny, okna całkowicie zakryte skórą, choć na dworze wszystko kąpało się w słońcu, bo dzień był znowu pogodny. Tutaj jednak złowieszczo przytłumiony blask padający od piecyka nie pozwalał dojrzeć, gdzie się znajduje niewidoczny organista, dopóki nie dostrzegła go na tle resztek słabo połyskujących złocień piszczałek organów. Zapalona świeca przyklepiona była parafiną do manuału małych barokowych organów, pochodzących może z końca siedemnastego lub początku osiemnastego wieku. Dojrzała w mroku obtłuczone twarze jednego czy dwóch

cherubinów, wciąż uśmiechnięte na stoczonej przez korniki dębinie. Donally oderwał świecę „i unosząc ją do góry zszedł z ławy. Kręte włosy sterczały mu wokół głowy jak olbrzymia kolczasta aureola. Nie miał ciemnych okularów i wydawał się przyjazny i wesoły, co natychmiast obudziło podejrzliwość Marianny. Pojawił się syn Doktora, chyłkiem wynurzając się z cienia. Dyszał, to on musiał poruszać miechy organów.

— Zmykaj się pobawić — powiedział łaskawie Doktor do chłopca, który zerknął na niego z przestraczem i wypadł z pokoju zatraskując za sobą drzwi. Nie nosił dziś obroży, ale obtarta na szyi skóra wciąż była zaogniona. Wyglądał na bardzo zahukanego. Jedno oko miał podbite.

— Może kiedyś był pan Profesorem Muzyki? — powiedziała Marianna, zerkając na organy, mimo woli pod wrażeniem, dotychczas bowiem słuchała tylko marsowych dźwięków wojskowej orkiestry wuja.

Nic nie odpowiedział, postawił świecę na zarzuconym książkami, rozchwianym stole, w pewnej odległości od ołtarza, i ruchem ręki zaprosił Mariannę, żeby usiadła na jego krześle. Odmówiła. U siebie w pokoju wolał nosić schludny ciemny garnitur, białą koszulę i ciemny krawat, natomiast żadnych talizmanów czy ozdób, futer i piór. Zapalił jeszcze parę świec, żeby się trochę mogła rozejrzeć, zobaczyć obrosłe mchem filary podpierające sklepiony sufit pokryty pajęczyną, sztywny od brudu strzęp flagi na złożonym drzewcu opartym o ołtarz, brązowe orły pulpitu, jasnozielone od grynszpanu, a we framugach cienie jakichś woskowych i kamiennych figur. Ale blade światło świec służyło głównie temu, żeby obrysowywać strefy sztucznego cienia, choć oczy Donally'ego widać było wyraźnie. Były szare, z żyłkami zieleni, jak szlachetne kamienie, a białka oczu czerwono pożyłkowane.

Zauważyła, że brwi wyskubał sobie w cienkie łuki, dziwna próżność jak na człowieka żyjącego nigdzie.

— Proszę mi powiedzieć, jaka konieczność pana zmusza do wydawania mnie za tego Jahusa, który zgwałcił mnie wczoraj po południu, w porze dawniej przeznaczony na podwieczorek?

— Przemyśl wszystko i wyciągnij z tego jak najwięcej korzyści — odpowiedział Donally, głaszcząc purpurową połowę brody. — Jest prawdopodobnie najprzystojniejszym mężczyzną, jaki się ostał na świecie.

— Sam mi pan kazał nie wierzyć pozorom. A przez to, że jest przystojny, wcale mniej mnie nie bolało ani nie było to mniej upokarzające. Wprost przeciwnie.

— Skoro już się tak zadomowiłaś u tych Jahusów, możesz zostać królową śmietnika. Obce ci jest znaczenie słowa „ambicja”?

Potrząsnęła niecierpliwie głową.

— No, no, głowa do góry — mówił Donally zachęcająco. — Na pewno jest coś, czego pragniesz. Władzy? Mogę ci dać trochę władzy.

Zaoferował ją jak jakiś wspaniały przysmak.

— Chcę tylko jednego: żeby żył mój ojciec — wyznała w przyływie żalości. Opadła na krzesło Donally'ego.

— Weź się w garść, młoda damo. Wyjdź za Księcia Ciemności. Przekonasz się, że nie brak mu doświadczenia. Choć zawsze miał za małe możliwości. Stara się, jak tylko może.

Przyjrzała się książkom Doktora i zobaczyła nazwiska zapamiętane z grzbietów książek w gabinecie ojca, Teilhard de Chardin, Levi Strauss, Weber, Durkheim i inni, wszystkie ze śladami ognia albo wody. Czytał też trochę o socjologii.

— Skąd pan się wziął, dlaczego pan tu jest? Dlaczego pan nie pozostał tam, gdzie pana miejsce, przy redagowaniu tekstów albo pracy badawczej? Przypuszczam, że kiedyś może był pan Profesorem Socjologii, choć tylko jakiś zwariowany literat nazwałby tego pańskiego zwierzaka Księciem Ciemności, bo tamten, o ile pamiętam, był dżentelmenem.

— Nudziłem się — wyjaśnił Donally. — Byłem ambitny. Chciałem zobaczyć świat.

W podmuchu przeciągu świece roztańczyły się i powietrze zgęstniało od zapachu gorącej parafiny. Oczy Marianny coraz bardziej przyzwyczajały się do światła świec i rozróżniała teraz wypukłości i wklęsłości rzeźbionego sufitu, kwiaty, cherubinów, pasterzy, trupie czaszki, klepsydry i memento mori, wszystko pokryte kurzem. Wszędzie walały się skrzynie, komody, pudła zastawione zakurzonymi naczyniami, i znowu książki, jeszcze więcej niż w gabinecie jej ojca. Doktor musiał mieć dla siebie osobny wóz, żeby to wszystko przewozić. Na ścianach żółto kwitły chwasty i gdzieniegdzie kapła wilgoć.

— No, ale tu doszedł pan już do końca drogi i zagrzebał się pan razem ze swoją zbutwiałą biblioteką w tej ruinie — zauważyła złośliwie. — Dlaczego nie nauczył pan Klejnota czytać?

— Przede wszystkim w samoobronie — wyjaśnił zdecydowanie. — A po drugie chciałem go zachować w stanie pierwotnej energii.

— Co? Żeby pozostał pięknym dzikusiem?

— No, tak. Właśnie — przyznał Donally. Powieki mu zatrzepotały, delikatną białą dłonią dalej gładził purpurową połówę brody, przyglądając się teraz Mariannie, jak gdyby okazała się o wiele inteligentniejsza, niż sądził. — Nasz Klejnot jest bardziej dziki niż barbarzyński. Czytanie zmąciłoby jego sylwetkę, już by się nie wiedziało, dokąd zmierza.

Zapach gorącej parafiny i jakiegoś ohydneho naparu stojącego na piecyku połączyły się wywołując u Marianny zawrót głowy, mimo że głos Donally'ego i jego intonacja były tak znajome, że czerpała z nich nawet pewną pociechę, choć wszystko, co mówił, wydawało się rozmyślnie przewrotne. Kiedy się poruszył, z jego koszuli uniósł się delikatny zapach cytrynowej werbeny, czysta, odświeżająca woń, od której rozjaśniło się jej w głowie.

— Dlaczego porozumiewał się pan ze mną dotąd przy pomocy tych obrzydłych graffiti?

— Żeby nikt nie słyszał, co mówię — wyjaśnił. — Poza tym wieczorami nie mam nic więcej do roboty, zostaje mi tylko układanie aforyzmów.

— Myślałam, że jest pan człowiekiem o licznych zainteresowaniach.

— Od czasu do czasu zagram jakąś fugę. No i muszę ćwiczyć swoje ataki, oczywiście. Mam nadzieję, że robią wrażenie.

— No i zajmuje się pan swoim serpentarium — podpowiedziała. — Klejnot mi mówił o pańskim wężu, o ile mi się to tylko nie przyśniło.

— Wydało mi się, że upadek cywilizacji w tej formie, w jakiej pojmują ją intelektualiści naszego pokroju, może być porą równie dobrą jak inne na. opracowanie nowej religii — wyznał skromnie. — Jeżeli nie przyjmą węża jako symbolu, pomyślimy z czasem o czym innym, może się będzie nadawało. Nadal stosuję na ogół reguły Kościoła anglikańskiego. Przekonuję się, że można je w nieskończoność adaptować. Religia to sposób na wprowadzanie poczucia uprzywilejowania jakiejś grupy, rozumiesz? Wielu jest powołanych, ale niewiele wybranych, toteż wywabieni pochlebstwem ze stanu chaosu możemy porzucić stan barbarzyństwa i dążyć ku stanowi uczciwego

dzikusa, zachowując rodzaj wspólnoty. Pozwól, że ci coś zacytuje.

Przerzucił kartki jakiejś książki natkanej zakładkami i znalazł poszukiwane miejsce. Odchrząknął i przeczytał na głos:

— „Namiętnością, na jaką można liczyć, jest strach. Stąd dwa najogólniejsze cele: pierwszy, władza duchów niewidzialnych; drugi, władza tych ludzi, których będą one obrażały”.

— Mój ojciec miał tę książkę — zauważyła Marianna. — Tylko niezbyt ją lubił.

— Niewątpliwie żywił najlepsze nadzieje — orzekł Donally. — Nie musiał tworzyć systemu władzy i obwarowywać jej wszystkimi dostępnymi środkami. Wspierały go rytuał i tradycja, a my musimy je dopiero wynaleźć. Myślę, że ceremonia zaślubin zrobi większe wrażenie, jeżeli odbędzie się w nocy. Mam dla ciebie suknię, jest gotowa. Prawdziwe straszdyło. Sama wiesz, że nie masz innego wyboru. Małżeństwo albo całopalenie.

Znowu się do niej uśmiechnął, potem podniósł świecę i raźnie podszedł do ściany. Unosząc świecę, oświetlił szczelinę w kamieniu, a Marianna zobaczyła w niej szczerzącego zęby średniowiecznego kościotrupa, który trzymał kamienny proporzec z wrytym mottem: BĘDZIESZ TYM, CZYM JESTEM JA. Obdarzyła Doktora wątlm, bladym Uśmiechem i wypadła z pokoju na oślep przy wtórze kulturalnego, pełnego oglady, dźwięcznego śmiechu.

Na dworze, w jasnych promieniach słońca nagie dzieci bawiły się w berka na tarasie i w różanym ogrodzie. Kiedy Marianna ukazała się we frontowych drzwiach, wszystkie jednocześnie westchnęły. Od razu się rozpierzchnęły, ale wnuczka Pani Green zbiegała po schodach tak

prędko, że potknęła się i na łeb, na szyję zleciała na dół i wrzeszcząc upadła w kępę trawy. Marianna zeszła ze schodów, podniosła dziewczynkę i otrzepała kurz z jej pomarszczonego nagiego brzuszka. Jen spoglądała spođe łba.

— Mam nadzieję, że Klejnot ci pokaże — powiedziała. — Mam nadzieję, że jak się tylko z tobą ożeni, nie pożałuje ci pięści.

— Nowiny rozchodzą się na skrzydłach — stwierdziła Marianna. — Kto ci powiedział, że on się ze mną żeni?

— Mam nadzieję, że będzie cię trzymał w klatce jak tego węża — odpowiedziała mała. — A ja przyjdę i będę cię szturchała patykiem.

Wykrzywiła się złośliwie do Marianny i natychmiast straciła całe zainteresowanie. Wetknęła brudny kciuk do buzi i odmaszerowała między różanymi krzewami tam, gdzie jej towarzysze bawili się już w co innego. Przekwitłe, rozczochrane róże sypały na wszystkie strony płatkami. W tej romantycznej scenerii dzieci obrzucały kamieniami półgłówka. Skulił się pod krzewem białej róży, który wstrząsany gradem kamieni obsypywał go śniegiem płatków. Rękami osłaniał oczy.

— Widzę was! — warknęła Marianna dość okrutnie, rozgarniając kolczaste gałązki i przeszywając dzieci wzrokiem. Znowu się rozpierchły, a chłopak z płaczem upadł na twarz.

Odeszła w stronę rzeki, przez łąkę, na której pasły się kuce i konie. Podnosiły głowy, a ich aksamitne nozdrza drżały zwrócone w jej stronę. Łagodne spojrzenia zwierząt przyniosły jej ulgę, ale nadnaturalne piękno całej doliny przepełniało ją smutkiem, purpurowe chorągiewki tojeści pływające w słońcu z dachu wyglądały jak triumfalne flagi samej natury, obwieszczające swoje prawa do tej budowli. Poszła trochę dalej w górę rzeki, do miejsca, w którym zaczynała się

puszcza, i tam zobaczyła Najdroższego: Wjechał z koniem do wody, żeby go napić. Miał na sobie niewiele więcej niż dzieci.

Nie spostrzegł Marianny. Czarne włosy zwiślały mu na policzki, zasłaniając ślady igły od tatuażu, palce wplótł w czarną grzywę gniedego konia i śpiewał sobie jakąś bardzo prostą melodię. Powtarzał w kółko trzy tony frazy, zupełnie jakby nie pamiętał, że śpiewa. Pod miękką tkanką twarzy kości nie uformowały się jeszcze ostatecznie i nie stwardniały, a chude, brunatne chłopięce nogi zwiślały niedbale przy bokach konia. Najdroższy nie przestał jeszcze rosnąć. Brodził posuwając się w dół rzeki, koń rozgarniał trzciny w ciemnej wodzie i Marianna 'aż wstrzymała oddech, jeździec bowiem wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z rąk matki natury, zwierzę słabsze od innych i mniej od innych zwinne, ale jeśli się wszystko weźmie pod uwagę, najkorzystniej ze wszystkich ukształtowane, sama istota człowieczeństwa w stanie pierwotnej niewinności, bliżej spokrewniona z rzeką niż z nią. Oczy miał zamknięte, może marzył. Nie miała jednak pojęcia, o czym marzą Barbarzyńcy, chyba że ona sama grała jakąś rolę w jednym z ich marzeń.

— Myślałam, że u Barbarzyńców wszystko będzie dużo prostsze — powiedziała sama do siebie i nagle poczuła się opuszczona.

— Dlaczego pani została? Proszę mi powiedzieć, jaki był prawdziwy powód? — zapytała później Panią Green, kiedy zostały w kuchni same i Pani Green grzała wodę w wielkim żelaznym saganie, żeby umyć Mariannę. Pani Green sprawdziła temperaturę wody łokciem i łagodnie się uśmiechnęła do jej marszczącej się powierzchni, na której wyskakiwały malutkie bąbelki.

— Zostawili mi ślady obcasów na sercu — oświadczyła. — Pierwszy raz ich widziałam, jak byłam mała. Zobaczyłam, jak wjeżdżają do

osiedla, i wszyscy tak się bali, i jeden z nich zabił mojego brata, ale już wtedy wiedziałam, że jeździec małe ma szanse w starciu z wyszkolonym żołnierzem. Och, oni nigdy nie odnoszą zupełnego zwycięstwa, przecież im to niepotrzebne. Trochę grabieży, żeby zabrać co niezbędne. Mąkę i inne rzeczy.

— Główną ich bronią jest strach, więc tak się przebierają, żeby nie być podobnymi do niczego na świecie, a już na pewno nie do ludzi.

— O, tak — potwierdziła Pani Green. — To prawdziwa maskarada. Aż pstro się robi w oczach. Lepiej umyj się tutaj, a ja stanę przy drzwiach, żeby nikt nie wszedł. Chybaby sobie nie życzyła, żeby na przykład Johnny zobaczył cię gołą, jak Pan Bóg stworzył.

Marianna postawiła kocioł z wodą na stole i umyła się od stóp do głów. Pani Green dała jej kostkę mydła, którą chowała od lat na dnie kuferka na podobną okazję. Barbarzyńcy sami nie wyrabiali mydła i rzadko odczuwali potrzebę jego używania. Kiedy myła ramiona, coś przesłoniło światło w kuchni. Obejrzała się i zobaczyła, że uwolniony z łańcucha półgłówek siedzi na parapecie okna, robi do niej miny i daje jakieś znaki. Krzyknęła, zaskoczona. Pani Green wybiegła na podwórko spędzić go z okna. Marianna owinęła się spódniczką i pobiegła za nią. Chłopak turlał się po ziemi, a Pani Green usiłowała rozewrzeć mu palce, mocno zaciśnięte na czymś, czego najwidoczniej nie chciał jej pokazać.

— To dla dziewczyny Profesorów — powtarzał. — Ślubny prezent.

— Tu jestem — powiedziała Marianna kłękając przy nim.

Od razu się uspokoił i przykucnął. Łańcuch i obroża groźnie wisiały u ściany budy, ale ranę na szyi ktoś posmarował mu tłuszczem.

Chichotał i podskakiwał, jedną ręką zasłaniając twarz, a drugą wciskając coś Mariannie do ręki. Prezentem okazało się parę źdźbeł trawy i trochę zgniecionych płatków róży.

— Dziękuję — powiedziała Marianna, zaglądając mu w zażawione oczy.

— Na nic lepszego nie mogłem się zdobyć w tych okolicznościach — oznajmił. Głos miał cienki jak ojciec i zdumiewająco wyraźną wymowę.

— Ojciec cię zbije, że nie poznasz Bożego świata, jeżeli odkryje, że latasz na wolności.

— Powiedział, że mogę wyjść, złościł się na Klejnota, że rozciął obrożę, ale mówił, że mogę się poruszać swobodnie, bo dziś jest wyjątkowy dzień, a Klejnot posmarował mi ranę tłuszczem, bo mówi, że dziś jego wesele.

— No... — wybąkała Pani Green z niedowierzaniem, patrząc na niego z góry, zakłopotana. — Wiesz przecież, że nie wolno ci się pętać i zagłądać do okien. Leż sobie w swojej budzie, jak przystało grzecznemu chłopcu, a ja pójdę i przyniosę ci coś do zjedzenia.

Wczołgał się do budy i z westchnieniem przysiadł na kupce brudnej słomy.

— A będę mógł później dostać kawałek weselnego tortu?

— Nie ma żadnego weselnego tortu dzisiaj, nie było żadnego weselnego tortu od wielu, wielu lat. Gdzie, u licha, słyszałeś o weselnym torcie?

— Nie wiem — odpowiedział chłopiec. — Gdzieś słyszałem.

Westchnął gwałtownie znowu i zaczął się onanizować. Zaszokowało to Panią Green, która, psykając, szybko zagoniła Mariannę z

powrotem do kuchni, gdzie dziewczyna dokończyła mycia w stygnącej wodzie.

— Wcale nie jest idiotą — stwierdziła Marianna. — A już na pewno każdy byłby takim samym idiotą, gdyby go cały czas trzymano na łańcuchu.

— Nie było od niego dziwniejszego dzieciaka, kiedy był mały, ślinił się, i w ogóle. I te ataki, zupełnie jak tatuś, straszne ataki. Z pianą z ust i zgrzytaniem zębów. Strach pomyśleć, co z nim będzie za rok czy dwa, jeśli idzie o dziewczyny i te rzeczy. Prawdę mówiąc, już dziś przychodzą, bawią się z nim i drażnią go. Obrzydliwość, a Donally strasznie go katuje, jakby to była jego wina.

Pomogła Mariannie się wytrzeć i poszły na górę, do jej pokoju, gdzie rozpałała w kominku. W czasie ich nieobecności ustawiono tam metalową skrzynię.

— To moja ślubna suknia?

— Tak przypuszczam, kochanie.

— A kiedy zaczyna się ceremonia?

— Mniej więcej o zmierzchu.

Pani Green wydobyla grzebień i ze smutkiem wzięła się do czesania Marianny, która ukradkiem, bojąc się wszy, obcięła sobie włosy, wystrzygając pasemko po pasemku małym nożykiem.

— To całkiem pomyłone, żeby dziewczyna miała takie krótkie włosy — orzekła Pani Green. — I po cóż ci je obcinali?

— Sama to zrobiłam.

Pani Green wytrzeszczyła oczy.

— Ależ z ciebie dziwaczka. Nie potrafisz się dopasować.

Marianna usiadła na sienniku, objęła rękami kolana i z goryczą rozmyślała o tym, co jeszcze ją czeka, nie miała bowiem na to najmniejszego wpływu.

— Niech pani otworzy skrzynię, chcę zobaczyć tę suknię.

Pani Green podniosła skrzypiące wieko metalowej skrzyni i odwinęła całą masę cienkiego pożółkłego papieru, który w jej palcach kruszył się na proch. Odgarnęła papier, wsunęła rękę głębiej i wydobyla ślubną suknię, taką, jakie Marianna oglądała tylko na fotografiach zachowanych sprzed wojny. Wstała z siennika i zbliżyła się do skrzyni. Ze zdumieniem i obrzydzeniem wlepiła oczy w jej zawartość.

Suknia miała satynowy stanik, porysowany teraz niezliczonymi cieniutkimi pęknięciami, długie, wąskie białe rękawy, które nad dłonią z tyłu wycięte były w szpic, i nieskończenie szeroką spódnicę z pożółkłego od starości tiulu. W pudle znajdowały się też całe zwoje cienkiego welonu i wianuszek ze sztucznych pereł. Większość pereł miała startą polewę, wyglądały więc już tylko jak maleńkie, białe szklane kuleczki. Pani Green z ogłupiałą miną rozpostarła suknię na łóżku. Marianna zmięła w rękę obrębek sukni i patrzyła, jak w jej palcach materiał rozsypuje się w proch, tak jak przedtem papier. W każdym fałdzie obszernej spódnicy leżał cień pleśni, wszystko czuło się stęchlizną i starością.

— Zupełna niedorzeczność! — wykrzyknęła. Nie mogła opanować śmiechu i Pani Green roześmiała się także, ale z nutą niepokoju.

— O, to zrobi wrażenie — powiedziała. — To coś z tych rzeczy, wiesz, jakie według nich Profesorowie noszą w ukryciu swoich domów.

— O wiele na mnie za duża.

— Nikt nie zauważy. Nie ma jej z czym porównać. Zrobi po prostu szalone wrażenie.

— Jest okropna, obrzydliwa — stwierdziła Marianna. — I na pewno pełna zarazków.

— No, tego nie wiem — powiedziała Pani Green.

Zwlekała przy drzwiach. — Muszę już iść, kochanie, mam do przygotowania na później wielkie przyjęcie.

— Przyjęcie — powtórzyła zimno Marianna. — Zabawa.

— Ty tylko rób, co ci każą, włóż tę suknię i czekaj — ucieła Pani Green z gniewem, gdyż nagle jej cierpliwość się wyczerpała. — Jak przyjdzie czas, wrócę po ciebie.

Marianna dosłyszała, jak Pani Green rygluje kłódą drzwi, i zrozumiała, że znów jest zamknięta. Wróciła do kominka, odsuwając się jak najdalej od sukni, od której nie mogła oderwać wzroku. Kiedy w pokoju się ściemniło, suknia wyglądała jak blask księżycy i wydawało się, że rozpyła naokoło coraz więcej pyłków tiulu niby jakiś błądź grzyb rozsiewający leciutkie zarodniki, dotykającą białą zarazę. Wirusy chorób oznaczonych plakietkami na próbkach, w których je wyhodowano, mogły przetrwać długie lata pod wrzosami porastającymi umarłe miasto, gnieźdząc się niewidzialnie w takich puszkach Pandory jak ta skrzynia, wygwieźdzona osmalonymi nalepkami nieznanymi miejscowości z czasów, kiedy nieznanymi miejscowościami istniały nie tylko w wyobraźni. Bo gdzież dziś jest ten Paryż, w którym przez chwilę czczono boginię Rozumu?

Suknia ją odpychała. Stała się wyobrażeniem przemocy. Jakaś młoda kobieta przed Marianną szła w niej do staroświeckiego ślubu, na wesele z tortem, winem i toastami. Potem niebo otworzyło parasol ognia. Marianna przywarła do ściany ze spuszczoną głową, zacisnęła powieki, zacisnęła pięści i starała się narzucić sobie dystans wobec groźby tkwiącej w tym rozsypującym się anachronizmie. Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, suknia nadal była widoczna, jarząc się od

blaskiem szronu albo też zielonkawym światłem wieczornej gwiazdy, a Pani Green wkroczyła energicznie z lampą w rękę.

Była zarumieniona i bez tchu. Wniosła z sobą ostry zapach przypalonego tłuszczu i pieczeni. Fartuch miała poplamiony tłuszczem i włosy wymykały się jej z koka.

— Powinnaś była włożyć suknię — zauważyła surowo.

Podniosła ją z wielką ostrożnością i zbliżyła się do Marianny ciężkim, nieubłaganym krokiem zdecydowanej starszej damy. Marianna zrozumiała, że wszystko na nic, że musi przejść swoją próbę, zaczęła więc machinalnie rozpinąć bluzkę. Trzęsła się i pocila, ponieważ jednak raczej zawsze brał w niej górę gniew niż strach, zmieniła się w milczącą, wściekłą kukłę, która pozwala się porwać w przepaść. Satynowy stanik wślizgnął się na jej ciało jak ulepiony ze śluzu i lodu, a spódnica opadła pokrywając wokoło całe jardy podłogi kruchym jeziorem. Ale Pani Green już uwijała się przy niej ze szpilkami i wreszcie wszystko, nawet twarz Marianny, przysłonił welon, tak że na koniec uległa całkowitej przemianie i była już tylko zawiniątkiem zbladłego materiału rozpadającego się z każdym ruchem w proch. Stanik pękał z trzaskiem.

— Będą mnie musieli szybko wydawać za męża, zanim to wszystko rozlezie się w szwach i cała suknia zniknie — powiedziała.

Pani Green wycofała się w drugi kąt pokoju i od stóp do głów zlustrowała żółtawą, ulotną, widmową postać Marianny. Welon wystrzelał żalonymi serpentynami. Marianna wyciągnęła małą, białą, żywą rękę i poskromiła go.

— Nie wygląda to, prawdę mówiąc, bardzo ładnie — orzekła Pani Green. — Nie można powiedzieć, żebym była przesądna, ale...

Na satynowym rękawie Marianna dostrzegła plamkę w miejscu, gdzie dawna panna młoda coś rozlała, może odrobinę wina. A może tamta dziewczyna była szczęśliwa, kiedy miała na sobie tę suknię i rozlała to wino. Zapiekły gniew trochę zelżał, ogarnął ją smutek.

— Jak pani myśli, kto pierwszy miał ją na sobie? — zapytała i ostrożnie pogłaskała satynę palcem, prawie czule, jakby prosiła suknię, by jej wybaczyła, że tak bardzo się jej nie podoba.

— Od tego prosta droga do obłędu — stwierdziła sentencjonalnie Pani Green. — Ale będzie na co popatrzeć. Prawdziwe widowisko. Przygotował już pokój, wszędzie świece, kwiaty. Wąż już w klatce, on, widzisz, pokazuje go w klatce.

— Czy dziś wieczorem to będzie wąż falliczny? — zapytała Marianna.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odpowiedziała Pani Green.

Zdjęła brudny fartuch i rozpięła suknię. Miała pod nią przyzwoitą, sięgającą po szyję halkę, uszytą z prześcieradła. We własnej skrzyni wyszukała czystą suknię, identyczną jak poprzednia, włożyła ją i rękami przyglądała zagniecenia. Zwinęła włosy ze zręcznością osoby od dawna do tego nawykłej, i już była gotowa, choć wyglądała na smutną w głębi serca.

— Pracowałam dla Profesorów tak długo, że już byłam starsza niż ty teraz, i zawsze uważałam, że to ludzie bez serca — wyznała nagle.

— Bądź dobra dla mojego Klejnocika, bądź miła.

— Miła?! — wykrzyknęła Marianna, zaskoczona. — Miła?

— No i masz — westchnęła Pani Green z triumfalną melancholią.

— Nic nie rozumiesz.

— Nie dalej jak wczoraj rzucił się na mnie jak rzeźnik, ma ręce

rzeźnika, a oczy jak ślepe lusterka, przez które on patrzy, ale w które nie można zajrzeć. Nic nas nie łączy, a pani mi mówi, żebym była dla niego miła!

— Zupełnie nic nie rozumiesz — powtórzyła Pani Green. — No, podnieś głowę do góry, bo im się zdaje, że z ciebie coś nadzwyczajnego. Choć chyba i tak dosyć zadzieraszą nosa.

Marianna z obrzydzeniem zebrała obszerną spódnicę. Usta Pani Green opadły w kącikach z dezaprobatą, ale jednocześnie żal jej było Marianny i to ją złościło najbardziej.

Stara kaplica pełna była dzikusów w łachmanach i futrach. W obręczach, sprzączkach, szklanych obrózkach, ozdobach z metalu i kości odbijały się płomyki setek świec poprzyklejanych do kamiennych ścian, tyłu świec, że pokój zalany był światłem, wszystko stało się widoczne, flagi, organy, rzeźby, pulpity, ołtarz cały w świecach i kwiatkach, woskowa malowana figurka kobiety w błękitnej szacie, z której tyle się wytopiło wosku przez wszystkie te lata, że kobieta wyglądała na obrzękłą. Ktoś zerwał wszystkie róże z rozarium i przyniósł je do kaplicy, wszędzie leżały więdnącymi bukietami. Woń niemytych ciał w połączeniu z zapachem róż i wosku była aż gęsta. Chyba wszyscy członkowie plemienia byli obecni i wszyscy zachowywali całkowity spokój i milczenie, niemowlęta umilkły u piersi matek, a starsze dzieci przywarły do ich spódnic i przez las nóg przyglądały się zjawisku nie z tego świata, w sukni równie odwiecznej jak ich nieszczęścia, zjawisku, które ostrożnie przechodziło przez tłum. Kiedy tylko Marianna się pojawiła, szelest odzieży zdradził, że wszyscy poza Klejnotem i jego braćmi nakreślili na sobie znak chroniący przed złym spojrzeniem.

Była przygotowana na niespodziankę, ale mimo to zaskoczył ją dziwny wygląd Donally'ego. Siedział na ołtarzu jak groteskowy ptak. Włożył rzeźbioną drewnianą maskę malowaną w niebieskie, zielone, purpurowe i czarne plamy, w ciemnoczerwone kropki i szkarłatne pasy. Maskę zasłaniała mu całą twarz oprócz sterczącej dwubarwnej brody. Od stóp do głów okryty był szatą utkaną z ptasich piór. W rękach trzymał klatkę z plastyku i metalu, z rodzaju tych, w jakich przed wojną trzymano papużki. Pręty klatki przeplecione były plastikowymi kwiatami, popękanyymi ze starości i na pół stopionymi, a także wstążkami i piórami, tak że znajdujący się w niej prawdopodobnie wąż był ledwo widoczny. Zastanowiła się, czy Donally na zakończenie ceremonii nie zechce przystawić jej tego węża do piersi, jak zmię Kleopatry. Ten ponury majak wyobraźni był tak natrętny, że poczuła, jak poca się jej dłonie, i ukradkiem otarła je o cieniutką spódnicę. Dotknięcie sitowia pod nogami wydało się jej stare jak świat, przedwieczne jak smak zimnej wody.

Bracia stali zwartą gromadką za Donallym. Wyglądali całkowicie barbarzyńsko, jak Barbarzyńcy widziani przez nią po raz pierwszy, jak ucieleśnienie koszmaru. Wszyscy oczy mieli obwiedzione czarną farbą, czoła i usta pomalowane na białą, a na policzkach wymalowane czerwone plamy. Ich długie włosy były splecione i poskręcane tak misternie jak peruki władców starożytnego Egiptu. Szczodrze przyozdobieni byli biżuterią, częściowo ze złota i drogich kamieni wygrzebanych z najgłębszych ruin, zmatowiałą lub odczyszczoną. Nawet trzej najmłodszy, co za pomysł, mieli chyba na sobie jakieś części zbroi, ale Klejnot okryty był szkarłatnym płaszczem przetykanym złotą nicią, niegdyś zapewne własnością jakiegoś biskupa. Wyglądał dziwnie i

wspaniale, jak przedpotopowy władca albo jakiś pradawny sułtan. Donally musiał się zajmować łupieniem muzeów. Może był kiedyś Profesorem Histerii.

Na włosach Klejnot miał złotą plecionkę, a w uszach bardzo długie srebrne kolczyki. Zmienione rysy jego twarzy podkreślały ciemny koloryt skóry. Był jak dzieło sztuki, jak stworzony, nie zrodzony, fantastyczny elegant pustyni, którego prawdziwa natura została bez reszty podporządkowana obcemu i przerażającemu pięknu retorycznego gestu, w całkowitym oderwaniu od jego ciała. On sam był celowo zredukowany do symbolu. Stał się symbolem jakiegoś pojęcia o bohaterze, a jej narzucono rolę symbolu dawnej panny młodej. Choć jednak ona sama wiedziała, że tylko ucieleśnia symbol, nie była pewna, czy Klejnot nie stał się nim naprawdę, każdy bowiem rys tej niezemskiej postaci wyrażał najwznieściejszą pogardę i nie sposób było powiedzieć, czy narzucała mu ją jego rola.

— Drodzy ukochani — zaczął Donally głuchym głosem. — Zebrałiśmy się wszyscy...

I z powodzeniem mógłby się posługiwać anglikańskim modlitewnikiem, cokolwiek bowiem mówił, nie miało to najmniejszego znaczenia dla zgromadzenia dzikusów, którzy słyszeli tylko melodyjną i hieratyczną intonację. Jego głos wydobył się spod maski z tajemniczym dudnieniem i całe plemię westchnęło. Teraz, stojąc blisko klatki, Marianna, zobaczyła, że cętkowany wąż spokojnie śpi. Bracia stali nieruchomi jak postacie wymalowane na ścianie jaskini i obserwowali ją. Była zadowolona, że welon zasłania jej twarz. Jakies dziecko znudziło się albo przestraszyło i zaczęło płakać. Jakaś kobieta bez skutku usiłowała je uciszyć, a potem wzięła za rękę i wyprowadziła. Kiedy drzwi się otworzyły, nagły przeciąg poderwał welon i zarzucił

go wprost na Donally'ego. Cienki tiul na chwilę przywarł do drewnianego czoła maski i okrytych piórami ramion niby nagły podmuch śnieżycy.

Na moment irytacja przerwała mu gładki tok przemowy i z rozdrażnieniem odgarnął welon, ściągając go na chwilę i z jej twarzy. Potem Klejnot musiał się pochylić i zaślubić ją wsuwając jej na palec pierścień, pierwszy, jaki ściągnął ze wskazującego palca, sygnet z łokiem włosów z głowy kogoś dawno nieżyjącego. Pierścień wszedł tak luźno na czwarty palec jej lewej ręki, że Klejnot zdjął go i wcisnął jej na kciuk, obcierając staw. Spojrzał surowo na Mariannę, jakby ta danina dobrowolnie składana symbolice nad miarę go zirytowała. Dojrzał jej twarz pod innym kątem, w półcieniu. Matowe, brunatne krążki jego oczu rozszerzyły się i po raz pierwszy jej coś przekazały — nagły i pełen przerażenia błysk uznania. Puścił jej rękę, jakby go sparzyła. Tymczasem uroczystość trwała nadal.

Stwierdziła, że Donally włączył do niej rytuał własnego pomysłu, wzięty prawdopodobnie ze studiów nad kulturą Indian. Rozpostarł ramiona i skinął drewnianą głową, naśladując wdzięczenie się jakiegoś skrzydlatego węża. Jego piękne upierzenie przypominało raz pióra, raz łuski. Całe plemię, wszyscy jednocześnie, złamali nagle szereg, rzucili się do przodu i otoczyli ołtarz, żeby lepiej widzieć to, co teraz nastąpi. Zatrzymali się jednak w bezpiecznej odległości od rozsypującej się Marianny. Klejnot zamknął oczy, tak że nie mogła już w nie zajrzeć. Przez farbę na jego czole przedostały się krople potu. Wydobył nóż i obcesowo podał jej ostrzem do przodu, jakby miała się nim przebić. Mimo woli wzdrygnęła się. Jego oczy gwałtownie się otworzyły, skrzywił się i schwyił ją za rękę. Skręcała się i

wyrywała, chciała krzyżeć, ale fruający welon przywarł jej do ust i zadławił głos. Szpony Donally'ego złapały jej dłoń i przestała się wyrywać, bezradnie patrząc, jak Klejnot przybliży ostrze do jej przegubu. Zrobił małe nacięcie, z którego wypłynęło parę kropel krwi. Oczekiwała czegoś gorszego. Prawie nie poczuła bólu. W kaplicy podniósł się potężny szum zbiorowego westchnienia, kiedy zobaczyli, jak czerwona jest jej krew.

Klejnot wręczył nóż Johnny'emu, który naciął rękę brata, jak on sam naciął rękę Marianny. Klejnot tak bardzo dygotał, że ostrze noża zadało mu niebezpieczną, poszarpaną ranę i na brązową skórę tryśnęła krew. Zauważyła, że on powstrzymuje atak histerycznego śmiechu, kiedy Donally ceremonialnie się pochylił i zetknął obie rany, żeby wszyscy widzieli, że ich krew się łączy. Sporo krwi prysnęło na suknię. Kiedy już rytuałowi stało się zadość i Klejnot wolną ręką tamował krew, Donally podskoczył wysoko, wydał donośny okrzyk i rzucił się w dół na sitowie tocząc pianę i bełkocząc w straszliwym ataku.

Kłębił się i miotał jak wzburzona rzeka, wypływając niezrozumiałe dźwięki jak ślinę. Plemię przywarło do ścian robiąc mu miejsce. Wiele dzieci rozplakało się, a rodzice wytrzeszczali oczy okrągłe z przerażenia i zbożnej trwogi. Atak miał tyle samo barokowych wariacji, co gra Donally'ego na organach, i trwał, aż świece wypaliły się do połowy, a wąż przez cały ten czas spał, nawet kiedy Donally ciskał się w stronę klatki i wstrząsał nią, toteż Marianna zastanawiała się, czy wąż jest żywy, czy to tylko wypchana skóra.

Wręczcie zmęczony i wyczerpany Donally legł w kupie pierza. Pióra zasłały całą podłogę i w tłumie czuło się również wyczerpanie, jak gdyby plemię razem z Doktorem przeżyło tę zwariowaną walkę.

Kiedy już znieruchomiał po kilku ostatnich drgawkach, plemie powoli wymaszerowało, zostali tylko pan młody i panna młoda, bracia i Pani Green. Bracia stali teraz swobodnie, drapali się i ziewali.

— Moja biedna Jen — powiedziała Pani Green. — Jakże płakała!

— Daj mi kawałek bandaża, zanim się wykrwawię na śmierć — poprosił Klejnot.

Pani Green wydobyła chusteczkę i owiązała mu rękę.

— Teraz uczta — dodał, nie podnosząc oczu znad opatrunku. — Uczta weselna.

Upadły archaeropteryx żwawo pozbierał się z podłogi.

Stół w kuchni zastawiony był podpłomykami, ćwiartkami mięsiva i dzbanami pędzonego przez nich alkoholu. Marianna spróbowała łyżek i wypluła. Na podłodze psy i dzieci wrywały sobie resztki, a Marianna siedziała u szczytu stołu starannie upozowana, wyprostowana, z welonem odrzuconym do tyłu, żeby wszyscy mogli oglądać jej twarz. Klejnot zasiadł u drugiego końca stołu. Karmił szczeniaka ze swojego talerza i pił. Czerwonozłoty płaszcz układał mu się w kanciate rzeźbiarskie fałdy. Wyglądał jak król karciany. Kiedy poczuł na sobie spojrzenie Marianny, odwrócił się od niej i uchwycił stołu tak mocno, że knykcie jego dłoni stały się bielsze od farby na twarzy.

Donally fruwał dookoła stołu, gubiąc puch i pióra, uśmiechnięty, gawędząc i żartując. Maskę zostawił w kaplicy, a wraz z nią całe swoje czarodziejstwo. Stworzył oto z niczego scenę obrzędową i w jego łaskawej obecności ci Barbarzyńcy stali się prostymi wieśniakami, którzy mogliby obchodzić czyjeś wesele w każdym czasie w blasku świętego ognia.

Nastrój był wesoły i rubaszny. Później przysła kolej na muzykę. Donally wziął skrzypce, a jakiś starzec grał na organkach. Killkoro dzieci pobrzękiwało na drumlach szarpiąc struny zębami. Tańczono. Bracia połyskiwali jak czarny ogień, a lśniące kawałki metali, którymi byli przybrani, wirowały odbłaskami po ścianach; najstarszy brat siedział nieruchomo, jakby zagubił się na dobre w szkarłatnej kryjówce swojego płaszcza. Był barwną skorupą i gdyby ten płaszcz się rozchylił, mógłby ukazać tylko podszewkę, nikogo w środku.

— Musisz iść do łóżka — powiedziała Pani Green do Marianny. — Wypij jeszcze kropelkę. Musisz iść tam, gdzie sypia Klejnot.

— A oni wszyscy pójdą za mną dopilnować, czy wszystko odbyło się według prawa?

— Nie, kochanie, zostawią cię w spokoju. Czego się spodziewasz? Jakiejś procesji?

— Jestem gotowa na wszystko — powiedziała Marianna.

Klejnot wybrał dla siebie pokój wysoko, w najstarszej części domu. Marianna przeszła do wieży pod niskim sklepieniem u końca długiego korytarza nad kaplicą. Spiralne schody wiły się w górę bez końca. Strome stopnie przez wszystkie te lata wydeptane były pochyło. Żeby nie spaść, trzymała się ściany i szła krok w krok za pryskającą lampką Pani Green. Innego światła nie było. Pomieszczenia, nawet te, których Barbarzyńcy nie zajęli, stały otworem po obu stronach schodów, wypełnione smrodem i stęchlizną. Nagle schody ugięły się pod jej stopami, poczuła, że ściany stają się wilgotne i omszałe. Od czasu do czasu trafiała rękami na kępki kapiących od wilgoci roślin. Bosymi stopami dotykała różnych mokrych, niewidocznych rzeczy.

Kobiety wchodziły coraz wyżej, a lampa odsłaniała przed nimi, za nimi i naokoło tylko czarny kamień.

— Może tu być niebezpiecznie, gdy wieje wiatr — zauważyła Marianna.

— Tak, ale Klejnot jest tu sam u siebie — powiedziała Pani Green. — To ma zapewnione.

Marianna czuła wiatr niemal pod stopami. Było to jak wspinanie się na księżyc. Wreszcie znalazły się przed jakimiś drzwiczkami, tak niskimi, że musiała się pochylić, i weszły do pokoju Klejnota. Wyglądało na to, że wybrał go ze względu na świeże powietrze, dach bowiem w dużej części był zwalony i odsłaniał szeroki szmat głębokiego, granatowego nocnego nieba z garścią rozsypanych gwiazd. Pani Green postawiła lampę na skrzyni pod ścianą i kiedy płomień się uspokoił, Marianna zobaczyła wewnątrz na pół wchłonięte przez puszcę.

Czerwona jagoda przyniesiona tu przez wiatr albo wypuszczona z ptasiego dzioba zapuściła w kącie korzenie i wyrosła w niewielki, ale krzepki krzaczek ostrokrzewu o zdrowych gałązkach, na których wisiała cała kolekcja naszyjników Klejnota, akurat nie używanych, części jego ubrania i sporo noży. Podłogę zaścielały wszelkie śmiecie, odpadłe dachówki i przesuwająca się z kąta w kąt fala kruchych zeschłych liści nagromadzonych tu przez lata, oczyszczono jednak dosyć miejsca, żeby położyć nakryty futrami siennik jako prymitywne weselne łoże i wstawić drewnianą skrzynię, na której stało teraz parę dzbanków, miednica z wodą i leżały ręcznik, wyszczerbiony grzebień i brzytwa. Ktoś przywrócił do porządku stary kominek, znajdowało się w nim bowiem parę szczap suchego drewna, gotowych do podpalenia. Przypadek chciał, że grube szkło w jedynym gotyckim okienku tkwiło nietknięte i z jakiegoś powodu Klejnot wytarł je do czysta.

Przez to okno Marianna zobaczyła błądy sierp księżycy nad lasem. Z daleka od kuchni i tych partii domu, w których odbywało się wesele, wiatr szumiał i świstał wokół dachu, a za ścianami dosłyszała szelest mysiej bieganiny.

Pani Green zapaliła od lampy drwa na kominku. Marianna obmyła rozciętą rękę w szczypiącozimnej wodzie. Jej krew, czy też krew Klejnota, bo nie mogła przecież odróżnić, spłynęła bladymi strużkami, ale sama ranka już się zasklepiła. Pani Green zdjęła welon z głowy Marianny i zwinęła go.

— Niech go pani spali — powiedziała Marianna.

— Komin się zajmie.

— Niech go pani spali!

Pani Green wzruszyła ramionami i cisnęła welon w ogień, a on natychmiast buchnął płomieniem i zaraz opadł żarzącą się siatką popiołu. Marianna z ulgą uwolniła się od ruiny ślubnej sukni i ją spaliły także. Spódnica uleciała do komina wielkimi płonącymi strzępami i opadła czernią, a szklane kuleczki, które kiedyś były perłami, rozsypały się w płomieniach na wszystkie strony jak spłoszone owady. Po chwili nic nie pozostało i Pani Green patykiem rozgrzebywała nierozpoznawalne już szczątki. Marianna zadrżała z zimna. Spozstrzegła, że Pani Green rozłożyła dla niej na łóżku jedną ze swoich nocnych koszul, obszerny flanelowy całun z koroneczką wokół szyi. Włożyła go na siebie.

— Nikt mi nic nie mówił o tym mieszanu krwi. Nie wiedziałam, że mają zamiar to robić. Wiesz, to mnie naprawdę wyprowadziło z równowagi. Co on sobie myśli? Co on wyprawia?

— To na pewno zrobiło duże wrażenie.

— No chyba. Można jednak posunąć się za daleko.

— Myślałam, że ma zamiar mnie zabić, porąbać na kawałki, usmażyć i w rytualnych kęsach podać członkom plemina.

— Naprawdę tak myślałaś? — zapytała wstrząśnięta Pani Green.
— O, to by się tu nie mogło zdarzyć, dopóki jeszcze Bradleyowie rządzą w tym kurniku.

Marianna zdjęła z siennika jedną ze skór, rzuciła ją przed kominek i uklękła na niej, ogrzewając zziębnięte dłonie nad płomieniem.

— Klejnot jest pijany — powiedziała.

— O, tak — potwierdziła Pani Green, jakby to było nieuniknione.
— Jest też w okropnym humorze. Mój biedny chłopczyk, moje biedactwo ma dar chronicznego smutku.

— Niech pani nie będzie płacziwą niemądrą staruszką. Wszystkie matki tak się zachowywały z okazji wesela, zawsze się rozrzewniały, to tradycja.

Zdała sobie sprawę, że te słowa wywołały jednocześnie ducha jej własnej matki, która umarła z miłości do jedyne go syna, umilkła więc przebierając palcami w kłaczkach z króliczego czy też zajęczego futra. Trzymała kiedyś w klatce królika i karmiła go liśćmi mlecza, miała cztery lata, zanim przyszedli Barbarzyńcy, a ona była jeszcze dzieckiem szczelnie i bezpiecznie zamkniętym w białej wieży, osaczona szaleństwem od zewnątrz, za kolczastym drutem? żyjąc w społeczeństwie tak racjonalnym, że kiedy jej biały królik zdechł, rozcięto go w poszukiwaniu przyczyny śmierci.

— Moja matka zawsze bardziej kochała brata — zwierzyła się mgliście Pani Green, która stała obok wpatrzona w ogień, z twarzą pooraną nieodgadnionymi troskami. Marianna przysunęła się do niej szukając pociechy, choć nie miała pojęcia, jakiej pociechy mogłaby jej udzielić Pani Green. Co najwyżej powtórzyłaby jakiś stary frazes na temat ludzkich zachowań, które mogą już nie mieć zastosowania.

Knot małej lampki zanurzył się w tłuszczu i płomień zgasł. Pokój wypełniło światło padające od kominka. Drzwi z trzaskiem odchyliły się na zawiasach i niepewnie zawieszony pokój zadygotał, jakby miał zamiar zerwać cumy i odpłynąć od szczytu wieży. Nadszedł Klejnot. Włókł za sobą po podłodze szkarłatny płaszcz, który i tak był już bardzo brudny. Zrzucił go na kupę gruzu. Nie zauważył obecności swojej żony ani macochy. Zanurzył twarz w miednicy z wodą. Otrząsał całą kaskadę kropel i wytarł się ręcznikiem. Mariannie przyszło do głowy, że może zmyć razem z farbą rysy swojej twarzy i że uniesie ku niej gładkie, pozbawione oczu jajo głowy, ale w rzeczywistości znów stał się sobą, jeżeli to właśnie był on, choć ubrudzony farbą i ponury. Emanował z niego niepokój. Pani Green nerwowo podniosła się na nogi.

— To ja już idę — oznajmiła.

Klejnot nic nie powiedział. Odpiął srebrne kolczyki i rzucił je na podłogę. Marianna wyprostowała się, czując mrowienie skóry. Atmosferę wypełniła elektryczność. Klejnot naładowany był sprzecznościami i Mariannę zaczęło to bawić. Po podłodze przesuwają się suche liście. Pani Green wyjęła z ognia głównię, żeby oświetlić sobie drogę na dół. Spojrzała z niepokojem na młodą kobietę i młodego mężczyznę złowrogo wlepiających w siebie oczy i zirytowana, żłośnie sapiąc i wzdychając, wyniosła się. Drzwi zamknęły się za nią z głuchym stuknięciem i z krzewu spadł naszyjnik ze srebrnych monet. Marianna postanowiła przejść do ataku.

— Co za farsa — powiedziała, jak mogła najbardziej nieuprzejmie. — Co za groteska.

Odchrząknął i spróbował przywrócić lampę do życia, ale mu się to nie udało. Przy akompaniamencie leciutkiego pobrzękiwania biżuterii podszedł do kominka i, nie zwracając na nią uwagi, usiadł na

drugim końcu futra ze skrzyżowanymi nogami, skulony. Usiłował rozczesać misternie splecione runo na swojej głowie, ale palce mu się płały, a rzemienie zacisnęły się w supły odporne jak zardzewiałe zamki.

— Rozczesz mi włosy — rozkazał i Marianna z satysfakcją zauważyła wyraz wrogości na jego twarzy.

Wzięła ze skrzyni grzebień, trochę kpiąco uklękła i zaczęła oswo- badzać mu włosy z niezliczonych cienkich warkoczyków. Jednego nie mogła Klejnotowi odmówić, że wyglądał cudownie egzotycznie z tymi drobinkami czarnej farby w kącikach oczu o niezwykle ciężkich powiekach. W miarę jak spełniała jego polecenie, napięcie zmniejszyło się. Chwila była zupełnie nieodpowiednia, nigdy by nie przypuszczała, że będzie zdolna robić to, co właśnie robiła, czując, jak ciężar jego suchych, lśniących i długich czarnych włosów przesuwają się między jej palcami. Rytmiczność i intymność tych ruchów, i dziwaczność wszystkich wydarzeń tego dnia niemal ją przytłoczyły. Ostry drzewny dym szczypał ją w oczy, a szkliste liście krzewu rosnącego w kącie pokoju lśniły jak lustro wysoko, ponad światem. Była oszołomiona, w transie. Poczula, że jest bardzo zmęczona.

Choć warkoczyki zostały już rozplecione, nadal machinalnie czesała tę zdumiewającą kaskadę czarnych włosów, grubych i prostych jak koński ogon, a Klejnot kołysał się pod jej dotknięciem, jakby odbierał tę mimowolną zmysłową pieszczotę, która stopniowo zwalniała ruchy jej ręki, nadając im rytm coraz bardziej senny. Luźny pierścionek zsunął się jej z kciuka i potoczył po podłodze. Ten cichy brzęk wystarczył, żeby się przebudziła. Z całą świadomością zamknęła ramiona wokół szyi mężczyzny i przytuliła jego twarz do piersi, nie mogła już bowiem dłużej czekać.

On także czekał. Jak gdyby przez cały czas czekał, aż Marianna go obejmie, teraz natychmiast chwycił ją za przeguby rąk i odchylił całą do tyłu, aż legła na futrze jak długa, z rękami przyciśniętymi do podłogi za głową. Brunatny mężczyzna pochylił się nad nią. Powiedział:

— Nienawidzę cię.

Nie zdziwiło jej to ani nią nie wstrząsnęło. Gdyby się zastanowiła, właśnie jakąś taką reakcją by przewidywała, a znowu gdyby w tych okolicznościach powiedział coś innego, byłaby zupełnie przerażona i nie wiedziała, co robić. Teraz spokojnie czekała, aż Klejnot rozluźni swój uchwyt. Przyglądała się twardemu rubinowi zastygłej krwi na wewnętrznej stronie jego ręki i niebieskiemu wisiorkowi z emalii, medalikowi ze świętym Krzysztofem służącemu teraz jako świecka ozdoba, chyba że nosił go z racji podróży, zawieszonemu wśród migotliwej masy szklanych paciorków.

— Nienawidzę cię — powtórzył bardzo cichym głosem. Na dworze zahukała sowa i zarżał koń, dosłyszała też słaby krzyk kobiety, a potem jej śmiech.

— Dlaczego? — zapytała z ciekawością, bo bardzo chciała to wiedzieć.

— Dlatego, dlatego, dlatego... — Puścił ją i usiadł, jakby w ogóle się nie ruszał, zakrywając twarz dłońmi. Roztarła przeguby dłoni.

— Z powodu waszej tradycyjnej nienawiści pochodzącej jeszcze z czasów głębokich schronów?

Potrząsnął głową.

— Dlatego, że jestem od ciebie inteligentniejsza?

Dotknięty do żywego, odpowiedział:

— Myślę, że to najmniej prawdopodobne. I znów zapadł w milczenie.

— Jesteś pijany — stwierdziła ze złością. — No, kładź się do łóżka. Powiesz mi rano.

— Zaraz, zaraz — odpowiedział. — Umiesz przecież czytać, więc

co wyczytasz ze mnie? Widziałem cię już kiedyś, jeszcze zanim mnie uwolniłaś.

Odgarnął włosy, pokazując jej swoją twarz jakby podaną na tacy, twarz, która w tej chwili wydała jej się tak pełna jakiegoś zagubionego piękna, tak bardzo inna niż normalnie, że przeraziła ją jak odrażające kalectwo. Serce w niej zamarło, poznała go, choć całkowicie się zmienił.

— Wtedy byłeś dużo młodszy — powiedziała. — I bardziej podobny do Najdroższego niż do siebie.

— Tak, miałem piętnaście lat.

— Ten, którego zabiłeś, był moim bratem.

— Tak sądziłem, tak.

— Wszystko doskonale pamiętam.

— Sprytnie się odmieniłaś, co? Obcięłaś włosy i w ogóle. Kto by pomyślał, że mogę cię kiedyś rozpoznać, chociaż miałem rację, że to dziecko, które patrzyło tak surowo, przyniesie mi śmierć.

Marianna odsunęła się od niego, cofając się w drugi kąt pokoju, aż znalazła się w obwieszonych biżuterią ramionach drzewka.

— Oczy masz z lodu — mówił. Wydobył zza pasa nóż i cisnął w nią, chwyciła nóż za rękojeść. Klejnot upadł na wznak na futro, jednym szarpnięciem rozpiął na piersiach koszulę i odsłonił je przed nią.

— Zabijesz mnie zaraz czy później? — zapytał.

— Kiedy tylko sobie życzysz — odpowiedziała zniecierpliwiona.

Rzuciła nóż na podłogę. Nie chciała go zabijać. Po pierwszym szoku rozpoznania nie czuła też pragnienia zemsty, tylko gniewny niepokój, tak jakby Klejnot wdarł się do jej najtajniejszej kryjówki i ukradł coś, co było jej najbardziej zagrożoną, strzeżoną własnością. Tamto wspomnienie nie należało już wyłącznie do niej, było także

jego wspomnieniem. Nigdy nie pragnęła się nim dzielić. A jednak to, co się stało pewnego Dnia Majowego pod jej balkonem, jakby niewiele miało wspólnego zarówno z nią, jak z nim, ponieważ dziś była kim innym i właśnie udawała, że jest wspomnieniem panny młodej. A ponieważ ona i ten morderca byli teraz wcieleniem panny i pana młodego, uznała, że pozostaje im tylko iść razem do łóżka zgodnie z rytuałem. Wyszła spod domowego drzewka znowu chłodna i opanowana.

— Nie wierzysz w swoje własne magiczne sztuczki, ale wierzysz w sztuczki innych — stwierdziła z okrucieństwem. — Nie sądzę, żebyś w ogóle był inteligentny.

Nie leżał już na podłodze, siedział w kucki, gotowy do obrony.

— Boję się tego, czego nie znam — powiedział. — To mi się wydaje rozumne.

— No, mnie nie musisz się bać. Dwa razy przelałeś moją krew, nie, już trzy razy. Jesteś dużo silniejszy ode mnie i pod tym względem masz przewagę...

I nagle wypowiedanie tych słów, dyktowanych rozumem, mimo że nawet bardzo szorstkich, do plamy cienia skulonej przed dogasającym ogniem w ciemnym pokoju wydało się jej tak jałowe, że urwała w połowie zdania, zgarnęła wokół siebie przepaścistą koszulę i na sztywnych nogach podeszła do siennika. Ułożyła się pod przykryciem. Zaszleściło pod nią siano.

— Ta mała... mogła mieć tyle lat co Jen... patrzyła w dół, jakby to wszystko było widowiskiem urządzonym dla niej. I pomyślałem: „Jeżeli tak oni patrzą na śmierć, to im prędzej wszyscy zginą, tym lepiej”.

Przymknęła oczy.

— Proszę cię, przestań, proszę cię, chodź do łóżka.
— Przyniesiesz mi śmierć — powtórzył bardzo cicho.
— Jesteś strasznie przesądny i strasznie pijany — powiedziała surowo Marianna, zdecydowana położyć temu kres. — I tak znalazłam się w twoim łóżku przypadkiem. Ciesz się, że ten przypadek akurat rzuca jaśniejsze światło na twoją moralną winę.

Wybuchnął niepohamowanym śmiechem, kaszlał przez parę minut i znowu zamarł, pełen żalostnej furii.

— Nie daję za wygraną — oznajmił drzewku. — Wykorzystujecie swoje spostrzeżenia do samego końca.

Ukląkł i wyciągnął do niej rękę.

— Podaj mi rękę. Prowadź mnie do bram raj.

— Męczysz mnie. Po co ten teatr?

— Czyż dawniej nie noszono czarnych rękawiczek na pogrzebach? Donally chyba mi kiedyś pokazał jakieś zdjęcie. Ile razy myślę o śmierci, zawsze ją widzę w czarnych rękawiczkach, choć nikt ich już nie nosi.

— Idziesz do łóżka, czy masz zamiar spać na podłodze?

Zrozumiała, że nie zazna tej nocy snu, jeżeli sama nie sprowadzi go do łóżka. Spostrzegła jednak z irytacją i pewnym zaniepokojeniem, że widzi go teraz jako niemal niedostrzegalną figurkę przy kominku, oddaloną o setki mil uginającej się podłogi zawalonej szczątkami jak pole bitwy. W pokoju zrobiło się bardzo ciemno. Niechętnie wstała z siennika. Po podłodze hulały przeciągi i podwiewały jej nocną koszulę. Lada chwila cały pokój mógł ulecieć, wirując w noc. A może już się unosił na wietrze jak olbrzymi balon, stając się kulistym światłem z Klejnotem na jednym biegunie, a z nią na przeciwnym.

Wydawało się, że trwa to godzinami, zanim przeszła przez całą szerokość podłogi, a kiedy wreszcie znalazła się obok niego, chwycili się za ręce niemal z taką samą przerażającą ulgą. Dźwignęła go na nogi, budząc jak echo metaliczne pobrzękiwanie biżuterii.

— Amulety i talizmany przeciwko dzikim zwierzętom, diabłom i chorobom — wyjaśnił. — Żeby oddalić strzały Wygnańców, kule Profesorów i cotam jeszcze.

Wsparł się na jej ramieniu i pozrzucał łańcuchy i naszyjniki na podłogę. Było teraz bardzo zimno. Pierścienie spadały mu z palców jak migotliwy grad, kiedy Marianna prowadziła go do siennika. Za biżuterią poszło ubranie, zrzucił je po drodze, aż został nagi jak w dniu narodzin. Zostawiali za sobą ostatnie czerwone odbłaski ognia i zanurzali się w coraz głębsze cienie. Kiedy wprowadziła go pod okrycie, nie wiedziała już, gdzie się kończy ciemność, a zaczyna jego ciało.

— Zanadto jestem pijany, żeby cię pieprzyć — oznajmił.

— Trzeba dziękować Bogu za pomniejsze łaski — odcięła się.

Roześmiał się z prawdziwym, szczerym zachwytem.

— Dowcip — powiedział z uznaniem. — Niezbyt elegancki, ale zawsze dowcip. Żart. My nie mamy wiele czasu na takie rzeczy.

Zawarli więc rozejm. Objął ją. Może dla ciepła, może spokoju, jeżeli nie na znak pojednania, w każdym razie oboje natychmiast zasnęli z wdzięczności, że pokój na wieży powrócił do zwykłych wymiarów. Kiedy tylko jednak noc zaczęła zwijać swój ciężki dywan i przez dach zajrzał świt, Marianna otworzyła oczy i stwierdziła, że on już

nie śpi, że pochylony nad nią przygląda się jej taksująco i podejrzliwie. Pomyślała: „Może ojciec miał rację, może chaos jest jeszcze bardziej nudny niż porządek”. Miała nadzieję, że Klejnot jej się tylko śni, trudno jednak wyśnić ciepłe dotknięcie czyjegoś ciała. Ciepło jego ciała dławiło ją.

— Myślałam, że będziesz długo spał — powiedziała.

— Znowu omyłka — odpalił. — Męczył mnie koszmar. Zwykle po-
cę się od niego aż do rana, tak czy owak.

— Co ci się śni?

— Ogień i noże.

— Ja nie miewam snów — oznajmiła wojowniczo. — A jeżeli mam, to nigdy ich nie pamiętam.

— Szczęściara. Ale śmiem twierdzić, że kłamiesz.

Poruszyła się niespokojnie pod jego spojrzeniem, pełnym intensywnego skupienia, i na koniec przyznała:

— No... Kiedy byłam mała, zwykle śnili mi się Barbarzyńcy, i to mnie męczyło, ale nigdy na tyle, żeby się pocić i krzyczeć. Przynajmniej nieczęsto. A i to nigdy ze strachu.

— Czasami mi się śni, że jestem wymysłem Profesorów. Wysyłają swoje lęki do nas, żeby się ich pozbyć z osiedli, żeby ich nie męczyły, i w ten sposób, rozumiesz, mogą tam próbować żyć spokojnie. Kiedy mam te sny, potrafię podobno w nocy zbudzić krzykami cały obóz.

Świt dostawał się do pokoju dwiema drogami, wlewał się przez sufit i bardziej nieśmiało wciskał przez okno. Leżeli na wąskim sieni-
niku i, mimo woli, powodowana przymusem nie mającym nic wspól-
nego z rozumem, wolą czy świadomym pragnieniem, stwierdziła, że
przysuwa się do niego coraz bliżej. Był dziwnie ukształtowanym ma-
gnesem, to on ją przyciągał. Zbadała w jego uszach dziurki do wkładania

kolczyków. Poznała kiedyś różne beznamienne słowa z książek w gabinecie ojca i oglądała w nich schematy pokawałkowanych ludzkich postaci ze strzałkami prowadzącymi do słów zastygłych w martwych językach. Słuchała łagodnego głosu ojca opowiadającego o tym, co zachodzi między mężczyzną a kobietą i czego, mimo całego swego uczucia, nie potrafiła skojarzyć z niczym, co działo się między tym bezwłosym starcem a duchem jej matki. Teraz, daleko od jego białej wieży, leżała obok pięknego obcego mężczyzny, który był zupełnie nagi.

— Dlaczego płaczesz?

— Myślałam o ojcu.

Trudno jej było oddychać, jakby Klejnot pochłaniał całe powietrze. Żaden jego obraz, nic, co z jego strony wycierpiała, nie mogło sprawić, żeby przestała nieświadomie przysuwać się do niego coraz bliżej. Jakiś ptak wleciał przez dziurę w dachu i usiadł na gałązce nad sznurem pereł. Strzepnął skrzydłami, krótko i dźwięcznie zaśpiewał. Mariannę wypełniło zdumiewające wrażenie, że ten pokój zamyka w sobie cały świat czy też, że cały świat stał się tylko tym pokojem. Objęła Klejnota i przytuliła go. Jej ruch spłoszył ptaka. Odleciał. Szukając dopełnienia Klejnot podciągnął na niej fałdy obszernej nocnej koszuli macochy aż do pasa. Ściągnęła koszulę przez głowę i odrzuciła ją, żeby być jeszcze bliżej niego albo raczej tego magicznego źródła siły przyciągania w jego brunatnym ciele. I jeżeli istniało jeszcze coś poza tym, ogarnęła ją pewność, że jest to nierzeczywiste.

— Dała ci swoją najlepszą nocną koszulę. Zawsze mówiła, żebym ją w niej pochował.

Jeżeli poprzedniej nocy jego twarz była zlepkiem farby i cienia, teraz znów składała się z samych kości, a jego oczy nic nie wyrażały.

Może próbował się z nią zaprzyjaźnić, a może starał się ją poznać. Tym razem nie bolało. Tajemne wślizgiwanie się ciała w ciało nie było podobne do niczego, o czym kiedykolwiek słyszała, czytała, czy czego doświadczyła. Nigdy nie oczekiwała tak głębokiego doznania rozkoszy i rozpaczy. Jeżeli jej reakcja zaskoczyła Klejnota, zachował to dla siebie, ale kiedy już z niej wyszedł, nadal leżał na niej, przykrywając ją i nie spuszczał z niej nieruchomego, taksującego spojrzenia, jakby próbował zajrzeć przez jej oczy w tkankę błon i mięśni lub głębiej we wnętrze jej ciała. Kiedy leżeli w ten sposób przywarci do siebie, otworzyły się drzwi i weszła Pani Green z miską w rękach. Postawiła ją na skrzyni, na której stała miednica z wodą, i pochyliła się, żeby pozbierać rozrzucone po podłodze ubrania Klejnota.

— Cieszę się, że tak wam dobrze idzie — powiedziała spoglądając na nich. Głos jej brzmiał ciepło z zadowolenia. Mariannę wytrąciło to z równowagi, więc schowała zarumienioną twarz w futra, ale Klejnot wydał się nieporuszony. Zsunął się z niej powoli, przyjął od macochy garść pierścionków i powsuwał je na palce po jednym, a na niektóre po dwa. Był już ranek i pokój zmienił się w migotliwą bańkę słońca i powietrza. Pani Green wskazała na miskę.

— Przyniosłam wam śniadanie — powiedziała. — Pomyślałam, że tak będzie miło. Jest w porządku, no, wiecie.

— Co pani chce powiedzieć? — zapytała Marianna, zaintrygowana, wynurzając się spod przykrycia.

Pani Green oparła ręce na biodrach. Jej miękka, biała twarz przybrała tak nieprzenikniony wyraz, jakby urodziła się Barbarzynką.

— Zakradł się na dół wcześniej rano, zupełnie jak nie on, dał mi buteleczkę czegoś i kazał to podać szczęśliwej parze, jak się wyraził, żeby, wiecie, mieli dużo dzieci. Chyba wziął mnie za idiotkę, kochanie. Dałam trochę tego szczeniakowi tej brązowej sukki i zaczął latać w kółko, aż padł martwy.

Słyszając to Marianna poczuła taki chłód, aż wydało jej się, że słońce się schowało, i z powrotem wtuliła się w ramiona Klejnota, ale Pani Green wybuchnęła śmiechem razem z nim.

— Biedny stary skurwiol robi się gruboskórny — zauważył Klejnot. — Starzeje się.

— Pewno by powiedział, że to ona cię otruła.

— Pewno tak.

Marianna, spoglądając to na jedno, to na drugie, starała się domyślić powodu ich rozbawienia, tymczasem Pani Green pochyliła się i zdarła z nich futra.

— Popatrz na niego, co to za piękny chłopak. Gdybym miała trzydzieści lat mniej...

— Czterdzieści — poprawił ją Klejnot. — Nie przesadzajmy.

Odsunął Mariannę, zarzucił ręce na szyję staruszki, przyciągnął ją do siebie i ucałował, śmiejąc się. Marianna obserwowała ich wsparta na łokciu, chłodniejsza niż zwykle. Nagle zobaczyła na plecach Klejnota przedziwny rysunek przysłonięty rzeką jego czarnych włosów, wzór równie barwny jak u *Viperus berus* z klatki w pokoju Donally'ego. Z początku pomyślała, że to ślad jakiejś rzadkiej choroby, z pewnością związanej z jego atakami kaszlu, i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć, ale Klejnot dobierał się do miski z owsianką i znowu ją odepchnął. Zgarnął palcami odrobinę rzadkiej, szarej, lepkiej substancji i zwrócił się do Marianny:

— Przyglądaj mi się uważnie, jeżeli spuchnę i umrę, niczego nie

jedz, idź prosto do Johnny'ego i powiedz mu, że ma się tobą zaopiekować.

— Nie drażnij się z nią.

Zjadł, nie umarł i podał jej miskę. Nie chciała jeść, odstawiła owsiankę na podłogę.

— Podaj mi koszulę — zwrócił się Klejnot do Pani Green. — Lepiej wstanę, jak już dożyłem tego dnia.

Pani Green, w drodze do drzwi, rzuciła mu koszulę.

— A ona? Ma dzisiaj zostać ze mną, czy co ma robić? Będziemy jej musieli znaleźć jakieś zajęcie.

— Będzie robiła, co zechce.

Pani Green skinęła głową i wyszła. Zamknięcie drzwi oderwało następny kawałek dachu, który wpadł do pokoju, a na dworze rozśpiewały się wszystkie ptaki.

— Nie wkładaj jeszcze koszuli... Odwróć się. Nie, połóż się jeszcze. Na brzuchu.

Uniósł brwi, ale usłuchał. Rozdzieliła czarną zasłonę jego grzywy i niedowierzająco przeciągnęła dłońmi wzdłuż pokrytych deseniem pleców. Po prawej stronie miał wytatuowaną postać mężczyzny, po lewej kobiety, a wzdłuż kości pacierzowej wyrastało drzewo z węzem owiniętym wokół pnia. Ten skomplikowany rysunek wykonany był niebieskim, czerwonym, czarnym i zielonym tuszem. Kobieta podawała mężczyźnie czerwone jabłko, inne czerwone jabłka rosły na szczycie drzewa wśród zielonych liści rozpościerających się Klejnotowi na ramiona, a czarne korzenie drzewa skręcały się i urywały tuż nad pośladkami. Obie postacie były jednocześnie sztywne i żywe. Ewa perfidnie się uśmiechała. Kontury barwnych plam wyklute były z obsesyjną precyzją na lśniącej, gładkiej skórze, która przy każdym

oddechu Klejnota unosiła się i opadała wywołując wrażenie, że rozwidlony język węża wysuwa się i wsuwa, a liście na drzewie poruszają się na lekkim wietrze, efekt z pewnością przewidziany i akceptowany przez autora.

— O, tak — powiedział Klejnot. — Przypuszczam, że to robi wrażenie.

Włożył koszulę i przykrył to groteskowe okaleczenie, które tak zafascynowało Mariannę. Nawet ich śniadanie złożone z zatrutej owsianki mniej było niezwykle niż ta kolorowa skóra, tak ściśle przylegająca niby bielizna.

— Nigdy nie mógłbyś wszystkiego ze siebie zdjąć — zauważyła — ani zostać zupełnie sam mając tam Adama i Ewę.

— Co z oczu, to i z pamięci — powiedział Klejnot. — Nigdy tego nie widziałem, bo mam to na plecach. On to nazwał swoim arcydziełem, wytatuował mnie, kiedy miałem piętnaście lat.

— Bardzo bolało?

— Zajęło mu to dwa tygodnie i prawie cały czas byłem nieprzytomny, ale igły nie zatrwały mi krwi, Pani Green tego dopilnowała. Choć, prawdę mówiąc, zielona farba jest najgorsza, zielona boli najbardziej. Popatrz, ile tam jest zielonego.

Wstał i wciągnął spodnie. Po nich buty. Wierzchnią koszulę. Potem z kupki na futrze pod kominkiem wybrał naszyjniki. Kompletował swoje dzienne ja.

— Chciał mi na piersiach zrobić Sąd Ostateczny, ale nie życzyłem sobie niczego, co bym musiał cały czas oglądać.

— Bardzo lubi Biblię?

— Jak go przycisnąć, mówi o poetyckiej prawdzie Upadku Człowieka.

— Dlaczego się zgodziłeś, żeby cię tak okaleczył?

— Więc dla ciebie to okaleczenie?

Zajęty był splataniem włosów.

— To ohydne. Przeciwnie naturze.

Ale znowu kłamała. Ten tatuaż wydał się jej groźnym i fascynującym krajobrazem, jakąś ziemią nieznaną czy drugą stroną księżyca.

— Od czasu do czasu prosi, żebym zdjął koszulę, zakrada się od tyłu i podziwia mnie. „Ha, ależ byłem wtedy geniuszem”, powtarza. Myślę, że chętnie by mnie wyprawił i powiesił na ścianie. Chyba by naprawdę miał no to ochotę. Mógłby nawet uszyć ze mnie jakąś rytualną szatę i wkładać na szczególne okazje. Jedną dziewczynkę całą wytatuował w tygrysie pręgi i oznajmił, że ma być Panią Tygrysów. Ale umarła, to mu nie wyszło.

— Dlaczego pozwoliłeś, by dopadł cię z tymi igłami?

— Nie miałem wielkiego wyboru. Byłem tylko dzieciakiem.

— Nie podoba mi się tu — stwierdziła z dezaprobatą. — Wcale mi się nie podoba.

Siedziała wyprostowana, sztywna i sztuczna, rękami objęła kolana, futro narzuciła na ramiona jak szal. Spojrzał na nią jakby z nostalgią, jak gdyby była starą fotografią.

— Biedny dzieciak — powiedział. — A ja się o ciebie bałem.

— Proszę cię, idź już i zostaw mnie samą — poprosiła, nabrał bowiem w jej oczach jakiegoś upiornego uroku ludzi okaleczonych i musiała zyskać trochę czasu, żeby się nad tym zastanowić.

Obdarzył ją najzłośliwszym ze swoich grymasów, wyszczerzył zęby, zatrzymał się, jakby się namyślał, i wrócił tam, gdzie leżała. Całował przez kilka minut jej piersi i usta i potem zostawił ją samą z tym nowo rozbudzonym, szalonym i nie zaspokojonym pożądaniem,

jeszcze jednym upokorzeniem, które mściwie dodała do rachunku.

Donally wypisał na swojej ścianie: PAMIĘĆ TO ŚMIERĆ. Marianna długo się temu napisowi przyglądała, a ściana drżała wstrząsana od wewnątrz wściekłymi uderzeniami w barokowe organy, znoszące atak toccata, które zdolne było rozwalić dom. Przyszło jej na myśl, żeby zwrócić się do Donally'ego o wytatuowanie jej tego hasła na czole, gdzie Klejnot cały czas mógłby je oglądać, albo żeby wypisał jej PAMIĘĆ na jednej, a ŚMIERĆ na drugiej piersi. Prędko się jednak rozmyśliła, kiedy sobie przypomniała, że Klejnot w ogóle nie umie czytać.

5

Plemię nie stosowało już wobec Marianny środków ostrożności w formie znaków, małżeństwo bowiem uczyniło z niej zwyczajną kobietę. Nadal pozostała obca, a więc wywoływała lęk, ale teraz osobistą odpowiedzialność ponosił za nią Klejnot, a jemu najwidoczniej ufano, że zdoła skoncentrować jej podejrzone magiczne siły, chowając je może w zawiniątku pod poduszką, dzieci bowiem poprzestawały na tym, że jej nie dostrzegały, i mogła się poruszać po obozie swobodnie, nie wywołując wokół siebie zamieszania. Kiedy poprosiła o konia, dano jej małego karego kucyka w białe łaty, podobnego do konika z dziecinnego pokoju, z szorstką białą grzywą. Czasami objężdżała skraj lasu, ale nie zapuszczała się dalej. Czas mijał i Klejnot obserwował ją ukradkiem, ale ona wciąż nie łądowała na kucyka swoich rzeczy i nie odjeżdżała, kiedy już bowiem oboje znaleźli sposób wzajemnego unicestwiania się, długo nie była zdolna myśleć o niczym

innym. Szukając unicestwienia, zarówno dla siebie jak i jego, odkryła w sobie niezwykle siły, skoro tylko ciemność usuwała groźnego świadka twarzy Klejnota. Wtedy ich łóżko stawało się zimnym, ciemnym i milczącym światem, a jego jedyni mieszkańcy zapominali o wszelkich innych zmysłach, poza zmysłem dotyku, smaku i węchu.

Pewnego razu jednak obudziła się pierwsza i ze zdumieniem zobaczyła na jego twarzy tylko łagodność. Ręce, w zapomnieniu snu, leżały na jej piersiach lekko jak śnieg, aż nagle zafascynowana grozą ożywiła w sobie pamięć, że te same ręce, które parę godzin temu na chwilę przemieniły ją w rzekę ognia, kilka lat wcześniej nieubłaganie zamordowały JeJ własnego, rodzonego brata. Twarz Klejnota jakby zawirowała w ciasnym zagłębieniu jej ramienia, rozpadła się i połączyła na nowo w kształt czystego łuku, ale on otworzył oczy i nagle zobaczyła dwa swoje odbicia, toteż szybko odwróciła głowę, zanim on z kolei dojrzał wyraz jej twarzy.

Innej nocy obudziła się, kiedy kozodój, który usadowił się na noc na drzewku w pokoju, wyjątkowo głośno zafurkotał. Był to bezksiężycowy okres miesiąca. Mariannie wydało się, że ktoś wyjął jej oczy, i szukając po omacku ręki Klejnota, żeby się upewnić, że nie jest sama, natrafiła przypadkiem na jego twarz. Dotknęła wzgórka kości pokrytej cienką warstwą ciała, musiała to być jego kość policzkowa. Przesunęła opuszkami palców po tej krawędzi i namacała jakby kępkę trawy, zapewne oko pod powieką. Ale nie miała wrażenia, że dotyka realnej twarzy. Wszystko to wydawało się małym krajobrazem, z którego odbierała tylko najzupełniej abstrakcyjną informację, szybko też utożsamiała ten krajobraz z wysadzonym w powietrze sercem

starego miasta. Zaniepokoiło ją to trochę, ale wolała o tym dłużej nie myśleć.

A potem znowu, przypadkiem, którejś innej nocy, wierząc się niepokojnie, dotknęła jego twarzy i: stwierdziła, że jest mokra od łez. On jednak się nie poruszył, spał albo udawał, że śpi, a ona natychmiast powściągnęła swoją ciekawość.

Pomijając te rzadkie kontakty, broniła się i odmawiała mu wszelkiego istnienia poza tym istnieniem dwoistym, które razem tworzyli, kiedy sowy w lesie spadały na aksamitne myszy, kiedy księżyc przechodził z fazy w fazę, a zidiociały chłopak niepocieszenie wył w budzie. Ta trzecia istota, to zwierzę erotyczne było bezokie, bezkształtne i wyposażone w jedno tylko usta. Było ziemnowodne i pływało w czarnych słonawych wodach, żywiąc się tylko nocą i milczeniem. Zamykała oczy, aby nie dostrzec go w świetle księżycy, ale i tak nie mieli wspólnych słów czułości ani zresztą żadnego powodu, aby się nimi posługiwać. To zwierzę miało zęby i pazury. Czasami było wyłącznie narzędziem mściwości, choć często z własnego popędu przekraczało samo siebie. Kiedy znów się rozdzieliło na dwoje, rano budzili się do wzajemnej nieufności.

Czy to w świetle dnia, czy w świetle ognia widziała Klejnota dwuwymiarowo, płaskiego i pustego, Kiedy nadjeżdżał łąką na swoim karym koniu, przemoczony od deszczu i ochlapany błotem albo krwią, wracając z polowania, albo kiedy czekał w kuchni na wieczerzę razem z braćmi, grając w kości i ponuro sprawdzając wyniki rzutów, albo kiedy kołysał na kolanach do snu puszystą Jen, która czasami tak usypiała, wszystkie te czynności były niczym więcej jak oderwanymi żywymi obrazami lub przypadkowymi pozami, nie powiązanyymi nigdy żadną ciągłością.

Na ścianie pokoju Doktora pojawił się napis: WASZE POTRZEBY NIE MAJĄ ŻADNEGO ZWIĄZKU Z NASZYMI PRAGNIENIAMI. Zostawił go tam przez kilka tygodni.

„Ale jak odróżnić jedne od drugich?” – zastanowiła się Marianna i natychmiast przestała o tym myśleć.

Siedziała blada i milcząca na kulawym krześle w kuchni i czasami otaczały ją dźwięki muzyki organowej jak duchy baroku, a kiedy indziej ich nie było. Któregoś wieczora Klejnot w napadzie wściekłości potłukł wszystkie naczynia ze starego kredensu. Ciskał porcelaną po całej kuchni. Bracia uciekli w popłochu, chichocząc ze strachu, ale Marianna nie ruszyła się ze swojego krzesła. Rzucił w nią wazą na zupę. Nie trafił, oczywiście, bo ani on, ani waza nie byli realni. Naczynie roztrzaskało się w palenisku. Z niezwykłą zaciętością zaatakował też tusze ubitej zwierzyny, a innego wieczora podkraść się do niej po cichu podczas rąbania mięsa i umazał jej twarz zakrwawionymi rękami, co ona natychmiast z pogardą zinterpretowała jako bezsilną próbę dowiedzenia jej, że istnieje, podczas gdy ona cały czas wiedziała, że on znika jak duch o świcie albo jeszcze wcześniej, z chwilą kiedy jej ciało przestaje wyczuwać jego kształty.

Czasami, kiedy padało, deszcz zaczął przez cały pokój i przemakał do skóry. W wietrzne noce pokój chwiał się jak korek na falach wzburzonego powietrza. Co rano zawałał się nowy kawałek dachu, wkrótce mogli zostać okrutnie pozbawieni osłony jak małe dzieci na stoku góry, i każdej nocy spiralne schody stawały się bardziej zdradliwe. Kiedyś, idąc do łóżka, rozdeptała ropuchę.

Tymczasem plemię gotowało się do zwinięcia obozu i wymarszu. Naprawiano wozy i kuto konie. Po matce, ze strony rodziny Lee,

Klejnot odziedziczył żyłkę do koni; zresztą wszyscy bracia Lee pięknie wyglądali przy koniach i Marianna patrzyła na nich, jak gdyby oglądają barwne ilustracje w jakiejś wspaniałej księdze. I tak o każdej porze w tym dziwnym miejscu, w jakim się znalazła, zachowywała triumfującą samotność.

Jakiś czas już trwała ta dezintegracja, aż kiedyś, leżąc na brzuchu pod jego ciężarem, usłyszała, że Klejnot warczy jej w kark: — Kiedyż wreszcie poczniesz, ty suko?! — i pod wpływem szoku odzyskała najzupełniej jasną świadomość, tak że nagle ich związek wydał się jej groteskowy i brutalny, a wytrysk nasienia straszliwym pogwałceniem jej intymności. Nigdy nawet nie przyszło jej do głowy, że ta ryba nocy może się skonkretyzować w jakiś symbol, dziecko w jej wnętrzościach. Gdyby nawet kiedy brała pod uwagę tę możliwość, liczyłaby na to, że jej rasę od rasy Klej nota dzieli przepaść udaremniająca wszelką krzyżówkę. Rozpaczliwie szukała go oczami, ale nie mogła nic dostrzec, noc bowiem znów była bezksiężycowa. Wreszcie musiała się odezwać.

— Dlaczego?

Milczał tak długo, że zaczynała się już zastanawiać, czy w ogóle go o to zapytała.

— Ze względów dynastycznych — odpowiedział wreszcie. — Mamy ustrój patriarchalny. Przecież potrzebuję syna, żeby mi wykopał grób, kiedy umrę. Syna, żeby umocnił moją pozycję.

— Dlaczego jeszcze?

— Ze względów politycznych. Żeby zachować władzę.

— Jeżeli weźmiemy pod uwagę sytuację wyjściową, przypuszczam, że obydwa powody są wystarczające, ale myślę, że jest jeszcze jeden, nie tak abstrakcyjny.

— Zemsta — wyjaśnił. — Chcę ci wcisnąć małego siebie, małego

siebie całego kudłatego, w warkoczykach i najeżonego nożami. Wtedy we własnych oczach zyskam pewną pozycję.

— Poddając mnie upokorzeniu najbardziej nieodwracalnemu na świecie. Zmuszając do rodzenia potworów?

— Co? Jak uśpiony rozum?

— Jesteś bardzo wyrafinowany — uzalila się.

— Staram się, jak mogę — odpowiedział uprzejmie.

Odwróciła się na bok i wsłuchiwała w odgłosy nocy, ale nie dochodziło do niej nic poza lekkim wiatrem niosącym rzadkie krople deszczu.

— A ja ci uratowałam życie — powiedziała z wyrzutem.

— Dam ci inne.

W szyby' okna zastukała ulewa i zaszeleściła w grubych listkach ostrokrzewu. Tylko cienka nadkruszona skorupa cegieł i dachówek osłaniała ich przed zimną letnią nocą i czarną głębią nieba. Deszcz zawiął jej w twarz i zmoczył policzki. Rozkosz przestała istnieć z chwilą, kiedy zdała sobie sprawę, że służy prokreacji. Kiedy Klejnot sięgnął po nią, odsunęła się, zwijając z obrzydzenia.

— No, to śpij — warknął.

Teraz pokój wypełniał się twarzami pozbawionymi ciał, unoszącymi się na ciemności jak śmietana na mleku, twarzami chorych dzieci ochryple krzyczących wykrzywionymi ustami, że ona jest ich matką. Znienawidziła to łóżko, a wilgoć między udami stała się ohydną, potężnie działającą magiczną maścią doprowadzającą do szaleństwa. Resztką dachu niedługo się zawali i na wieki ich pogrzebie w piekielnej otchłani wzajemnych objęć. Dławiła się w zatęchłym powietrzu, jakby już leżała żywcem pogrzebana. Zdjęta lękiem i wstrząsana dreszczami wysunęła się spod przykrycia na podłogę,

nagle zdecydowana odejść. Klejnot spał, o ile mogła się zorientować. Włożyła szybko swój barbarzyński strój, jedyny, jaki teraz posiadała: spodnie, wełnianą koszulę haftowaną w stokrotki i naszywaną kawałkami lusterka i kurtkę z futra szarej wiewiórki spiętą pod szyją diamentową broszą wygrzebaną z jakiegoś grobu. Po omacku znalazła drogę do drzwi, deptając po gruzie i liściach ostrokrzewu. Klejnot nie spał.

— Pada. Nie możesz teraz iść.

— Mogę i pójdę.

— Może już nosisz moje dziecko. Pieprzę cię już od dłuższego czasu.

— Profesorowie znają lekarstwa na tę chorobę.

— Weź nóż. Dla obrony.

— Nie boję się specjalnie.

— Nie tyle przeciw dzikim zwierzętom. Tylko raz widziałem w lesie lwa. Leżał na padłej krowie, blisko miejsca, gdzie się wykoleił pociąg, o, lata temu, kiedy jeszcze były pociągi. Wszystkie drzwi w tym pociągu wisiały jak skrzydła zdechłego owada, a lew miał zakrwawioną paszczę. Z oczu sączyła mu się ropa. Był koloru paproci i zjadał swój obiad nie zważając na mnie.

— Próbujesz przemówić do mojego romantyzmu — stwierdziła z gniewem. — Nie jestem dzieckiem, nie nabiorę się na piękne bajeczki.

— Dzikie zwierzęta cię nie napadną, ale swoją drogą w ruinach roi się od takich okropności, jak trędowaci, szaleńcy, pustelnicy, ludzie o małpich głowach albo z jednym okiem w czole, nie mówiąc już o tym, że grasują tam bandy Wygnańców...

— Do widzenia — rzuciła krótko, bo ostatecznie był jej mężem i należało mu się formalne pożegnanie. On jednak jej nie pożegnał,

mimo że była jego żoną. Schodząc z chwiejnej wieży trzymała się ślepo wewnętrznej spirali schodów, a jedynym jej oparciem były lepkie płaszczyzny ścian pod palcami. Posuwała się powoli i niepewnie, ślizgała się na schodach, które nigdy do tej pory nie wydawały się tak strome, tak zdradliwe ani tak oblepione brudem. Wiatr wpadał nagłymi podmuchami i wstrząsał kamienne mury. W długim korytarzu nad kaplicą, kiedy tam wreszcie dotarła, mdlący zaduch uderzył: niespodziewanym ciepłem. Udało się jej przejść przez korytarz i dotrzeć do podestu, z którego prowadziły drzwi do kaplicy. Tu w ciemnościach czekał na nią Donally.

Była tak wściekła na siebie, że się nie domyśliła, iż będzie na nią czekał, aż zaniemówiła. W ogóle go nie dostrzegła, ale on zamknął w dłoni przeguby jej rąk i tak znalazła się w pułapce.

— Będziemy cię musieli spętać jak konia — powiedział.

Wciągnął ją do swojego pokoju. Książki leżały popakowane w niezliczone skrzynie, a słoje i instrumenty owinięte słomą stały w kilku wielkich koszach, choć nieśmiertelny kociołek nadal bulgotał na piecyku i na ołtarzu paliły się cztery świece. Uwiązany łańcuchem do kłamry w ścianie spał chłopak mając między chudymi bokami a kamienną posadzką jedynie podarty koc. Na jego plecach widoczne były świeże ślady uderzeń.

— Obiecał być grzeczny — powiedział Donally w zamyśleniu — więc wolno mu dziś spać pod dachem, bo jutro wszyscy już będziemy w drodze.

Jakże chłodne, miłe i stonowane były głosy Profesorów, podczas gdy te, które co dzień drażniły jej nerwy, miały ostrze stali i kaleczyły słowa. Jego głos był taki łagodny i znajomy, że prawie mu już zaufała, dopóki nie zobaczyła na podłodze zakrwawionego łańcucha, którym

bił syna. Naprawiał właśnie swój niesamowity płaszcz, więc pierzasty strój leżał rozpostarty na ołtarzu, migocząc w świetle świec. Chciał ją poczęstować napojem ze skórzanej flaszki. Odmówiła.

— Pozwolisz, że wrócę do pracy? Nie będzie na nią czasu podczas podróży.

Postawił flaszkę przy sobie i ze skrzyżowanymi nogami usadowił się na ołtarzu. Zaczął przetykać igłę między wielobarwnymi piórami.

Zastanawiała się, czy spadłby na nią na skrzydłach, żeby ją schwycić, gdyby skoczyła do drzwi. Poufałym tonem zaczął ją wypytywać:

— Czy on się wobec ciebie dopuszcza nadużyć?

— Co pan ma na myśli? — zapytała ostrożnie.

Mrugnął. Jego wyskubane brwi wyglądały jak krzywo uniesione w górę nawiasy.

— Na przykład nieobyczajne praktyki i takie rzeczy, o jakich się nie mówi — wyjaśnił wykrętnie.

— Jak co? — zapytała, tym razem obcesowo.

— Biczowanie i takie tam.

— Nazwałby pan to nadużyciem?

Szeroko otworzył oczy, jakby zdumiony jej nienawiścią.

— O, tak, możesz być pewna. To należy do nieobyczajnych praktyk i jest dyskretnie wspomniane w pewnym języku bezpiecznie już martwym. Byli tu kiedyś Rzymianie i odeszli, oczywiście, a po nich Uther Pendragon, kiedyś też żyły wilki po lasach, a nawet gdzieś gdzie lew, o ile da się odróżnić fakty od fikcji, o co nigdy nie jest łatwo. I mlecznobiały jednorożec, zwierzę wściekle symboliczne i fantazyjnie ozdobione rogiem, które mogła schwycić jedynie młoda dziewczica, co zawsze sprowadzało jak najgorsze skutki. Biedny Klejnot, w takich samych opalach, choć, oczywiście, nie jest mlecznobiały. Cofamy się,

czas płynie wstecz i zwija się. Zastanawiam się, kto zwalnia tę sprężynę, żeby historia odwijala się z powrotem.

Żalodne rojenia Profesorów zebranych przy poobiedniej, domowego wyrobu jeżynowej brandy, gadanie o apokalipsach, utopiach i tak dalej. Marianna stłumiła ziewnięcie, ale mimo wszystko poczuła się w domu. Podeszła do ołtarza i patrzyła, jak ten olbrzymi krawiec naprawia swoją skórę.

— Bóg, oczywiście, umarł. Dość wcześnie. Myślisz, że powinniśmy go wskrzesić, myślisz, że jest nam potrzebny w tym hipotetycznym krajobrazie ruin i puszczy, w którym może istniejemy, a może nie?

— Czy pan dla siebie chce tej roli?

— Ja wolę pozostać anonimowy. Już bym raczej wolał rolę Ducha Świętego. Ale często myślę o przyuczeniu do jakiejś roli mitotwórczej naszego Klejnota. Choćby nigdy nie osiągnął szczybla pełnej boskości, na pewno bez trudu może pozyskać status półlegendarny jak król Artur. — Roześmiał się. — Mógłby zostać Mesjaszem Jahusów.

Śmiał się tak, że o mało co nie strącił flaszki, złapał ją w ostatniej chwili, napił się znowu i znowu wyciągnął flaszkę do Marianny.

— No, śmiało, młoda damo. Równie dobrze teraz możesz zaznać zapomnienia, jakie daje ta ich ohydna okowita, jak później.

— Nie mam zamiaru bawić tu na tyle długo.

— Co? Zostawiłabyś męża żalonym przyjemnościom samobiczowania? Jeśli zostaniesz, nauczę cię nekromancji.

Był okropnie pijany, niewątpliwie większą część godzin nocy pił ten prymitywny alkohol dla zabicia bólu. Marianna, kiedy sobie to uświadomiła, poczuła się podniesiona na duchu. Z kociołka unosiły

się zieloną parą zwodnicze chmury obłądu, chyba też o jakichś właściwościach halucynogennych, ponieważ szkielet w głębi kaplicy od czasu do czasu podrygiwał, jakby grzechotał kośćmi, a woskowa Matka Boska za ołtarzem kapryśnie puchła lub kurczyła się. Ale Mariana zdolna była logicznie dedukować, że prawdziwa, choć dwubarwna broda Doktora jest przy skórze czarna po stronie rudej, a zatem wymaga świeżego farbowania.

— Nekromancja nie pomaga — powiedziała.

— Nikt tego nie musi wiedzieć — szepnął przebiegle.

— Dlaczego uciekł pan od Profesorów? A może wypędzili pana za jakiś obrzydliwy występpek?

— Nie, nie — odpowiedział. — Przyszedłem tu z własnej nieprzymuszonej woli.

— Niech mi pan wymyśli jakiś nowy aforyzm. Czuję potrzebę pociechy.

Pomyślał chwilę i powiedział:

— Świat staje się snem, a sen światem.

— Rzadko kiedy miewam sny — wyznała ze smutkiem. — Klejnot gniewał się na mnie, kiedy mu to powiedziałam, jakbym go oszukiwała.

— Klejnota próbuję wymyślić po drodze, ale napotykam na pewne trudności — uzał się Donally. — Zmienia się co chwila. Stwarzanie z niczego jest trudniejsze, niżby się zdawało.

Zauważyła, że drzwi bezgłośnie się otwierają. Klejnot położył palec na ustach, żeby milczała. Trzymał nóż w zębach chcąc mieć wolne ręce. Była na niego taka zła za to, że za nią przyszedł, że powiedziała natychmiast:

— Ma pan jeszcze jednego gościa, proszę jego poczęstować brandy.

Klejnot wyjął nóż z zębów i splunął.

— A chciałem go zarznąć — westchnął z lekkim żalem.

Ubrał się pośpiesznie i był boso, ale wystarczyło mu czasu, żeby zawiesić na szyi masę amuletów. Zamknął za sobą drzwi i przyczaił się w drzwiach z pięknym, podstępny uśmiechem.

— Wyskoczyłem na schody za potrzebą naturalną i kogo tam spotykam, Klejnocie Lee Bradley? Młodą żoneczkę, która ucieka z twoich objęć.

— Nie tyle z moich objęć, co ze strachu przed ich konsekwencjami.

— Nie ma dokąd uciekać, kochanie — stwierdził Doktor. — Gdyby było, już bym to odkrył.

Podsunał flaszkę Klejnotowi, który podszedł boczkiem i przyjął ją. Powąchał podejrzliwie, otarł szyjkę i napił się. Zimny wiatr poruszył trzciny na podłodze. Brunatne gardło Klejnota zafalowało i Marianna, przyglądając mu się, zadała sobie pytanie, czy impuls, żeby go dotknąć, jaki poczuła, to potrzeba czy pożądanie, czy też wbrew temu, co mówi Donally, praktycznie są one jednym i tym samym. Doktor doznał może podobnego impulsu. Jego ręka spoczęła na ramieniu Klejnota. Marianna zobaczyła, że paznokcie ma starannie, a nawet pięknie wypolerowane i wypielęgnowane.

— Precz z rękami — powiedział Klejnot otrząsając się. — Tyle razy ci mówiłem.

— Pokaż mi mój malunek — poprosił Donally. — Zdejmij koszulę. Chwyć za kołnierz i zaczął ściągać z niego koszulę.

Klejnot wrzucił ramionami i pozwolił się rozebrać.

— Uklęknij.

— Ty głupi staruchu — powiedział Klejnot prawie czule i ukląkł. Rozdzielił kaskadę włosów, obnażył kark jak przed ostrzem kata i ponownie odsłonił potworny tatuaż, ogród Edenu, drzewo, węża, mężczyznę, kobietę i jabłko.

— Przyjrzyj się ostatniemu dziełu sztuki w historii świata — zwrócił się Donally do Marianny. — Spójrz na tę szlachetną linię rysunku i czystość wykonania.

— Zawsze miałeś do mnie słabość, stary pedale — powiedział Klejnot otrząsając się lekko, kiedy dłonie nauczyciela muskały lekko i miłośnie nasączone farbą ukłucia.

— Wcale nie — zaprzeczył Donally. — Choć bardzo byłeś pociągający, kiedy miałeś piętnaście lat, dziki jak Kambyzes, a delikatny jak Ahaswerus.

— I ja go widziałam, kiedy miał piętnaście lat — oświadczyła chłodno Marianna. — Moim zdaniem wyglądał na zupełnego dzikusa.

Na te słowa Klejnot uniósł zmierzwioną głowę i rzucił jej spojrzenie pełne tak otwartej udręki, że natychmiast sama poczuła się zraniona. Wciągnęła oddech.

— Świat jest mały — orzekł Donally, napatrzywszy się do syta. Zarzucił z powrotem koszulę na ramiona Klejnota i wychylił flaszkę do dna. — Świat nie jest większy, niż go widzieli Rzymianie, i dużo mniejszy niż świat Uthera, wciąż się kurczy. Ściąga się, zacieśnia, zmniejsza.

— Czy naprawdę mam jej pozwolić wybierać? — zapytał Klejnot. — Im większy wybór, tym świat staje się większy.

— Mnie ona nie sprawi niespodzianki, zapewniam cię. Wiem, czego się po niej spodziewać.

Ale Klejnot wziął świecę, wyciągnął do dziewczyny rękę i powiedział:

— Chodź.

Donally opadł z powrotem na ołtarz, zarzucony mnóstwem migotliwych piór, z flaszką w rękę, i patrzył z aprobatą, jak wychodzą. Za drzwiami Klejnot wcisnął Mariannie do ręki świecę i nóż.

— Poświęć sobie do wyjścia i broń się sama. Możesz odejść. Ruszaj.

Płomień rzucał krąg czystego światła tylko na ich twarze, musieli więc patrzeć na siebie z bliska. Straszliwy smród z sieni chwycił Mariannę za gardło. Gdzieś rozpląkało się dziecko. Wypełniło ją złowieszcze przeczucie, że jej własne dzieci mogą kiedyś płakać w jakiejś chacie lub ruinie, w podobnej nędzy, nie mogła już jednak zrobić ani kroku poza wiążący ją krąg, a przynajmniej nie tej nocy, choćby najbardziej tego pragnęła. Poruszyła się konwulsyjnie, jak gdyby w ostatnim, zdławionym w zarodku wysiłku, żeby wyrwać się z tego pola przyciągania, ale świeca Klejnota wydawała się jedynym światłem w tym skurczonym, pociemniałym świecie. Mimo to zdecydowana była zachować twarz, nawet gdyby świat skurczył się jeszcze bardziej przez to, że zrezygnowała z szansy, jaką jej stwarzał.

— Jestem już zmęczona — wymówiła się. — Poza tym pada.

Od nowa ułożył twarz w nieodgadniony uśmiech. Na jego plecach trwali Adam i Ewa.

— Czy bardzo... bardzo cię bolało, kiedy cię tatuował?

— Nic przedtem ani potem tak mnie nie bolało. Skąd ta niezdrowa ciekawość?

— To jest jak piętno Kaina.

— Zabiłem twojego brata, nie swojego — odpowiedział i w rozdrażnieniu zdusił płomień świecy palcami, tak że znów znaleźli się w ciemnościach. Wiatr zawył teraz straszliwie, a pijany Donally uderzył z furją w organy. Fałszywe akordy zygzakami przesyły podest jak nietoperze. „Obudzi cały dom”, pomyślała Marianna i zaraz sobie uświadomiła, że dom już się budzi i porusza. U wylotów pokoi pokazały się punkciki świateł i zastukotały kroki, ledwie dające się odróżnić

od bębnienia deszczu., zaczynał się bowiem właśnie nowy dżdżysty dzień. Kiedy znaleźli się na wieży Klej nota, okazało się, że Pani Green była tam przed nimi i spakowała garnuszki z farbą, biżuterię, broń, futra i siennik do drewnianej skrzyni, pozostawiając tylko strzelbę, parę noży i osobistą odzież. Klejnot naładował strzelbę w opalowym blasku świtu, który otaczał ich teraz niemal zewsząd, wiatr bowiem i deszcz strąciły resztki dachu i pokój znalazł się pod gołym niebem. Na podłodze stała woda. Teraz pokój należał tylko do ptaków, które najbliższej wiosny zechcą się zagnieździć w jego ścianach, do szeleszczącego drzewka i wszystko pochłaniających żywiołów. Jakiś ptak ciężko klapnął na ostrokrzew i otrząsnął marmurkowe piórka. Była to sroka.

— Sroko, sroko, otwórz oko, raz to radość, dwa — zgryzota, trzy — dziewczyna, cztery — chłopak — wyrecytował Klejnot.

Zdawało się, że ten strzęp folkloru sprawia mu jakąś przewrotną radość.

— Dokąd jedziemy?

— Nad morze. Na południe. Na zimę, tam jest cieplej. Wymienimy futra na ryby, i tak dalej.

Na łące znowu formowała się kawalkada. Konie rżały i przytupywały, a wozy skrzypiały wysoko wylądowane ruchomym dobytkiem. Zamuczała krowa, a zbiegła ze stada koza pomknęła w podskokach w stronę rzeki, ścigana przez hordę rozwrzeszczanych dzieciaków. Myślni całej plemię było już w drodze. Dworzyszcze dudniło echami bliskiej wyprowadzki i wydawało się całkowicie puste, znowu opuszczone. Kuchnia pełna była mężczyzn na stojąco przegryzających coś na śniadanie. W ciepłe ostatniego ognia Pani Green parowały ich już mokre ubrania. Otoczona niespokojną krzątanicą Marianna odseparowała

się od wszystkiego. Znalazła kawałek chleba i mięsa i zajęła swoje zwykłe miejsce przy kuchni.

— Jedziesz na wozie z Panią Green jak cholerna pani.

— Pójdę wszędzie, gdzie ty.

Przez jego twarz szybko przemknął wyraz przerażenia. Nie mogła go nie rozpoznać, tak mocno wyrył się w jej pamięci.

— O, nie, nie pójdziesz, zrobisz, co ci każę.

— O, nie, nie zrobię, zrobię, jak zechcę.

Nachmurzył się i zniknął w tłumie. Stopniowo kuchnia pustoszała, ale Marianna siedziała dalej na swoim kulawym krześle. Powieki jej opadły i w końcu zdrzemnęła się, tej nocy bowiem w ogóle nie spała. Wśród krzątaniny zapomniano o niej i kiedy w jakiś czas później się przebudziła, kuchnia była zupełnie pusta. Nawet ćwiartki mięsa znikły z haków u sufitu. Jakieś dziecko zostawiło prymitywną drewnianą lalkę, która leżała twarzą w dół na podłodze, drzwi kołysały się na zawiasach lekko poskrzypując, i to było wszystko. W całej tej olbrzymiej kupie wietrzejącej cegły nie pozostało śladu życia poza dopalającymi się węgielkami na palenisku. Marianna była sztywna i zdrętwiała, przeciągnęła się i podeszła do drzwi, przez chwilę żywiąc nadzieję, że odjechali bez niej, ale na podwórzu stały obok siebie kary koń i łaciaty kuc, szukając pyskami trawy między kamiennymi płytami, a więc Klejnot najwidoczniej pogodził się z jej towarzystwem jako nieuniknionym, choć je skłął. Miska półgłówka leżała przewrócona do góry dnem. Marianna cofnęła się do domu szukając Klejnota. Na ścianie kaplicy na zewnątrz Donally przypiął ostatnie hasło na wypadek, gdyby po ich odejściu wiatr przywiał tu kogoś umiejącego

czytać. Litery były zamazane i straszliwie koślawe, ale Mariannie udało się odczytać: MYŚLĘ, WIĘC JESTEM. CÓŻ JEDNAK, JEŚLI ZWOLNIĘ SIĘ OD MYŚLENIA? Pogardza nim za to, że ucieka się do retorycznych pytań. Klejnot zjawił się w drzwiach kaplicy z płonąca gałęzią w ręku.

— Wyruszyli już — powiedział. — Zostałem, żeby podpalić dom.

Poszła za nim wzdłuż nawy, aprobowała jego decyzję.

— Czy spali się w takim deszczu?

— Deszcz ustaje.

Przytknął żagiew do organów wyrzeźbionych ze starego suchego drewna. W parę chwil złożone cherubiny buchnęły radosnym płomieniem. Klejnot i Marianna, połączeni wspólnym celem, wycofali się do drzwi i patrzyli, jak kaplica się spala. Kiedy zatliły się okiennice i воск figurki przelał się na jej brzuch, zostawili ogień własnemu losowi i wyszli do sieni. Zauważyła, że Klejnot tuż za frontowymi drzwiami ułożył kopiasty stos suchych drew. Zapalił je przy pomocy hubki i krzesiwa, co Mariannę bardzo zainteresowało, nigdy bowiem dotąd nie widziała, jak się ich używa. Zaczekali, żeby się upewnić, że drwa się zajęły, po czym obeszlili jeszcze cały dom i wyszli na taras, za plecami obojętnych posągów.

Drugi wielki stos ułożyli w kuchni na stojącym pośrodku stole i naokoło niego. Na ten stos wyrzucili zawartość paleniska. Nigdy dotąd Marianna nie oglądała tej kuchni tak dobrze oświetlonej. Zauważyła, że sufit zasnuwa szara płachta pajęczyn. W kredensie płomienie skakały z półki na półkę. Wyszli na podwórze, wsiedli na konie zaczynające się już niepokoić płomieniami i dymem, które wydobywały się z drzwi kuchni, i odjechali przez pustą łąkę, na drugi brzeg rzeki i

w górę jej skarpy, w stronę lasu. Był przejrzysty szary poranek, a deszcz padał tylko przelotnymi falami, ale wiatr rozwiewał włosy Klejnota jak niezliczone czarne proporce. Na szczycie drugiego brze-
gu zatrzymali się i odwrócili.

Dolina była już zupełnie opuszczona, ogarniała ją ponura jesień, rok już bowiem chylił się ku końcowi. Mariannę osaczyła cisza kapiącego deszczem lasu. Zanurzyła palce w grzywę kuca. Barbarzyńcy przyszedli i odeszli, i zostawili tylko kupę nawozu rozmywanego już deszczem, parę skorup potłuczonych naczyń, grób zaznaczony końską czaszką i zapomnianą, trzepoczącą na wietrze koszulę, którą ktoś powiesił na krzaku, żeby wyschła. Klejnot jednak nie miał zamiaru niczego zostawiać. Przez moment wrak budynku jarzył się wewnętrznym żarem, potem rozległ się potężny huk i dach zapadł się do środka wyzwalając spiralny język ognia, tak wysoki, że liznął najniższe chmury i zaróżowił niebo.

Ogień w mgnieniu oka strawił eklektyczną fasadę i odsłonił wewnętrzny szkielet domu, cały w płomieniach, jak w klatce zamykający w sobie oślepiającobiałe jądro, promieniujące czerwonymi, żółtymi i fioletowymi płomieniami. Rząd pociemniałych posągów wyciągał ramiona, jakby próbował uciec z ognia, który go jednak wchłonał. Rzeka płonęła odbiciem tego rozszalałego piekła, a z drzew naokoło podrywały się spłoszone ptaki. Koń Klejnota łyskał białkami oczu i stawał dęba. Klejnot wyszeptał do niego parę słów, a wtedy, tańcząc na boki, uspokoił się. Wiatr ciskał im w twarz iskry. Nagle z rozdzierającym hukiem puściły któreś z wewnętrznych drzwi i wydało się, że ognisty i krwiożerczy lew skoczył na łąkę. Sam taras zniknął. Uschnięte krzewy róż stanęły w ogniu. W głębi nieba gruchnęła daleki grzmot. Węgliła się trawa, opalone liście zwijały się i spadały z drzew.

Wiatr miotał falami płonących resztek po całej dolinie.

— Może cały las się zapali? — zapytała.

— Może — odpowiedział, jakby z góry się na to cieszył.

Jego oczy były krążkami odbitego płomienia. Skierował konia w las, ruchem ręki wzywając ją za sobą, i wkrótce znaleźli się na zielonej drodze, zostawili za sobą dolinę, w której nie było nic, tylko ogień. Przed nimi z łoskotem uniósł się w powietrze jakiś ptak. Wkrótce dopędzili ostatnich maruderów i znów wchłonęła ich gromada.

Podróżowanie wymagało dobrej organizacji. Zauważyła, że Bradleyowie jakoś niechętnie przekazują innym władzę, nawet Najdroższy, choć ledwie piętnastoletni, wydawał rozkazy ludziom dwu- i trzykrotnie od siebie starszym i zmuszał ich do posłuszeństwa. Bracia woleli sami zająć się przeczesywaniem lasu w poszukiwaniu ukrytych wrogów, a także obserwowaniem drogi przed sobą na wypadek, gdyby nadciągał konwój Profesorów. Ale posuwano się naprzód tak powoli, że odległość, jak czas, traciła wszelkie praktyczne znaczenie. Dodatkowym atrybutem drogi stał się ruch. Wędrowcy byli teraz w swoim żywiole, w miarowym, wytrwałym ruchu naprzód znikąd do nikąd, przy bezbarwnej i pozbawionej wyrazu pogodzie. Czasami się zatrzymywali, żeby dać wypocząć koniom i coś zjeść. Jakiś kos o jednym skrzydle zaskakująco białym zbliżył się do nich skacząc, w poszukiwaniu okruszyn.

— Pożeracze odpadków — zauważył Klejnot. — Co te ptaki poczną, jak nas zabraknie?

Pani Green pociągnęła go za rękaw i odprowadziła parę kroków na bok. Dołączyło do nich trzech braci, którzy przyszli po jedzenie.

— Klejnociku, kochanie, jeszcze jedno dziecko zachorowało, małeństwo Annie, i podróż mu szkodzi. Nic mi nie mówiła, przynajmniej dzisiaj rano.

— Pewnie — powiedział Klejnot. — Nie chciała, żebyśmy ją zostawili.

— Zostawiłbyś kobietę z dzieckiem, dlatego że dziecko jest chore?! — wykrzyknęła Marianna.

— To by zależało od choroby — odparł. — Ale my zawsze porzucamy w lesie najciężej upośledzone noworodki. Czego innego oczekiwałaś?

Pograżył się w milczeniu i szarpał źdźbła mokrej trawy. Johnny beztrudnie ułożył się na odpoczynek obok brata. Wystawił twarz na zimne słońce, właśnie wychodzące spoza chmury, i zagwizdał urywek jakiejś melodii. Klejnot uderzył go po ustach dłonią obciążoną pierścieniami. Przeciął Johnny'emu wargę, z której pociekła krew. Johnny zwałił Klejnota z nóg. Bracia zakotłowali się w wysokiej trawie, drapiąc się i grzmocąc, aż Johnny ukląkł na brzuchu przyrodniego brata i zaczął go metodycznie bić po twarzy. Bójka zaczęła się tak nagle i tak szybko osiągnęła swoje apogeum, że Marianna zamarła, ale Pani Green podniosła wiadro wody przygotowanej do picia i spokojnie oblała nią ich obu, tak samo jak Marianna widziała, że kobiety Robotników w domu oblewają wodą koty walczące przy księżycu. Johnny otarł wodę z oczu klęcząc i złącząc z Klejnotem, który wyciągnął się i wtulił twarz w trawę.

— Bracia powinni być przyjaciółmi — oznajmiła sentencjonalnie Pani Green. — Idź i przebierz się, i zostaw Klejnota w spokoju.

— To on zaczął — powiedział zapalczywie Johnny, wykręcając wodę z warkoczy.

— Było, nie było, powinienes mu okazywać szacunek, a nie skakać do oczu jak szczeniak.

Naokoło nich dzieci, wypoczęte i nakarmione, zaczęły się trochę bawić, biegając w przypływie lepszego nastroju. Syn Donally'ego, o dziwo wyzwolony z łańcucha, podszedł i ciekawie przyglądał się Klejnotowi rozciągniętemu na ziemi.

— Co mu się stało? — zapytał Panią Green.

Klejnot złapał go za nogę w kostce i przewrócił, tamten upadł więc jak długi i rozwrzeszczał się.

— Przeklęty — burknął Johnny, zdejmując koszulę i odsłaniając wspinały, smukły i muskularny tors, ozdobiony błękitno-czerwonym ptakiem. Odszedł, żeby znaleźć sobie coś suchego do włożenia. Klejnot podparł się na łokciu i patrzył, jak przez niego płacze półgłupek. Potem zdjął z trzeciego palca pierścień z czerwonym kamieniem i podał go na dłoni chłopcu.

— To dla mnie? — zapytał półgłupek, z miejsca przestając płakać.

— Dlaczego nie? Ale uważaj, nie zjedz tego.

— Myślisz chyba, że jestem całkiem głupi — powiedział chłopak. Uniósł pierścień pod światło i kamień rozbłysnął najsoczystszą czerwienią. Wsunął go na palec i podziwiał własną dłoń. Potem stracił zainteresowanie.

— A mogę dostać też trochę chleba?

— Dajcie mu chleba.

Prawy policzek Klejnota zaczynał już sinieć. Chłopak dostał kromkę chleba i uciekł. Klejnot znowu zwrócił się do macochy.

— A co jest dziecku Annie?

Wzruszyła ramionami i nie odpowiedziała, nakreśliła tylko na sobie znak chroniący przed złym spojrzeniem, czego Marianna nigdy w jej wykonaniu nie widziała. Potem pojechali dalej. W połowie popołudnia Marianna znalazła się na szczycie jakiegoś wzgórza, skąd ujrzała ciągnący się przed nią całymi milami ponury szmat ziemi

pokryty głębokimi rozpadlinami, sadzawkami i przepaścistymi dołami, trzęsawiskami, groble i rozlewiska wody poprzedzielane pasmami gęstych lasów. Przybyli w okolicę, gdzie w żywopłotach rosły wyłącznie krzewy o ostrych liściach i trujących kulkach owoców. Jeźdźcy ściągali głowy ciekawych koni jak najdalej od skraju drogi, ale krzewy rosły i na drodze i bezlitośnie kaleczyły bosc nogi, a także nogi i dolne partie ciała wierzchowców. Znowu też rozpadał się deszcz. Marianna zastanawiała się, czy pewnego dnia konie nie przemienia się w jakieś amfibia, jeżeli nadal tyle czasu spędzać będą w tej wilgoci.

Rozbili obóz w opuszczonej wsi. Pani Green zajęła chatę z resztką dachu wystarczającą, żeby chronić przed deszczem, przemyślała więc do niej także Annie z chorym niemowlęciem, by mu zapewnić schronienie i ciepło i ukryć je przed Doktorem, który by je kazał porzucić. W chacie były dwie izby, jedna z paleniskiem zdatnym do użycia po oczyszczeniu komina z ptasich gniazd. W drugiej izbie w szczątkach łóżka leżały dwa ludzkie szkielety. Pościel zbutwiała i rozsypała się w proch. Bracia bez słowa wszystko to usunęli. Porąbali resztki sprzętów na opał, ale szmaty wiszące w powybijanych oknach zostawili.

— Śpij przy ogniu z Panią Green i Annie — polecił Mariannie Klejnot. Annie była pierwszą poznaną przez nią Barbarzynką, kuzynką Klejnota, którą spotkali zbierającą grzyby. Trzymała na rękach sześciomiesięczne niemowlę i tępo wlepiła oczy w Mariannę, jakby to wszystko była jej wina. Ojciec dziecka umarł na tężec ubiegłej wiosny. Annie zostało tylko to dziecko.

— Będę spała z tobą — oświadczyła z uporem Marianna.

Pani Green ugotowała jakąś nędzną strawę. Po jedzeniu pozostałych pięciu mężczyzn ulotniło się do innej chaty, żeby zagrać w kości i pić, ale Klejnot został z kobietami i przykucnął przy ogniu, wciąż bowiem chowali do siebie z Johnnym złość. Pokasływał od czasu do czasu. Na kamiennych płytach podłogi leżał gruby, miękki dywan kurzu porysowany w jodełkowy wzór śladami myszy. Pani Green wystawiła na dwór garnek i naczynia, z których jedli, żeby deszcz je wymył. Annie przysiadła na brzegu siennika i otulona kocem kołysała w ramionach niemowlę.

— Biedni oni na tym zimnie dzisiejszej nocy, bez dachu nad głową — powiedziała Pani Green w poczuciu własnego luksusu.

Klejnot rozpostarł palce na posiniaczonej twarzy i nie odpowiedział. Pani Green usiadła przy Annie i wzięła ją za rękę. Marianna uklękła przy ogniu. Deszcz wpadał do komina i syczał w płomieniach. Ogarnął ich całkowity bezruch. Wszyscy trwali tak nieruchomo, jak gdyby sama noc wspierała się na kolumnach ich bezruchu i nikt nie ośmielał się drgnąć. Zaczęło to w końcu dziwnie działać na Mariannę, zachciało się jej śmiać. Odezwała się jednak cichym głosem, jakby nie chciała niczego zakłócić.

— Daj grzebień — zwróciła się do Klejnota. — Wyczeszę ci włosy.

Opuścił dłoń, odsłaniając zaczerwienione oczy, zdumiony i czujny, wkrótce jednak leżał już wsparty na jej kolanach; czesała go niespiesznymi, wymyślnie pieszczotliwymi ruchami. Oczy pozostałych dwóch kobiet śledziły ruchy jej rąk jak zahipnotyzowane. I Marianna w głębi ducha wiedziała, że nic z tego nie jest realne, że to rodzaj czaru. Była w krainie niczyjej. Patrzyła, jak jej własna ręka wznosi się i opada, okryta do niedawna jaskrawym rękawem, ale nie widziała,

żeby jakikolwiek cień powtarzał jej ruchy, przyjęła więc, że to sen, i od razu doznała wielkiej ulgi, tak wielkiej, że pozwoliła sobie na wybuch cichego, niewybaczalnego śmiechu. Od tego śmiechu kolumny zwały się i noc wpadła do izby. Niemowlę krzyknęło jak wyrwany korzeń mandragory. Annie też zaczęła krzyczeć. Z jej ust wytrysnął strumień niezrozumiałych słów, a Klejnot wyjął grzebień z ręki Marianny i wyprostował się.

— Ona mówi, że z niej się śmiejesz — przetłumaczył. — Mówi, że zabijesz jej dziecko śmiejąc się z niej. Co ty na to?

Marianna z niedowierzaniem wlepiała wzrok w kobietę, która zupełnie straciła nad sobą panowanie i, niezależnie od tego, czy była realna, czy nie, pieniała się i jęczała na sienniku.

— Nie wiem — odpowiedziała. — Nic nie wiem. Powiedz mi, co zrobić.

— Pocałuj ją — poradził Klejnot i splunął w ogień.

— Ona mnie nienawidzi.

— Pocałuj ją. Dowiedz jej, że jesteś z krwi i ciała.

— Co to ma znaczyć? Chcesz powiedzieć, że mam jej okazać litość?

— Odpieprz się — warknął skrzywiony.

Przeszył ją tym ostrym, ciężkim, osądającym spojrzeniem, które ujrzała w jego oczach rankiem po ślubie. Zdała sobie sprawę, że wszyscy już patrzą na nią z tym samym dręczącym, nieustępliwym naciskiem, i wstała zmieszana i poirytowana. Krzyki dziecka przekształciły się w głuche, jęki.

Niepewnie wyciągnęła ręce, nie wiedziała bowiem, jak ma podejść do kobiety tak strasznie wyniszczonej nieszczęściem i lękiem. Bała się też, czy Annie nie chowa noża za paskiem spódnicy i nie ugodzi w

nią, kiedy się zbliży. Potem przyszło jej na myśl, że sama może się zarazić od dziecka i umrzeć. Poza tym nie chciała przyznać, że cierpienie tej obcej kobiety jest realne. Czowała namiętną pretensję do męża, że znów wymyślił dla niej jakąś nieznośną próbę, najwidoczniej pod wpływem chwili. Odwróciła się, chcąc wybiec do drugiej izby, jak najdalej od nich wszystkich.

— Pocałuj ją — powtórzył Klejnot po raz trzeci, z groźbą w głosie. Wiedziała już, że nie ma wyjścia. Ruszyła powoli, jakby na szafot, stawiając jedną stopę przed drugą pod spojrzeniami tnącymi jak ostrza. Annie wysunęła z fałdów rękę i nakreśliła magiczny, ochronny znak.

— Nie rób tego — polecił Klejnot i Annie przestała, zupełnie jakby należała do niego i robiła wszystko, co on rozkaże. Zgięta ręka zawisła w powietrzu i Marianna przycisnęła do niej suche wargi. Ucałowała rękę tej kobiety, wiedziała jednak, że to nie wystarczy, pocałowała ją więc w czoło i spojrzała na Klejnota szukając wskazówki, czy ma ją pocałować w usta. Klejnot nie podpowiadał, co teraz mają zrobić. Annie cofnęła rękę, ale bała się niezadowolenia Klejnota tak samo jak Marianny, tylko że on przekornie przestał cokolwiek podpowiadać, Marianna zobaczyła zamazaną, zaczerwienioną buzię dziecka przyciśniętą do piersi, której, zbyt chore, nie miało siły ssać, i bezradna rozplakała się. Jej łzy skapnęły na policzek Annie. Annie dotknęła ich palcem i oblizała palec, żeby sprawdzić, czy są wystarczająco słone. Marianna osunęła się na kolana, łkając, jakby jej pękło serce. Annie odsunęła się i z westchnieniem odwróciła tyłem do niej.

— Jestem pewna, Marianno, kochanie, że ona naprawdę nie przeciw tobie nie ma — powiedziała Pani Green.

Marianna wcisnęła pięści w oczy, ale łzy spływały między knyk-
ciami.

— Połóż ją do łóżka — poradziła Pani Green.

Klejnot odciągnął ją za ramiona i przeniósł do drugiej izby. Tak strasznie płakała, że nie wiedziała, dokąd idzie. Rzucił ją na stertę koców i zostawił wśród kapiącego wszędzie deszczu, aż usnęła płacząc. Nie zbudziła się, kiedy przyszedł się położyć, dopiero dużo później, w środku nocy, kiedy Pani Green zaczęła nim potrząsać, w śnie bowiem nieświadomie tak do siebie przywarli, aby ogrzać się nawzajem, że nie sposób było zbudzić Klejnota nie budząc Marianny.

— Chodź, wykop grób — powiedziała Pani Green bez wstępów. Oslaniała płomień lampki ręką, żeby nie obudzić drugiego brata, który chrapał teraz koło nich.

— Spal je — burknął Klejnot.

— Odmawiam palenia dziecka na domowym ognisku — oświadczyła Pani Green.

— Jesteś wielce subtelna — zauważył posępnie Klejnot.

Stoczył się na podłogę. Deszcz nadal padał do izby.

— Chodź, Marianno, chodź, zobaczysz mnie przy pracy.

Na przegniłych deskach podłogi deszczówka zbierała się w kałuże, a na dworze stratowana końskimi kopytami ziemia zmieniła się w głębokie po kolana, płynne błoto. Pani Green w milczeniu wręczyła Klejnotowi łopatę. Twarze obojga wyglądały jak spękany kamień. Annie stała w drzwiach. Trzymała dziecko otulone w czystą poszewkę, nie było bowiem czasu na zbijanie trumny. Przez otwarte drzwi padało dosyć blasku od ognia, żeby przyświecić Klejnotowi przy pracy. Nie było widać światła w innych domach, nie było też ani gwiazd,

ani księżycy, tylko deszcz. Biała koszula Klejnota poczerniała od błota i Marianna ledwie mogła odróżnić zarys jego ciała, choć słyszała kłaskanie łopaty. Od czasu do czasu pobrzękiwała o kamień.

— Nie kop za płytko, żeby go do rana psy nie wywęszyły — ostrzegła Pani Green.

— Ach, przyznaj, że się trochę na tym znam.

Wreszcie oznajmił:

— Już wystarczy.

Annie dała nurka w deszcz i podała mu ciężką poszewkę.

— Za mała z niego drobinka, żeby zostawał taki sam — powiedziała zdumiona. Kucnęła w błocie na skraju dołu i z czułością uklepała ziemię nad chłopczykiem, jakby się chciała upewnić, że został dobrze przykryty. Wrócili do chaty przemoczeni do nitki i oblepieni błotem. Pani Green zabrała do izby czarny sagan i zagotowała w nim wodę. Umyła Annie twarz i ręce, zdjęła z niej brudne ubranie i namówiła, żeby się położyła. Kołysała ją w ramionach, dopóki nie usnęła. Klejnot umył się milcząc. Marianna nie mogła już płakać, siedziała, apatycznie oparta o ścianę.

— Już prawie rano — powiedział i kłękając przy ogniu, pochylił się, żeby wysuszyć splątane włosy. Ukrywał twarz, na której, jak Marianna w pewnym momencie zobaczyła, nie było śladu życia. Była naga aż do przerażającej szczerości gołego kośćca.

6

Tam, gdzie grunt był wilgotny, zarastały go gąszczem turzyca, koscaciec i sitowie, gdzie indziej jednak obrzeża drogi obrastały koleczaste krzewy pokryte szarozielonym i rdzawym liszajem. W miejscach,

gdzie przez asfalt wydrążyło sobie ujście jakieś źródółko, drogą płynęła cała rzeka. Czasami obsunięcie terenu lub skały niemal zacierało ślad drogi, a często nad głowami łączyły się konary drzew-i droga odpowiadała echem jak akustyczna galeria. Po deszczu nastąpiły dość ciepłe, wilgotne dni i wędrowców dręczyły komary, ale potem najgorszy okazał się pewien suchy dzień. Błoto wyschło i zmieniło się w suchy biały pył, który dławiał i zalepiał oczy i nozdrza, a muchy i komary tańczyły w jadowitej gotowości.

— Idealne do podróży są chłodne, szare dni — powiedziała Pani Green.

Noce spędzali pod namiotem ze skór albo w napotykanym po drodze budynkach, które mogły dać choć trochę osłony. Wszystko było nietrwałe, żadna kolejna noc nie przypominała w niczym minionej. Dnie poświęcali bez reszty nieustającemu posuwaniu się i Marianna czuła się tak, jakby płynęła na szczątkach rozbitej łodzi. Nuda i wyczerpanie sprzysięgły się, żeby zniszczyć jej dawne, pochlebne wyobrażenie o sobie. Nie widziała żadnego logicznego uzasadnienia dla własnej egzystencji czy też egzystencji towarzyszących jej ludzi, ani zwykłego logicznego następstwa przyczyn i skutków w całym tym przesuwającym się świecie. Świadomość rozumnych racji, w której jej własne istnienie dojrzewało, zniknęła i niedługo mogło dojść do tego, że gotowa się będzie pogodzić z każdą, byle spójną, złowrogą strukturą świata, jaką zechce jej podsunąć pewnego dnia ten szaman jadący na ośle. Często myślała o niemowlęciu zasadzonym w ziemi jak o gorzkim ziarnie, które nie wszędzie, ale nie znajdowała w tym najmniejszego sensu i nieraz się zastanawiała, dlaczego tak bardzo płakała tamtej nocy.

Mimo że reszta plemienia od dawna przestała się nią zajmować, Doktor nadal ją obserwował. Popękane szkła jego ciemnych okularów odsłaniały Mariannie najróżniejsze możliwości, sposoby życia, do jakich mogła dążyć, kiedy tylko odrzuci rozum jako już nieużyteczny, gdyż niezbyt pomocny w interpretacji otaczających ją zagadek. Donally, czy to w swoim czarnym futrze, czy w ciemnym garniturze, nadal był nieprzyzwoicie rześki. Jego dwubarwna broda całymi dniami wyśpiewywała dwie poufne nuty, sztucznie farbowane, a wieczorami Marianna słyszała, jak wygrywa geometryczne melodie na flecie, siedząc pod drzewem. Wyobrażała sobie, jak jego wąż wysuwa tak samo kolorową głowę zza ozdobionych wstążkami prętów klatki i słucha tej muzyki. Może nawet rozmazane plastikowe kwiaty splecione między prętami na nowo otworzą pachnące świeżo płatki pod przemożnym wpływem pięknego głosu fletu. Doktor bowiem był wspaniałym muzykiem.

Arterie dróg nie miały już centrum, z którego by wypływały. Kiedy zniknęły miasta, drogi wróciły do starej funkcji, służyły najpierwotniejszemu rodzajowi podróżowania, peregrynacji nomadów, stanowiącej cel sam w sobie, a Barbarzyńcy w ogóle woleli omijać miasta, czy też, jeżeli nie dało się tego uniknąć, unikali przechodzenia w ich pobliżu za dnia. Ten wstręt do ruin nie wypływał z przesądu, gdyż grupy uzbrojonych konnych często się zapuszczały w głąb ruin na poszukiwania. Wygnańcy jednak trzymali się miast i mieszkali w ruinach, w jamach wygrzebanych w ziemi.

— Ale przecież sama chodziłam na nie kończące się wycieczki do ruin w pobliżu domu i nigdy nikogo nie spotkałam — powiedziała Klejnotowi.

— Myśleli pewno, że jesteś aniołem, i ze strachu uciekali przed tobą. Oni uważają, że osiedla Profesorów to raj na ziemi, pełen

aniołów z ognistymi mieczami, które bronią im wstępu.

Ale Barbarzyńców się nie bali, konwój wozów zaś trudno było bronić przed ich atakiem, o czym miała się przekonać sama.

Szła pieszo, żeby oszczędzać konia. Tego dnia postanowiła iść tuż za czołem pochodu, z dala od Pani Green i jej odwiecznych sentencji. Bracia na zmianę przeszukiwali okolicę, w obawie przed ewentualnymi wrogami, i kiedy skończyła się zmiana Klejnota, wrócił i szedł obok Marianny, może po to, żeby mieć ją na oku. Kiedy spojrzała na niego, wyglądał bezcieleśnie, jak wycięty z papieru. Kaszłał od czasu do czasu. Wchodzili na obrzeża ruin pod koniec coraz chmurniejszego, bezwietrznego poranka.

Na lewo grunt opadał w rdzawo poplamiony, zarośnięty koleczastymi roślinami teren bagna. Na prawo wznosiła się nad nimi ściana spękanego betonu podziurawiona otworami, przez które widać było skórzane niebo, jakby spocone. Ściana oddzielała niczym granicą poryty kraterami, wyszczerzony jak szczęka pełna spróchniałych zębów obszar zawalonych wież, nad którym posępnie kołowały wrony, wypełniając niebo melancholijnym krakaniem. Światło tego ranka było żółte i rażące. Od czasu do czasu zasłaniały widok zabłąkane płachty mgły, która w wielu miejscach wisiała nieruchomo nad bagnem. Droga była zła. Dawna nawierzchnia głęboko popękała, tworząc wielkie, nieregularne segmenty, a poszarpane krawędzie sterczały w niebo. Spośród kamieni, kości i czaszek wyrastały w tych rozpadlinach rośliny podobne do liszajów. Wozy toczyły się jak pijane i co chwila spadał z nich ładunek, leciały na wszystkie strony wszelkiego rodzaju sprzęty i statki. Spadł kojec z kurami i rozbijając się uwolnił rozgdakane stadko, za którym natychmiast rzucono się w pogon wśród

wesołych pokrzykiwań, zamarły one jednak szybko, gdyż okolica była złowroga.

Marianna szła z oczyma wlepionymi w plecy idącej przodem kobiety, która prowadziła kościstą krowę. Nie знаła imienia tej kobiety, ale jej pleców nauczyła się wkrótce na pamięć. Ubrana była w długą spódnicę uszytą z ciemnoszarego koca i koszulę wyszywaną w pięcioramienne gwiazdy. Podeszwy dwóch nagich stóp chroniła zrogowaciała skóra, unosiły się na przemian, raz jedna, raz druga. Widziała też plecy wystrzępionej skórzanej kamizelki, na którą zwisały dwa brunatne warkoczki związane szmatkami. Aż nagle ujrzała strzałę, która utkwiała w tych plecach, drżąc, pośrodku skórzanej kamizelki, między warkoczami, strzałę z czerwonym ostrzem, spadłą znikąd, z jasnego nieba.

Wszystko w jednej chwili się zmieniło. Kobieta chrząknęła i upadła do przodu, na twarz. Spłoszona krowa rzuciła się do ucieczki, ale żałośnie ugrzęzła w błocie. Klejnot chwycił Mariannę, odrzucił ją w bok od drogi i, na pół ciągnąc, na pół niosąc, przewlókł przez śliski grunt wśród padających naokoło strzał, aż wreszcie ją wcisnął za kawał muru przy kępcie cierni, w miejscu względnie bezpiecznym.

Upadła na twarz w błoto i nic nie widziała, ale słyszała ogień strzelb, dudnienie kopyt, łoskot jakby walącej się ściany i krzyki. Myślała, że to Klejnot strzela, ale on leżał na niej. Pojęła nie bez zdumienia, że osłania ją własnym ciałem. Słyszała jakieś krótkie, świszczące dźwięki — to strzały pruły powietrze. Ale wszystko to stało się tak szybko, że w pamięci zatrzymała ten jeden obraz, drzewce strzały w skórzanej kamizeli, drżące drzewce strzały. Potem boleśnie odczuła jakieś ruchy, nacisk zwalniał się, to znów czuła się przyciskana do ściany. Klejnot chyba z kimś walczył. Oderwała się od splecionych ciał i przykucnęła pod cierniowym krzakiem, przecierając oczy.

Żółtawa mgła opadła i od pozostałych oddzieliła ich w ten sposób, że Marianna, Klejnot i to, z czym walczył, znaleźli się w oślepiającej, nieprzezroczystej bańce powietrza. Już po raz czwarty oglądała walczącego Klejnota, a po raz trzeci widziała, jak walczy o życie. Napastnik tym razem był nagi, tylko w opasce na biodrach wykrojonej ze skóry jakiegoś zwierzęcia, i pokryty ropiejącymi ranami. Ręce miał bardzo krótkie, pozbawione łokci i zawieszane nienaturalnie nisko na ciele dziwacznie pokrzywionym i nierzeczywistym. Twarz przecinała mu olbrzymia szrama, nie miał nosa. Nozdrza stanowiły dwie bliźniacze dziury pomiędzy oczami. Psie zęby wyrosły mu do rozmiaru kłów. Uzbrojony był w nóż. Taplali się i nurzali w błocie, dopóki Klejnotowi się nie udało wytrącić tamtemu noża z ręki. Wtedy Klejnota chwycił atak kaszlu i nie mógł już walczyć, dławił się w uścisku wroga trudniejszego do uchwycenia.

Pokraczny stwór wczepił się w bujne włosy Klejnota, szarpnął mu głowę do tyłu i już miał się mu wgryźć w gardło, kiedy Marianna jego własnym nożem pchnęła go w plecy, w okolicę nerek. Zagulgotał, oddał kał i szarpnął się parę razy. Marianna dźgała jeszcze nożem parę razy, zdumiona, jak szybko bluzga krew. Pod tą agonią leżał bezradny w tej chwili Klejnot i Marianna dalej ciachała nożem na oślep, aż z tego stworzenia został tylko pokiereszowany strzęp mięsa, które już się nie ruszało.

Klejnot otworzył oczy. Trochę krwi pociekło z kącika jego ust. Ohydna głowa leżała mu na ramieniu. Wreszcie gestem polecił Mariannie, żeby odsunęła trupa, więc zrobiła to, odrzucając ociekający krwią nóż. Ukląkł i obejrzał zadane przez nią rany.

— Będę cię musiał nauczyć strzelać — powiedział. — Pokierowałaś go na dobre, zarżnęłaś go nie na żarty.

W czasie tej walki w błocie mgła pojaśniała. Klejnot ułożył trupa na wznak, zdjął mu z palców dwa pierścienie, zamknął oczy i przycisnął powieki. Marianna oparła się o zwały mur zdyszana, łapiąc powietrze. Oboje grubo byli oblepieni brudem. Mgła całkowicie pobieliała i rozwiała się bez śladu. Zobaczyli oddaloną mniej więcej o dwadzieścia jardów drogę. Mur, za którym Wygnańcy urządzili zasadzkę, podziurawiony był śladami kul, a między zabitymi snuł się teraz Doktor zawadzać modły, było już bowiem po bitwie.

Zabici leżeli kupami, pozbawieni wszelkiej godności. Wygnańcy różnili się między sobą szczegółami anatomii. Jeden z mężczyzn miał karbowane uszy, białe, delikatne i rozpostarte jak kwiat lilii. Inny cały był pokryty łuską, a między palcami rąk i nóg miał błonę. Nie wielu szczyliło się kompletem normalnych członków czy też rysami twarzy, a większość nosiła na sobie ślady nieznanymi chorob. Niektórzy byli niedorzecznie wydłużeni, o ramionach i nogach dwakroć tej długości, do jakiej dochodzą one u normalnego człowieka, ale jednemu z nich nic nie brakowało, był pozbawioną braków miniaturą, liczącą od czubka głowy do pięt zaledwie dwie stopy.

— Oto i masz — powiedział Klejnot do swojego nauczyciela — fenomen człowieczeństwa.

— W ogóle nie wierzę, żeby to byli ludzie — zauważyła Marianna, która tamtą pokrakę zabiła z czystej odrazy, tylko po to, żeby zetrzeć z powierzchni ziemi coś, co się jej wydało okrutną parodią życia.

— Konieczność każe nam przyjąć wzór standardowy — wyjaśnił Donally. — To, co odmienne, budzi wstręt, choć prawdę mówiąc, taka

reakcja może być dyktowana krótkowzrocznością, jeśli się mamy przystosować, żeby przeżyć. Może powinniśmy na serio zrewidować swoje zdanie o tym, czy kształt czyni człowieka.

Klejnot zastanowił się chwilę.

— Ci, którzy żyją na bagnach, powinni wykształcić sobie błony między palcami — podsunął i roześmiał się tak głośno, aż zaniepokoiło to pograżonych w smutku ludzi.

Większa część kawalkady uniknęła ataku, wymierzonego niezbyt mądrze w samo czoło pochodu, Wygnańców nie było też trudno rozgromić, w ogóle bowiem pozbawieni byli przebiegłości. Ich groźne strzały zabiły tylko tę jedną kobietę, dziecko i starca, choć kilka jeszcze osób odniosło rany i teraz ze stoicyzmem oczekiwało na działanie trucizny. Nadal sprzątano ciała poległych, kiedy wozy ruszyły dalej, żeby jak najszybciej opuścić niebezpieczne miejsce, a mężczyźni zaczęli się wzdłuż muru, zapewniając osłonę.

Klejnot, Błękitny, Bendigo i Jakub we czterech kopali groby przy drodze, jeden wspólny dół dla Wygnańców i po osobnym grobie dla każdego z członków własnego plemienia. Donally stał przy nich i kartkował *Modlitewnik*, a Marianna czekała obok męża, wyczesując palcami błoto z włosów. Nie czuła się ani zawstydzona, ani przerażona, jedynie trochę mniej znudzona, a jednocześnie zdrowa i zadowolona. Ponieważ znowu uratowała Klejnotowi życie, zastanawiała się, czy rzeczywiście należy ono teraz do niej i może nim w pełni rozporządzać. Padł strzał i zepchnięto do grobu istotę nieokreślonej płci, wyposażoną w jedną pierś, jądra i rzadkie, choć pokrywające całe ciało kasztanowate futro. Potem jeden z konnych wypadł spośród ruin ciągnąc na końcu liny jeńca, który objął się o drogę jak wypchany

skórzany wór, ale płakał. Był to Najdroższy, cały z wyjątkiem stóp opleciony liną.

— Najdroższy miał przeszukiwać mur — powiedział Johnny. — Takie było jego zadanie. Komu można zaufać, jeśli nie bratu?

— Zginęło troje ludzi — oświadczył Klejnot Najdroższemu ze znużeniem. — Co ty na to?

Najdroższy był tak przerażony, że ledwie trzymał się na nogach.

— Znalazłem miód na drzewie — wyjaśnił. — Jadłem miód.

— Miód — powtórzył Klejnot.

Macocha z odrazą uniosła spódnicę i wybierając w błocie suchsze miejsca zbliżyła się do nich.

— Zajadał miód i przegapił Wygnańców — powiedział ponuro Klejnot, wskazując na Najdroższego-

— To ledwie dziecko — oświadczyła Pani Green. — Ma piętnaście lat.

— Władza musi dobitnie okazywać siłę — orzekł Donally, zakładając ręce i chowając dłonie w rękawy. Marianna zobaczyła jego słowa, jak gdyby je wypisywał czerwoną farbą na potrzaskanym murze.

— Zaslugujesz na stryczek — stwierdził Klejnot, zwracając się do brata. — Zamiast tego będę cię musiał wychłostać, jak tylko znajdę drzewo, żeby cię przywiązać. A teraz możesz kopać.

Kiedy skończyli zakopywanie poległych i Donally dopełnił ceremonii, ruszyli dalej. Widać było, że Pani Green jest w rozterce.

— To chyba za surowa kara — mówiła. — A Najdroższy to ledwie dziecko.

Nikt się nie odzywał do Najdroższego, a on biegł za nimi, potykając się, i płakał.

— Nie jego zasługa, że wszyscy nie leżymy martwi — powiedział

Klejnot, któremu błoto zaschło na twarzy jak maska.

— Najdroższy to twój przyrodni brat, a więc twoja własna krew po części.

— Dodatkowo powód, żebym to ja go wychłostał.

Mgła, bagno i trupie światło pozostały za nimi, kiedy wyjechali na otwartą przestrzeń. Wyszło popołudniowe słońce i znaleźli się na wydmach porośniętych wielką paprocią-orlicą. Najdroższy miał ponieść karę wieczorem, wtedy bowiem robi to największe wrażenie. Wlókł się chwiejnym krokiem tuż za Klejnotem, z rękami związanymi na plecach, i do końca dnia nie dostał nic ani do jedzenia, ani do picia. Miało się ku wieczorowi, kiedy natrafili na zabudowania jakiejś farmy. Dach z blachy falistej na stodole był już tylko ciemno-brunatną, rdzawą pajęczyną, delikatną jak skrzydło ćmy, nie sposób też było odróżnić, gdzie kiedyś były uprawne pola, ale w sadzie w wysoką trawę pospadało tyle jabłek, że osiedliły się tam zdziczałe świnię. Opychały się jabłkami i trawę wydeptały w istne klepisko.

Zdziczałe świnię miały podłużne blade ciała, trzepoczące różowe uszy i oczy jak czerwone porzeczki. Jedna przez drugą, z drżącymi ryjami, próbowały umknąć przed kulami straży przedniej. Kwiczały i chrząkały straszliwie. Piękne światło wczesnego wieczoru przemieniło je w złoto. Te, które nie od razu stały się wieprzowiną, rozbiegły się po wydmach nabierając niewiarygodnej szybkości. Stało miasteczko namiotów i zapalono ogniska. Johnny uwiązał Najdroższego za rękę do niskiej gałęzi jabłoni i zostawił go tak. Przy jabłoni powoli zebrało się całe plemię i nastrój oczekiwania niezwykle ożywił wszystkie te ogorzale twarze.

Doktor wypakował i włożył drewnianą maskę i szatę z piór. Tęczowo upierzony olbrzym ze szpicrutą w dłoni stanął obok jeńca jak polichromiczna abstrakcja. Twarz Klejnota pokrywała glina. Żaden z nich w tym momencie nie miał swojej prawdziwej twarzy. Donally wręczył Klejnotowi szpicrutę, a on zdjął koszulę i podszedł do drzewa. Marianna ujrzała tamtą drugą jabłoń, tę, którą nosił na plecach, i ta wytatuowana zdawała się tętnić życiem, jak gdyby ujawniło się drzewo krwi tego młodego mężczyzny, to, które go podtrzymywało, a nie jakiś ozdobny rysunek. Złapała się na tym, że brak jej tchu.

— Sprawiedliwość — powiedział.

Dzieci zasiadły wszystkie razem, żeby przyglądać się temu widowisku. Jen, syn Donally'ego i inni zamilkli w oczekiwaniu, jakby to wymierzanie sprawiedliwości było z dawna obiecaną rozrywką, Annie patrzyła wytrzeszczając oczy i z otwartymi ustami, jakby się spodziewała, że widok cierpienia Najdroższego przyniesie jej pociechę, albo w wymierzonej mu karze szukała jakiejś szerszej pojętej satysfakcji. Chłopak od pewnego już czasu wisiał na drzewie uwiązany za ręce, twarzą ku bezlistnemu pnium. Brutalnym, władcym gestem Donally zdarł z niego koszulę. Stopy chłopca muskały ziemię. Skazano go na dwadzieścia batów. Po drugim uderzeniu syn Donally'ego głośno zaskowyczał, wyrwał się z kręgu widzów i odbiegł w paprocie.

Po piątym rozpląkała się jakaś dziewczynka. Po ósmym uderzeniu Najdroższy zaczął obficie krwawić. Po dziesiątym, kiedy Najdroższy wyglądał jak zakrwawiony tygrys obdarty ze skóry i pod uderzeniami kołysał się bezwładnie jak trzepany dywan, Marianna nie mogła już patrzeć. Bat świstał i spadał głośno płaszcząc, Najdroższy za każdym plaśnięciem chrząkał i wszystkie te odgłosy mechanicznie się powtarzały.

Zauważyła, że ruchy Klejnoty stały się automatyczne.

Był tylko uosobieniem władzy, którą ludzie boją się obrazić, jego plecy pochylały się i prostowały, ręce podnosiły się i opadały. Wąż na plecach wysuwał i chował język zależnie od gry mięśni pod skórą, i miało się wrażenie, że wytatuowany Adam nieustannie cofa się przed jabłkiem, które Ewa pochylając się raz po raz mu podaje, aż się wydawało, że ten film o nie kończącym się kuszeniu wyświetla na skórze Klejnoty jakąś urwaną serię działań, pozbawioną zakończenia, zamkniętą wciąż w jednym wycinku czasu. Klejnot również był zamknięty w tym wycinku czasu. Zakrzepły w akcie kary, schowany pod maską okrywającą całe ciało, nie był już człowiekiem. Czyżby dlatego w dawnych czasach zakładano katom kaptury, żeby przypadkiem nie dojrzeli swojego odbicia w lustrze i nie padli trupem z przerażenia? Kiedy uderzenia się urwały, Marianna znowu spojrzała. Klejnot rzucił bat i podbiegł do drzewa. Odciał Najdroższego i chwycił go na ręce, kiedy chłopak padał.

— To nie moja wina — powiedział. — Kocham cię bardziej niż kogokolwiek innego.

Z dumy lub z nienawiści Najdroższy nie stracił jeszcze przytomności.

— Więc czyja to wina, ty draniu? — zapytał.

Resztką sił plunął Klejnotowi w twarz, wyrwał się, ledwo stojąc na nogach, z jego objęć i upadł zemdłony. Klejnot stał oszołomiony, nie wiedząc, co robić, i opływał potem. Podeszła Pani Green zająć się Najdroższym, przyniosła wodę i płótna. Demonstracyjnie zignorowała najstarszego z braci, który oparł się ręką o pień jabłoni, żeby nie upaść, a następnie objął pień zupełnie jak wariat, niemal namiętnie. Marianna chętnie by go dotknęła, z drugiej strony jednak budził w

niej obrzydzenie. Tłum, szemrząc, rozpierchnął się, wymierzono już bowiem sprawiedliwość złodziejowi miodu i przedstawienie na ten wieczór było zakończone. Donally zabrał się do przebierania ziół, których miał pełen koszyk, gwizdząc jakąś matematyczną barokową melodię. Światło było tak nasycone i tak rozkoszne dla oczu, że mogłaby je jeść łyżkami, wieczór bowiem był niezwykle ciepły i słodki jak świeży dżem.

Nie zauważona, Marianna wyszła poza osłonę wozów ustawionych obronnym kręgiem. Konie pasły się spokojnie i nie podnosiły łbów, kiedy przechodziła. Buty miała tak zdarte, że właściwie na nic się nie przydawały, zdjęła je więc i odrzuciła. Chłodna trawa zwijała się wokół jej stóp pieszczotliwymi językami, kiedy schodziła ze wzgórza, przez gąszcz chwastów zmieszanych ze zdziczałym zbożem. Obóz stał się już tylko punkcikiem ognisk, znalazła się sama. Trafiła na kępę leszczyny, a za nią na strumień zarosły trziną.

Usiadła na brzegu i chlapała ręką w stojącej wodzie. Zachodzące słońce rzucało strzały czerwonych promieni przez brunatne gałązki leszczyny i farbowało henną nieruchomy strumień. W olszynie pełno było orzechów. Słuchała miękkiego pluskania wody przepływającej między palcami. Była mokra od potu i od tygodni prawie nie zdejmowała ubrania, w tej samej bluzce i spodniach spała, chodziła, jeździła konno, towarzyszyła pogrzebowi, zabiła tego człowieka-nieczłowieka i brała udział w publicznym wykonaniu wyroku. Aż dziw, że dotąd nie dochowała się wszy, choć pchły łąpała często. Pochyliła płonąca twarz nisko, aż dotknęła chłodnej powierzchni wody, a kiedy uniosła głowę, na brzegu koło niej siedział w kucki chłopak półgłówek, jak gdyby potajemnie wyznaczili sobie w tym miejscu spotkanie, choć jedno drugiemu zapomniało o tym powiedzieć. Magia tego

bursztynowego światła zabarwiła jego nagie ramiona zdrowszym niż zwykle kolorem. Dłubał w nosie palcem, na którym tkwił pierścień Klejnota z rubinem, jeżeli to był prawdziwy rubin, a nie szkielko. Dostrzegła ślad po obroży na jego szyi.

— Dlaczego ojciec tak często trzyma cię na łańcuchu? — zapytała.

— Boi się mnie, bo moje ataki są lepsze od jego — wyjaśnił. —

Popatrz.

Zatoczył oczami, zaczął pluć pianą i tarzać się po trawie tak energicznie, aż się złąkła, że może sobie zrobić krzywdę.

— Przestań — rozkazała stanowczo.

Otrząsnął się w jednej chwili i wlepił w nią białe, osłupiałe oczy. Okryty pianą język zwisał mu na blade, popękane i zapuchłe wargi.

— Ty, oczywiście, jesteś kobietą Klejnota — powiedział, jakby to tłumaczyło wszystko.

— Jestem jego żoną.

— To to samo.

— O, wcale nie. Kiedy się jest żoną, nie ma się innego wyboru.

Wtedy już to od ciebie nie zależy.

Pokręcił brudną brunatną głową. Nie zrozumiał jej.

— To to samo — upierał się.

— Nie.

— Tak.

— Nie.

— Tak! Tak! Tak! — znowu rzucił się na ziemię i tarzając się krzyczał: — Tak! — ochryple i władczo, aż Marianna stanowczo powiedziała:

— Wyglupiasz się.

Drgnął i spojrział na nią z pewnym zdumieniem, ponieważ mu przerwała.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Dyszał. Żmije na jego piersi skręcały się i rozkręcały, i zwijały wo-koło starych blizn na żebrach, podniósł dłonie i ukrył się za nimi, zerkając na nią przez palce. Jego ruchy były płynne, choć nieskoordynowane. Miło byłoby na niego patrzeć, gdyby umiał poruszać się z wdziękiem. Kołysał się na piętach w przód i w tył, aż nagle, bez żadnego ostrzeżenia, rzucił się na nią. Był nieważki jak ptak o pustych w środku kościach albo owad, którego szkielet kostny znajduje się na wierzchu i nic nie zawiera wewnątrz. Mogłaby go chyba odepchnąć jednym palcem, a nawet, gdyby chciała się bronić, zepchnąć go do strumienia, uświadomiła sobie jednak, że oto po raz-pierwszy ma okazję zdradzić Klejnota, natychmiast więc ją wykorzystała.

Ten wychudły, szalony i bezwstydnny dzieciak przez dobrą chwilę przewracał ją wśród korzeni, sięgając jej pod ubranie zdumiewająco długimi i delikatnymi palcami, choć mogłoby się wydawać, że kieruje nim bardziej ciekawość niż pożądanie, toteż Mariannie przyszło do głowy, że może jest na to jeszcze za młody, rozpięła więc bluzkę i sama potarła jego wilgotne usta o swoją pierś. Brodawki miała tak wrażliwe, że wydała stłumiony jęk, i to bardzo go podnieciło. Zaczął szeptem recytować urywki niezrozumiałych modłów ojca i jego maksym, a ona brutalnie chwyciła go i wcisnęła w siebie, zabrakło jej bowiem cierpliwości, żeby zdać się na instynkt. Po dwóch lub trzech potężnych pchnięciach osiągnął skutek z tak straszliwym krzykiem, jakby utrata dziewictwa sprawiła mu taki sam ból albo przynajmniej wprawiała w taką samą konsternację jak kiedyś Mariannę utrata własnego. Wyśliznął się z niej bezsilnie, drżąc, przytrzymała go jednak w swoich objęciach i ucałowała w splątane włosy. Nie czuła się zaspokojona, ale pełna była rozkoszy, uczyniła bowiem coś nieodwołalnego,

choć nie miała całkowitej pewności, co to było. Leżeli więc tak przez chwilę w niewyraźnym spokoju i w ciemnych barwach zmierzchu. Dotykał jej i nie czuła tego, gdyż jego kruche ciało nie wydzielalo ciepła.

— Wiedziałaś, że jesteś w ciąży? — zapytał głosem łamliwym jak szklany włos.

Dojrzała mglisty profil półksiężyca unoszący się na miedzianym niebie nad czerwoną wydumą, między olszynowymi gałązkami. Nigdy nie należało wierzyć dziecku Donally'ego, nawet jeśli upierał się przy swoim.

— No, Klejnot zrobił ci dziecko.

Lekko polizał nabrzmiąłą brodawkę jej prawej piersi i rozeźmiał się sam do siebie. Miał jeszcze jedno pytanie.

— Często się z tobą kocha?

— Nigdy nie widziałam jego twarzy, kiedy byłem z nim w łóżku. Może to w ogóle nie był on, może coś innego.

Dlatego też przyszło jej na myśl, żeby podnieść mu głowę i spojrzeć na jego twarz. Była miękka i bezkształtna, miała grube, ociekające śliną wargi i olbrzymie oczy dziecka zagubionego w lesie, przestraszonego przez słowika. Teraz, kiedy słońce stało nisko, był taki blady, jakby jego promienie zawsze go omijały. Na policzku miał smugę zadrapania. Otrząsnął jej ręce i znowu położył się na niej. Przesunął językiem wzdłuż pokrytego puszkciem zagłębienia między jej piersiami.

— On wie?

— O czym?

— Że będziesz miała dziecko.

— A skąd ty wiesz?

— Tak mi się wydaje — odpowiedział. — Czy uważasz mnie za przyjaciela?

Wiatr rozgarnął trzciny i chłopak znowu zadrżał. Zapomniał zupełnie o swoim pytaniu i zauważył z pretensją:

— Zimno mi.

Poczuła gwałtowny przypływ czułości, zapragnęła otulić go sobą, wchłonąć w siebie, gdzie miałby ciepło i nikt nie mógłby go skrzywdzić. To biedne, jasnowidzące, bezrozumne dziecko chaosu ssące jej pierś, jakby szukało w niej mleka. Głaskała go po posiniaczonych bokach i myślała: „Czy ma rację? Jestem w ciąży? To możliwe, nigdy o tym nie pomyślałam, dopiero ostatniej nocy w tym starym domu, nigdy nie zwracałam sobie głowy pilnowaniem jakichś objawów”. Te objawy to było ustanie menstruacji, poranne mdłości, niestrawność, obstrukcja. Roześmiała się, wszystkie one bowiem wydawały się takie trywialne. Chłopak podniósł na nią wielkie, zdumione oczy koloru najbledszej szarości. Zdenerwowała się nagle, to bowiem, co się w nich odbijało, mogło wcale nie być ludzkim rozumem, lecz jakąś inteligencją, która, choć najwyższej miary i biegnąca równolegle, nie miała nic wspólnego z jej inteligencją i — może — z niczyją.

— Idź już i zostaw mnie samą.

Skinął głową posłusznie i wstał.

— Ach, głuptasie.

Usiadła i zapięła mu te jego wystrzępione spodnie. Wczepił palce w swoje krótkie włosy i zanucił frazę którejś z melodii ojca. Jak gdyby w odpowiedzi z sąsiedniego drzewa zaświergotał ptak. Może to był słowik, bo syn Doktora nagle urwał śpiew, przestraszony.

— Ale jakie mu dasz imię?

— Komu?

— Dzieciakowi Klejnota.

— Modo albo Mahu* — strzeliła bez namysłu. [Imiona Księcia Ciemności przytaczane przez Szekspira: *Król Lir*, Akt III, sc. 4: „Książę Ciemności jest szlachcicem: nazywa się Modo i Mahu (tłum. J. Pankowski).]

— Nie nabierzesz mnie — odpowiedział. — Żartujesz. Pewno mi nie wierzysz, co?

Wobec niewinnej czystości jego łagodnego spojrzenia odczuła całkowitą pewność, a wraz z nią ogarnął ją przygnębiający smutek. Prawie nieświadomie naciągnęła z powrotem bluzkę na piersi, żeby je przed nim osłonić.

— Tak, wierzę ci — powiedziała.

Podrapał ślad po ukąszeniu jakiegoś owada na ramieniu, obdarzył ją nieuważnym uśmiechem świadczącym o tym, że znów postanowił stać się idiotą, i wymknął się przez krzaki jak ryba. Marianna położyła się w trawie, przejęta dojmującym smutkiem. Po chwili zdjęła ubranie i zanurzyła się w strumieniu. Nurt wody był nieoczekiwanie silny, zapragnęła, żeby ją uniósł aż do rzeki, a szeroką rzeką aż do celu, utopioną i martwą, na długo przed przybyciem plemienia do nieznanego morza. Umyła się jednak starannie raz i drugi, przemywając się zimną wodą pomiędzy udami, żeby zmyć wszelki ślad przelotnej wizyty chłopaka. Światło zaczęło zmierzchać i woda poczerniała. Wytarła się ubraniem i włożyła je na siebie. Wilgotne przylgnęło do ciała i przejęło ją chłodem, mimo że wieczór nadal był ciepły.

Bracia zjedli już i teraz, niedbale rozwaleni, siedzieli przy swoim ognisku. Johnny czyścił strzelbę i wyglądał jak postać z winiety przedstawiającej życie Barbarzyńców, a Najdroższego nie było widać, pewno spał w którymś z namiotów. Pani Green siedziała na wiadrze odwróconym dnem do góry, przytrzymując zaklinowaną między

kolanami małą Jen i wyczesując jej włosy gęstym grzebieniem. Klejnot leżał na brzuchu i Marianna ni stąd, ni z owad nabrała przeświadczenia, że on nie żyje i że to ona przyczyniła się do jego śmierci, że serce przestało mu bić w tej samej chwili, kiedy chłopak wtrysnął swoje nasienie do jej brzucha. Klejnot wyglądał jak martwa kupka łąchów, kości i włosów. Rzuciła się obok niego na ziemię w stanie najdzikszego pomieszania, nagle bowiem myśl, że on nie żyje, stała się nie do zniesienia.

— Gdzieżeś była, kochanie? — zapytała Pani Green, chwytając pchłę i miażdżąc ją między paznokciami palca wskazującego i kciuka. — Cicho, no — napomniała Jen, która piszczała, kiedy grzebień szarpał ją za włosy.

Marianna nie była w stanie odpowiedzieć, tak była pewna, że Klejnot nie żyje.

— Wysyłała sygnały Profesorom — podsunął Johnny, szybko składając się do niej ze strzelby i pokazując zęby.

— Rzuciła urok na konie — dodał Bendigo.

Groźne to były żarty. W każdej chwili mogły się zwrócić przeciw niej.

— Nie dokuczajcie jej, biedactwo, wygląda na całkiem zmarnowaną.

Ręka Klejnota, ręka gwałciela, mordercy i grabarza, przybrała formę żywą i chwyciła ją za łokieć. Mało nie rozplakała się, taką odczuła ulgę, okazało się jednak, że w tym momencie zapomniała, jak się płacze.

— Pływała, cała jest mokra. No, dlaczego jesteś taka mokra?

— Wpadłam do strumienia.

On też był czysto umyty. Zobaczyła jego twarz w zniekształcającym blasku ognia i poczuła ostry, silny, przedłużający się ból, jakby ktoś ostrzem noża rzeźbił na jej ciele rysy jego czoła, nosa i szczęki.

- Chora jesteś? Potrząsnęła głową.
- Chcesz coś zjeść? Potrząsnęła głową.
- To lepiej włóż coś suchego, bo się zaziębisz na śmierć. Podczołgała się i ułożyła przy nim.
- Jak się do niego czuli! — drwiąco wykrzyknął Bendigo.
- Zupełnie jak szmaciana lalka, jak bez kości — stwierdził ze zdziwieniem Klejnot. Podniósł jej rękę i upuścił. Pozwoliła, żeby ręka bezwładnie opadła na ziemię. Zapytał ją po cichu: — Co ci jest, kochanie, co się z tobą dzieje?
- Znalazłeś dla mnie czułe słowo — zauważyła. — Dlaczego, co złego zrobiłam?
- Usiłowała wcisnąć się pod jego kurtkę i ukryć. Pani Green trzepnęła Jen po pupie.
- Zmykaj, Jen. Zajmę się tą profesorską dziewczyną...
- Nie — powiedział Klejnot. — Ja się nią zajmę. Jest jakaś dziwna.

Powłokła się za nim, bezmyślnie ogryzając paznokcie. Zaprowadził ją do wozu, na którym zapakowane były ich rzeczy, wypłoszył grupkę dzieciaków bawiących się w chowanego między skrzyniami i zawiniątkami i znalazł dla niej koc. Rozebrał ją, owinął w koc, posadził na zatylniku wozu i usiadł przy niej, jakby czekał na wyjaśnienia. Wciąż jeszcze było na tyle widno, że widziała napiętą, gładką tkanę jego skóry pod naszyjnikiem, pochyliła się więc i zaczęła go raz po raz całować w dołek pod szyją krótkimi, ssącymi pocałunkami, jakby go chciała wypić do dna.

- Czego chcesz?
- Poszłam się przejść i spotkałam tego chłopaka.

— Co? Tego półgłówka? Czy to znaczy, że cię przeleciał?

Skinęła głową i dalej całowała dołek u nasady jego szyi. Roześmiała się, może ze szczerym rozbawieniem.

— No i co się stało? Podhecował cię i nie potrafił dokończyć? To dlatego kleisz się do mnie z takim nagle uczuciem, co?

I śmiała się dalej w sposób, który kazał jej się zastanowić, czy za chwilę jej nie zabije. Potrząsnęła głową.

— No, więc o co chodzi? Zranił cię?

Znowu potrząsnęła głową. Klejnot westchnął i zauważył obojętnie:

— Jedno ci powiem, wcale nie jesteś taka dobra, żeby cię zaraz gwałcić.

Uderzyła go w twarz, a on natychmiast wymierzył jej taki gwałtowny cios w bok głowy, że spadła na ziemię na pół ogłuszona.

— Uderz mnie jeszcze kiedy, a zrobię z ciebie krwawą papkę — zapowiedział uprzejmie, wy dobył nóż i zabrał się do przycinania paznokci.

Kiedy odzyskała oddech, powiedziała:

— Nienawidzę cię. Na drugi raz, jak mnie uderzysz, zabiję cię twoim własnym nożem.

— Nie sądzę.

Ponieważ miał rację, podniosła się, choć z trudem, na nogi, zawstydzona.

— On mówi, że jestem w ciąży.

Ciemne kształty wozów i pobliski ognisk wirowały wokoło, a niebo z nielicznymi pierwszymi gwiazdami kołysało się raz nad nią, raz pod nią. Chwyliła Klejnota za rękę i okryła ją bezsilnymi pocałunkami, kalecząc sobie wargi o jego pierścienie.

— A jednak coś w ciebie wstąpiło — stwierdził. — Zwariowałaś.

- Mam mdłości.
- Mdłości?
- On ma rację, wiem.
- I to moje?
- Oczywiście.
- Tu nic nie jest oczywiste. Wciąż się gdzieś wymykasz i kto wie, kto cię przewraca, chutliwa suko.
- Nie chcę tego dziecka. Nie chcę tu zostać.
- Nie śliń mnie po rękach.
- I mam mdłości...
- Jak przestaniesz ślinić mnie po rękach, spróbuję przez chwilę być dla ciebie miły.

Podniósł ją. Wcisnęła się po jego kurtkę najgłębiej, jak mogła, a gdyby to było możliwe, wcisnęłaby się w jego pierś, żeby tam zniknąć. Nos miała pełen drzewnego dymu, soczystego zapachu koni i gryzącego smrodu źle wyprawionych zwierzęcych skór, wszystkich zapachów, jakie składały się na niepowtarzalny zapach Klejnota, kiedy jednak spoglądała w górę na jego twarz, nie widziała nic konkretnego, tylko halucynacje. Twarz malowanego diabła. I zaraz prymitywną hieratyczną rzeźbę z brunatnego drewna i cienia. A po niej ruchomą ciemność spowitą, być może, smutkiem. Każdy jednak z tych obrazów kolejno ukazywał się nie na realnej twarzy żywego człowieka, ale wbrew czy też na przekór niewyraźnym rysom pojawiającym się właśnie, jakby za sprawą przerażających igieł do tatuażu, w jej pamięci.

- Kogo widzisz, kiedy patrzysz na mnie? — spytała, chowając twarz na jego piersi.
- Chcesz prawdy? Skinęła potakująco głową.
- Pluton egzekucyjny.
- To nie jest cała prawda. Spróbuj jeszcze raz.

— Nienasylenie — odpowiedział ze szczyptą goryczy.
— To wykręt, ale za prosty. Jeszcze raz — nalegała. — Jeszcze tylko raz.

Milczał przez parę minut.

— Mapę kraju, w którym istnieję tylko dzięki ekstrawagancji swoich metafor.

— Teraz jesteś zbyt przemądrzały. A poza tym, jakie to metafory mamy wspólne?

Wydawało się, że się uśmiechnął. Zapytał ją, czy lepiej się czuje.

— Jestem przerażona — powiedziała. — Nigdy, odkąd żyję, nie byłam taka przerażona.

— Swoją drogą nie żyjesz zbyt długo — zwrócił jej uwagę. — Wstań.

— Nie mogę.

— To się połóż.

Wyszukał kilka koców i przygotował jej posłanie w wozie, z wezłowiec na zwoju skór. Obejmował ją jednak nadal, choć myślami nieobecny, a ona znów raz po raz całowała go w szyję i wsunęła mu rękę pod koszulę. Odchrząknął i, choć nie brutalnie, wyjął jej rękę. Zatonął teraz w myślach. Przyglądała się z bliska jego naszyjnikom i wkrótce całą uwagę skupiła na nich. Medalik ze świętym Krzysztofem. Sznur przezroczystych szklanych paciorków jak niebieskie oczy. Zęby jakichś dzikich zwierząt nanizane na rzemyk. Trzy pętle połyskujących w ciemności pereł, rzecz piękna i wyglądająca na starą.

— Chcę mieć naszyjnik — powiedziała. — Twój sznur paciorków.

— No, to musisz poprzestać na chęci. Nie rozdaję swoich maskotek i talizmanów, co by się bez nich stało ze mną?

Zapragnęła tego naszyjnika z liści, złotych liści, które mogłyby rosnąć w raj. Kiedy wisiała mu na szyi, sama będąc jednym z naszyjników, jakieś szmery zapowiedziały przybywającego do wozu gościa. Padł na nich cień Donally'ego. Trzymał w ręce latarnię ze świecą w środku, przynosił też flaszkę. Świeca była lekko perfumowana waniłą, zapachem egzotycznym, a jednocześnie domowym.

— Napijmy się — zaproponował stawiając pachnącą latarnię i podając flaszkę.

— Ty pierwszy — powiedział Klejnot, stosując zwykłą ostrożność.

Nauczyciel wypił i Klejnot wziął flaszkę. Donally wdrapał się do nich, kołysząc przy tym i trzęsąc wozem. Zrobił sobie miejsce i usiadł bez zaproszenia. Wszyscy troje znajdowali się tak blisko, że słyszeli nawzajem swoje oddechy. Obóz pogrążony był już w ciszy snu. Klejnot napił się i wsunął szyjkę flaszki między wargi Marianny.

— Dobrze ci robi.

Przełknęła łyk ostrego alkoholu i owinęła się wokół Klejnota ciśniej niż dotąd. Okrył jej uda rogiem koca.

— Ojcostwo — przemówił z uczuciem Donally, wprowadzając ten temat bez żadnych ceregieli. — Jak przyjmiesz rolę ojca?

— Z zadowoleniem.

— A jak ona sprosta roli matki?

— Bez najmniejszego zapału, śmiem sądzić. Popatrz na nią, to inna kobieta, ale kto wie, jak długo to potrwa.

Ogłuszył ją prawie łomot serca Klejnota i z nadto się czuła nie-szczęśliwa, żeby słuchać tych dwóch mężczyzn, którzy ponad jej głowę zaczęli rozmawiać głosami dającymi się z trudem tylko kojarzyć z wypowiedzającymi je ustami. Od czasu do czasu całowała męża w

przegub lub szyję, a on machinalnie głaskał ją po głowie, jak gdyby teraz należała do rodziny i drzemała na jego kolanach niby Jen, kiedy była zbyt śpiąca, żeby pójść do łóżka.

— Mówi, że to moje dziecko. Wierzysz jej? Tak czy owak, myślę, że będę musiał przyjąć rolę ojca.

— Ja bym jej wierzył. Twoi bracia by się nie ośmielili, odkąd ją poślubiłeś, ze strachu przed chłostą i stryczkiem, a mój syn aż do dziś w ogóle się do niej nie zbliżał.

— I to trzynastoletni szczeniak! — powiedział z podziwem Klejnot.

— Będę go teraz musiał cały czas trzymać na łańcuchu — zadumał się Donally. — Inaczej gotów rozpylić swoje nasienie na całe plemię, jak skażoną rosę. Kiedy mi o tym powiedział, zbiłem go z całą surowością i przykułem do drzewa. W tej chwili zanadto jest obrażony, żeby wyć.

— No, to ona na dobre jest załatwiona — stwierdził Klejnot szczerząc zęby. — Na dobre ją załatwiłem.

— Nie spoczywaj na laurach.

— Co? Wciąż mam się strzec okultystycznej siły jej dotknięcia? Marianno, śpisz?

— Nie śpi. Daj się jej jeszcze napić.

— Ależ młodo wygląda! Kiedy ja miałem mniej więcej jej lata, byłem niewiniątkiem, pamiętasz?

— Niewinny jak jagnię. Bałeś się, kiedy poszedłeś z napadem? Tamtego pierwszego razu?

— Nic a nic. Kiedy umalowałem twarz i tak dalej, sam stałem się straszny i byłem już tylko tym, czym byłem, narzędziem do zabijania ludzi.

— A ona cię zobaczyła.

— Widząc mnie, przemieniła mnie w coś innego. Jak jestem z dala od niej, to ile razy o niej pomyślę, zawsze sobie wyobrażam, że nosi

długie czarne rękawiczki po łokcie i jedzie ze mną w jednym siodle, tylko czekając mojej zguby.

— Jaka też przyszłość czeka twoje dziecko?

— A twoje? Dlaczego od razu go nie zabijesz, zamiast to odwlekać?

Marianna ugryzła go w rękę. Przytknął usta do jej ucha i powiedział:

— Nie przeciągaj struny.

— Jaka przyszłość czeka twoje dziecko, jeżeli nie będziesz wypełniał obowiązków?

— O co chodzi? — zapytał ze zdumieniem Klejnot.

— Ukaralbyś Najdroższego z własnej woli, nie przymuszony?

— Nie.

— Ożeniłbyś się z nią z własnej, nie przymuszonej woli?

— Nie.

— Stworzyłbyś z własnej woli system władzy?

— Nie.

— Więc jak masz zamiar zostać Mojżeszem, jeśli nie chcesz uznać wybranego ludu?

— Nie mam zamiaru być żadnym Mojżeszem. A przyszłość to marzenie.

— Nadzieja — podsunął Donally.

— Nadzieja — powtórzył Klejnot. Dłuższą chwilę przyglądał się pierścieniom na palcach. Wreszcie powiedział: — Może powinienem ją poprosić, żeby mnie zaprowadziła do Profesorów. Oni przynajmniej udają, że żywią coś takiego jak nadzieja. Zdałbym plemię tobie, Doktorze, niechbyś sobie z nim robił, co ci się podoba, a sam bym pojechał do Profesorów z Marianną jak z białą flagą. Może czas skapitulować?

— Obudź ją i zapytaj, jak by z tobą postąpili.

Klejnot potrząsała Marianną, ale ona nie spała.

— Zastrzeliliby cię, jak by cię tylko zobaczyli — powiedziała.

— A gdybym ciebie wysłał przodem jako emisariuszkę, żebyś zapowiedziała, że przychodzę się poddać z własnej woli?

— Wsadziliby cię do klatki, żeby cię wszyscy mogli oglądać. Byłbyś wyobrażeniem inności, jak mówiące zwierzę albo kawałek meteorytu.

— Gdyby lew umiał mówić, i tak byśmy go nie rozumieli — zauważył Donally.

— A gdybym sprytnie objawił swoją najwyższą inteligencję i znakomite, mimo że nie ortodoksyjne wykształcenie?

— Barbarzyńcy to Jahusowie, a Profesorowie są Laputanami — odpowiedziała. — No, i nie jesteś wykształcony zgodnie z ich wymaganiami.

— Nie wykręcaj się i odpowiedz — nalegał Donally.

— Obchodziliby cię naokoło ostrożnie, żebyś ich nie ugryzł, obcięliby ci włosy i obfotografowali rysunek na twoich plecach, przeżytek judeochrześcijańskiej ikonografii. To by uznali za bardzo interesujące. Zabraliby ci to futro, ubrali w ciemny garnitur i poddali testom na inteligencję. Musiałbyś dopasowywać kwadraty do kół i koła do kwadratów. Poddaliby cię też testom sprawnościowym, testom na sprawność manualną. I testowi Rorschacha. I testom introwertyczno-ekstrawertycznym. I badaniom krwi. I wielu innym. I wszystko, co byś zrobił czy powiedział, byłoby obserwowane i oceniane, podczas snu i na jawie, żeby poznać, jakie przejawiasz cechy osobowe, badaliby i komentowali każde twoje słowo i gest, aż nie zostałyby z ciebie już nic poza górą przypisów do skromnych paru linijek tekstu. Zasuszyliby cię między kartami książki. Poza tym pewno by ci kazali

zamieszkać u psychologów i przez cały czas pozostałbyś kimś najzupełniej obcym.

I chociaż wszystko, co mówiła, było prawdą i na pewno by się okazało szkodliwe dla wrogich i agresywnych źródeł jego tajemniczej piękności, teraz, kiedy czuła się taka chora, zatęskniła za ciszą i spokojem.

— A ty, czy przychodziłabyś mnie odwiedzić w tym moim pokoju czy klatce, żeby mi okazać trochę miłosierdzia?

— Nie — odpowiedziała. — Nie, gdybyś nie był tym, czym jesteś na wolności.

— Podaj jej flaszkę — rzekł Donally, bardzo z niej zadowolony.

— Ale ja wcale nie miałem zamiaru składać się w ofierze jej ludowi, nie mówiłem tego poważnie — powiedział Klejnot, patrząc, jak Marianna pije. — I czym bym się stał, gdybym tyłu rzeczy się wyrzekł dla dobra swojego dziecka?

— A co i tak się z tobą stanie? Zastrzelą cię podczas któregoś najeżdzu, a twojego znamienitego trupa wrzucą do dołu razem z moimi arcydziełami. Tym większa szkoda.

— Gdziekolwiek się znajdę, skazany jestem na to, że będę tylko eksponatem — stwierdził Klejnot.

— Sam jestem intelektualistą, czegoż więcej od nich oczekujesz? Jesteśmy przyzwyczajeni badać rzeczy i mało nas wzrusza, czy obrażamy ich uczucia, bo i dlaczego? Ona mdleje.

— Nie. Wciąż mnie całuje. Miej trochę godności, dziewczyno, weź się w garść. Przyjmij swoje przeznaczenie z fasonem, to ważne. Wyobraź sobie, że jesteś Ewą końca świata.

— Lilith — poprawił pedantycznie Donally. — Nazywaj ją Lilith.

— To niedobre dziedzictwo. Poza tym zawsze myślałem, że Lilith była raczej dorosła.

— Ona jest młodą Lilith.

Marianna zwróciła się do Klejnota.

— Jesteś taki piękny, myślę, że musisz być prawdziwy.

— To błędny wniosek — odparował Donally.

— Myślę jednak, że w końcu będę zmuszona uwierzyć pozorom.

Kiedy byłam mała, bawiliśmy się w bohaterów i złoczyńców, ale teraz już nie odróżniam jednych od drugich, nie wiem, kto jest kim, więc czemu mam wierzyć, jeśli nie pozorom? Bo nikt mi nie może powiedzieć, co jest czym ani kto jest kim. Mój ojciec nie żyje.

— To będziesz się musiała sama tego dowiedzieć — powiedział Klejnot. — Czyż wszyscy nie musimy?

— Daj mi swojego syna, a zrobię z niego Tygrysa.

— Nie przeżyłby tego.

— Od tamtej pory minęło tyle lat, że udoskonaliłem technikę. Nie zrobiłbym mu krzywdy. Tatuaz tQ pierwsza ze sztuk postapokaliptycznych, jej tworzywo to ciało i krew.

Odchrząknął jak podczas wykładu, ale Klejnot mu przerwał:

— To i tak będzie dziewczynka. To będzie mała, czarna, złośliwa dziewczynka i, jeżeli tylko tego zapragnie, wydrę sobie serce z piersi, żeby miała czym się bawić. Dlaczego wtedy próbowałaś otruć ją i mnie? Czy to był jeszcze jeden przykład twojej diabolicznej sztuki? Jak wtedy, kiedy mi zabiłeś ojca?

— Był starcem, który chciał żyć wiecznie, chociaż miał raka. Nic nie chcesz zrozumieć.

- Zrób coś dla mnie — powiedział powoli Klejnot.
- Tak. Dobrze — zgodził się podejrzliwie Donally.
- Uwolnij syna i wyrzuć jego łańcuchy.
- Po co?
- Żeby mi dowieść, że nie miałeś zamiaru zabijać mi ojca i pomylileś leki.
- Jakież to nielogiczne — zauważył Donally. Wstał, wspiął się na jedną ze skrzyń i oddał mocz z wozu. Potem wrócił na swoje miejsce obok Klejnota i objął go ramieniem. — Ciebie uważam za swojego prawdziwego syna.
- Czyżbyś się stał moim ojcem, zabijając mi rodzzonego? Cóż to, zjadłeś go?
- Przejąłem za ciebie odpowiedzialność.
- Co? Raz po raz próbując i mnie zabić od dziesięciu lat?
- Nauczyłem cię wszystkiego, co sam umiałem.
- Ostrożności, na pewno nauczyłeś mnie ostrożności. I genetyki, metafizyki, paru magicznych sztuczek i paru cytatów ze starych książek w martwych językach.
- Nie za późno uczyć się ode mnie. Zapewnię ci przyszłość, tylko bądź mi posłuszny. Mogę sprawić, że staniesz się tak straszny, że zakręty dróg będą się przed tobą prostowały ze strachu. Zrobię z ciebie polityka i będziesz mógł zostać królem wszystkich Jahusów i wszystkich Profesorów. Oni równie gorąco jak inni pragną mitu, potrzebują bohatera. Tamerlan, Bicz Azji, podbił połowę świata, za nim dożył twoich lat, ale ty szybko możesz stracony czas nadrobić.
- Uwolnij go.
- Kogo?

— Swojego syna. Mojego brata, jeżeli jesteś moim ojcem.

— Boję się go — przyznał Donally po dłuższym milczeniu.

W ciemności rozległo się straszliwe wycie i Marianna podniosła głowę z piersi Klejnota, nasłuchując.

— Puść go wolno, a zrobię, co zechcesz. Nauczę się nawet odgrywać tego bohatera-zdobywcę, jeżeli go puścisz.

— I co wtedy?

— Jeżeli odmawiasz, zabieraj go raczej do Profesorów, żeby go wsadzili do klatki i zbadali mu krew.

Donally potrząsnął flaszką, w której już nic nie zachlupotało. Rzucił ją na dno wozu.

— Zawieźć go tam i zostawić?

— Nie. Zabieraj go i sam już nie wracaj. Wracaj do siebie. Mam cię dosyć.

— Nie bądź taki szybki. Zastanów się.

— Jak mogę ci w ogóle ufać, jeżeli czegoś się boisz? Zabieraj swoje czary i modlitwy gdzie indziej i zabieraj tego swojego cholernego węża, który nie ma żadnego znaczenia. Nie chcę cię już tutaj.

— Ale wciąż mnie potrzebujesz.

— Puść wolno swojego syna, to pozwolę ci zostać.

— I co zrobisz, jak sobie pójdę? Dalej będziesz grabił i łupił, czy masz zamiar osiąść na miejscu i zakładać ogrody?

— Ona jest mądra. Coś wymyśli.

— Rzucę cię — powiedziała z wściekłością. — Jak tylko dziecko się urodzi.

— Akurat — zauważył pogardliwie Klejnot. — Choćby w tej chwili, palisz się do mnie.

Wcisnął jej rękę między nogi, ale powiedziała:

— To nie znaczy, że cię nie rzucę.

— Nie znaczy — przyznał. — Ale pozwala przypuszczać, że może ci być trudniej odejść, niż było przyjść.

— Świeca gaśnie — zauważył Donally. — Pójdę spać.

— Naprawdę uważam, że od tej chwili musimy się rozejść.

— Tak sądzisz? — zapytał Donally. Wstał i przeciągnął się. Wydało się, że sięga głową nieba, a ci młodzi, 'mężczyzna i kobieta, kurczą się u jego stóp, ale wrażenie to trwało tylko chwilę. Przełożył nogi przez boczne deski wozu i zniknął, zostawiając wypaloną świecę w latarni i pustą flaszkę. Teraz już same gwiazdy i zimny, błądy półksiężyc świeciły zjawiskowym światłem.

— Wszyscy śpią — powiedział Klejnot. — Tylko mój biedny brat plecy ma całe w ogniu. Jak myślisz, czy to jego syn tak wył, czy Najdroższy?

Marianna wszystkimi palcami wczepiła się w naszyjnik ze złotych łańcuchów. Nagle Klejnot wyrwał go jej i odezwał się głosem zupełnie chłodnym i rzeczowym:

— Jestem zdecydowany na wszystko. Jestem u granic wytrzymałości.

— Nie zostawiaj mnie!

Ale on już pchnął ją na worki i odszedł, została więc sama pod tym niebem, bez żadnej opieki. Pod tym niebem mieszkańcy osiedli spali słodko za zasiekami z kolczastego drutu, uzbrojonymi wieżami strażniczymi, strzegącymi, żeby ci z zewnątrz nie wdarli się do środka, a ci z wewnątrz się nie wydostali, z wyjątkiem tej jednej istoty rodzaju żeńskiego, która oto czuwała, w pełni rozbudzona, kiedy wśród otwartego wrzosowiska na gołej ziemi spali wędrowcy, w podziemnych jamach spali Wygnańcy, w cuchnących norach dzikie zwierzęta, a ptaki na uśpionych drzewach. Bryła świata wirująca w przestrzeni

pograżona była w ufnym śnie, który wszystko czynił bezbronnym we wspólnej bezbronności zacierającej wszelkie różnice pod całym niebem bezlitośnie przygniatającym te kruche, zmienne organizmy jak ciężkie przykrycie miażdżące wszystko swoim ciężarem. Świat, o którym wpojono jej pojęcie, że jest kulisty, stał się płaski jak jej dłoń, skurczył się i przemienił w te oto spękane deski, na których leżała, w kilka warstw szorstkiej wełny i futer, w jej mały osobisty świat, zawierający wszystko, co mogła poznać. Opanowała się. Niebo wróciło na swoje miejsce, wrócił też Klejnot. Była zaskoczona, myślała, że odszedł na dobre.

— Przyniosłem ci prezent, naszyjnik, jak chciałaś.

Trzymał kilka zwojów zimnego metalu. Był to łańcuch chłopaka. Klejnot opadł na dno wozu i gorączkowo próbował związać ją łańcuchem, bez trudu jednak wyswobodziła ramiona.

— Klejnocie Lee Bradley, ty parszywy złodzieju, znowu jesteś pijany.

Zadał Mariannie jej własne pytanie, które ona zadała mu wcześniej tego wieczora, wypowiadając je jednak z dużo większym uczuciem:

— Co widzisz, kiedy mnie widzisz?

— Kiedy zamknę oczy, widzę twoją twarz, choć bardzo bym jej nie chciała oglądać.

— Tak też myślałem — powiedział i łańcuch wysunął mu się z rąk.

Potem usnęli, gdyż oboje byli wyczerpani. Rano odesłał ją do Pani Green, która przerwała mieszanie owsianki, zabrała ją do rozwalonej stodoły, gdzie znalazły względne odosobnienie, rozebrała i zbadła.

— Liczę, że jesteś już gdzieś w trzecim miesiącu — orzekła.

Naokoło krzewiło się bujnie zielone i soczyste zielsko, rzucając na piersi Marianny delikatne zielone cienie.

— Nie miałaś okresów i tak dalej? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Nie zauważyłam.

Pani Green uściskała ją, ucałowała i pozwoliła jej się ubrać. Okruchy lusterka na bluzce Marianny lśniły odnowionym blaskiem poranka jak liczne oczka otarte ze snu.

— Teraz musisz dbać o siebie. Nie możesz wlec się po tym kurzu i błocie, tak się nie godzi.

— Pójdę, dokądkolwiek on pójdzie — oświadczyła z opanowaniem Marianna.

— Kochanie, więc doszło aż do tego? — zapytała Pani Green ze smutną satysfakcją i ucałowała ją znowu. Marianna zdała sobie sprawę, że Pani Green zupełnie opacznie ją zrozumiała, myśli, że ona zapragnęła na zawsze pozostać cieniem Klejnota. Już miała wyprowadzić ją z błędu, kiedy w drzwiach dojrzała błysk szkarłatu.

Był to chłopak, rozpętany, wystrojony w ślubny płaszcz Klejnota Lee Bradleya ze zbutwiałego szkarłatnego jedwabiu, sztywnymi fałdami sięgający mu bosych stóp. Ogryzał z kości kotlet. Przemaszerował przed drzwiami, kopiąc za każdym razem skraj płaszcza, a za nim przebiegł chudy, liniejący brunatny pies, który ciekawie obwąchiwał rąbek jego szaty. Chłopak wyglądał na uszczęśliwionego, promieniał jak słońce, które tego ranka świeciło mżącym światłem chylącego się ku końcowi roku.

7

W czasie kiedy Pani Green badała Mariannę, Klejnot zeszedł nad strumień i wrzucił łańcuch chłopca do wody. Kiedy wrócił do obozu,

dopał go Doktor i usiłował zastrzelić z pistoletu o wysadzanej perlami rękojeści, ale chybił. Klejnot powalił go na ziemię. Marianna i Pani Green po powrocie ze stodoły zastały go rozciągniętego na trawie pod jabłonią, przy której odbyła się chłosta Najdroższego. Klejnot stał obok, próbując kciukiem ostrze noża, a całe plemię zebrało się jak jeden mąż i stanęło szerokim, oniemiałym ze zdumienia i wyczekującym kręgiem wokół powalonego szamana.

— Jeszcze go nie zabiłem — wyjaśnił Klejnot Mariannie. — Chciałem zasięgnąć twojej rady.

— Owsianka się przypala — zauważyła Pani Green i wycofała się do swojego ogniska.

— Macocha cię opuściła — powiedział Doktor Donally.

Ciemne okulary leżały koło niego rozbite w drobny mak, więc mrużył trochę oczy w bezlitosnym świetle poranka.

— Publiczne wypatroszenie — zaproponował Mariannie Klejnot, ona jednak wytrąciła mu nóż z ręki.

— Spójrz na wszystkich. Patrzą. Strzeż się, oni go poważają.

— Posłuchaj jej — powiedział z aprobatą Donally. — Nie jest głupia.

— A ty milcz.

Przypomniało to parodię sądu, z tą tylko różnicą, że publiczność nie miała najmniejszego pojęcia, co się dzieje i kogo należy się bać.

— Puść go — poradziła Marianna. — Wsadź go na osła i niech jedzie. Lepiej go nie mordować.

— Czy to rozsądnie puszczać go wolno?

— Może pożrą go dzikie zwierzęta i zrobią to za nas w sposób naturalny.

— Zostaniesz beze mnie zupełnie sam — uprzytomnił Donally Klejnotowi. — Zupełnie sam już na wieki wieków.

Klejnot kopnął go. Pojawił się chłopak, zarumieniony jak róża, z całym naręczem rzeczy: brodą starego i pierzastymi nasiennymi puszkami purpurowej tojeści. Jednym spojrzeniem ogarnął sytuację i skręcając się ze śmiechu wysypał na ojca miękkie szare owoce.

— Widzę, że dla szyderstwa okryłeś jego nagość swoim ślubnym płaszczem, Klejnocie — powiedział z uznaniem Donally.

— Nie życzę sobie, żebyś używał tego imienia, którym nazwano mnie z miłości. — Schował nóż zdecydowanym ruchem. — Ale możesz odejść, żebyś nie potrzebował nazywać mnie żadnym imieniem.

Chłopak tanecznym krokiem cofnął się, kiedy Donally się podnosił strącając z siebie chmurę purpurowych płatków.

— Patrzcie, jak on traktuje najstarszego przyjaciela! — wykrzyknął teatralnie do zgromadzonych dzikusów.

— Oni będą myśleli to, co ja im każę. To moje prawo.

— Kiedy już odejdę, niewątpliwie zaczniesz się stosować do moich rad. Ale będziesz bezsilny jak Eskimos, który próbuje prowadzić pociąg.

— Cały jesteś ubłocony, ale nie pozwolę ci się oczyścić. Ruszaj, jak stoisz.

— Czy wolno mi zabrać książki?

— Spalę je.

— Leki?

— Zatruję nimi najbliższy strumień i wyzdychają wszystkie ryby.

— Syna?

— Jeżeli chce odejść, niech idzie. Jeżeli nie, może zostać.

— Jesteś wielkoduszny — powiedział nieuprzejmie Donally.

Johnny sprowadził osła, już osiodłanego, i Doktor dosiadł go z całym swoim dawnym fasonem. Skłonił się i wygłosił pożegnalną mowę tak donośnym i mentorskim tonem, żeby cały obóz go słyszał.

— Urodzi w poniżeniu i powije potwora, a na koniec cię zdradzi w okolicznościach tak straszliwych, o jakich ucho ludzkie nie słyszało.

Powinien był w tej chwili uderzyć grom, lecz nie uderzył.

— Zabieraj się — powtórzył Klejnot. Był brudny i nie uczesany. Nie zadbał o to, żeby jak zwykle zapleść włosy, które opadały mu na ramiona w strąkach, był bosy i w lachmanach, choć jak zawsze lśnił od szkiełek, złota i drogich kamieni, książęciem ciemności, ale nie dżentelmenem, i otoczony milczeniem. Osioł Donally'ego pochylił łeb i skubał trawę. Donally porzucił pozę proroka i dla odmiany poprosił jak dziecko, cichym szeptem:

— Daj mi ostatni raz spojrzeć na moje arcydzieło.

— Odmawiam — rzekł Klejnot.

Marianna bała się, aby ktoś nie wystąpił w obronie czarownika, aby któryś z mężczyzn nie podniósł strzelby i nie zastrzelił Klejnota albo któraś z kobiet nie rzuciła w niego kamieniem, nikt jednak nie drgnął. Donally wydobył z wewnętrznej kieszeni flet i zagrał słodką i przenikliwą melodię, jak gdyby była to jego ostatnia karta, i to nie do przebiccia. Klejnot wyrwał mu flet i złamał go o kolano. Donally potulnie uniósł ręce do góry i westchnął.

— Pozbądź się mnie — powiedział. — Wyrzuć mnie. Wyrzuć sztukę, wyrzuć kulturę, wyrzuć dowcip i humor.

Johnny nie spuszczał oka z Klejnota, starał się może nauczyć jakiejś sekretnej formuły wygnania. „Nigdy nie będę ufała Johnny 'emu” — pomyślała Marianna. W powietrzu unosił się swąd przypalonej

owsianki. Pani Green nerwowo przyglądając się całej scenie znad ognia zapomniała o mieszanii.

— Uważaj, żeby nikt mi nie strzelił w plecy — polecił Klejnot Johnny'emu. Po chwili Johnny trzymał już strzelbę i osłaniał go przed tłumem. Klejnot trzepnął osła w zad i ujął go za uzdę. Marianna poszła za nimi, ale syn Donally'ego przestał się w ogóle interesować tym, co się dzieje, i odszedł nawet się nie oglądać. Osioł ostrożnie stąpał wśród pieniających się wrzosów, strzepując łyżkowatymi uszami.

— Spalę twojego węża, żywy czy martwy, twoją maskę i szatę z piór — mówił Klejnot. — Będzie tak, jakbyś nigdy nie istniał.

— Tego nie bądź taki pewny — powiedział Doktor. — Wycisnąłem swój ślad. I naprawdę osiedlisz się na jednym miejscu i założysz ogrody? Zostaniesz głupim niewolnikiem natury, będziesz hodował trucizny, nigdy nie będziesz wolny.

— Przyszłość jest mi najzupełniej obojętna. Może Marianna od czasu do czasu ruszy głową.

Dotarli do zielonej drogi i zatrzymali się, spoglądając na siebie w ostatniej nagłej niepewności, kto z nich trojga jest czyim sprzymierzeńcem, tego młodego mężczyznę bowiem łączyły z nauczycielem lata dziwnego przywiązania, dziewczynę z mężem wiązało oglupiające poczucie nieodwołalnego fatum, a z czarownikiem więź wspólnego języka. Poza tym dziewczynę i tego młodzieńca łączyło cierpienie po utracie ojca.

— Chodźcie ze mną oboje — zaproponował Donally. — Wezmę was pod swoją opiekę. Pójdę do Profesorów i powiem im, że jesteście moim synem i moją synową, których wydarłem dziewiczej niewinności

puszczy. Potraktują nas wtedy z taką samą boską czcią, z domieszką podejrzliwości, jaką uczeni osiemnastowiecznej Francji zachowali dla Huronów i Irokezów.

Klejnot ukrył twarz w dłoniach wobec tej nowej, nieoczekiwanej możliwości, która odebrała mu mowę. Wreszcie powiedział:

— Nic na to nie poradzę, jestem nieprzekupny.

— Marianno, chodź ze mną sama. Uznaj swoje badania obyczajów dzikich plemion za skończone.

„Ach, więc poświęcałam się badaniom!”, pomyślała. Klejnot obserwowal ją spomiędzy palców. Pod ich krzyżującymi się spojrzemianami zawahała się.

— Jeszcze nie — odwręcała decyzję. — Jeszcze ich nie ukończyłam.

Na twarzy Donally'ego odmalowała się taka wściekła furia, że stał się pstrokaty jak jego maska.

— Dobrze więc — powiedział. — Samiście sobie pościelili i tak też się wyśpicie.

Z tymi słowami ruszył. Był taki olbrzymi, że przytłaczał wierzchowca i dopiero bardzo, bardzo powoli odległość sprowadziła go do jakichś uchwytnych rozmiarów. Marianna usiadła na skraju drogi, a Klejnot stał nieporuszony, dopóki Donally nie zniknął za zakrętem. Właśnie wtedy śmignął obok Marianny jego syn, zjeżdżając ze stromego nasypu w potoku kamieni. Dyszał, musiał biec szybko.

— Którędy?

Klejnot pokazał mu. Chłopak wystrzelił jak szkarłatny pocisk czy też czerwona kula pchnięta energicznie po zielonym suknie w stronę, w którą odjechał jego ojciec, aż na koniec i on zniknął. Po chwili Klejnot zaczął się śmiać, potrząsając głową ze zdumieniem.

— Krew nie woda — podsunęła Marianna w formie wyjaśnienia.
— Czy możemy sami wyżyć w lesie?

Zanim się odezwała, nie miała pojęcia, że o to zapyta. Kiedy pojęła, że ona i jej Klejnot są w jakiś sposób ze sobą związani, poczuła ból, mogło się bowiem okazać, że w rzeczywistości jej autonomia nie istnieje, że to tylko przeświadczenie, którego namiętnie się trzymała. Czyż jednak takie przeświadczenie nie mogło jej służyć równie dobrze jak stwierdzona pewność? Kiedy zrozumiała, że zaczyna myśleć obiegowymi sloganami, jakie Donally mógłby wypisywać na ścianie, spieszyło ją to i spuściła wzrok na dywan chwastów na drodze.

— Jak byśmy żyli?

— W ruinach. Albo gdzieś w jaskini.

— I urodziłabyś to dziecko bez niczyjej pomocy? Odciełabyś pępowinę, zmyła cały ten brud i wszystko, jak ja bym zginął? Co byś zrobiła, gdybym został ranny, wiedziałabyś, co robić? I gdybyś nie miała nikogo, kto by ci dostarczał pożywienia, a Wygnańcy strzelaliby do ciebie swoimi strzałami? A moi bracia szukaliby mnie ze strzelbami i pętłami, gdybym ich zdradził.

Nie mogła na poczekaniu wymyślić odpowiedzi i wzruszyła ramionami.

— Teraz wracajmy.

— I co zrobimy?

— Zjemy.

— A potem?

— Ruszamy dalej.

— Dokąd?

— Do morza.

— A potem?

— Za dużo gadasz — uciął.

Błękitny medalik lśnił jak krążek nieba na jego szyi.

— Święty Krzysztof był patronem podróżnych, kiedy jeszcze noszono takie rzeczy — powiedziała mu z fałszywie brzmiącą zachętą w głośnie,

— Na drodze więcej jest duchów niż gdziekolwiek indziej, takich jak duchy maszyn, które się same poruszają. Ale, ale, co zrobiłaś ze swoją ślubną obrączką?

— Nie wiem. Spadła mi.

— Jak wobec tego chcesz, żebym, ci zaufał?

Trudno jej go było zrozumieć, ponieważ odtwarzał świat wyłącznie w kategoriach obrazowych. Kiedy wrócili do obozu, spełnił to, co przyobiecwał Donally'emu. Spalił jego książki, powylewał leki, popalił zioła i zniszczył resztę rzeczy pozostałych po Doktorze. Wąż rzeczywiście okazał się martwy i wypchany. Wyjął go z klatki i rozciął przed spaleniem, tak że trociny wysypały się na oczach wszystkich. Książki otwierały się i czerniały w płomieniach jak schwyte wrony, a płaszcz z piór rozwinął skrzydła i uleciał z ogniem. Po Donallym pozostał tylko kurz i popiół. Posępne oszołomienie członków plemienia dodawało ich milczeniu czegoś nowego i przerażającego.

— Niedługo na twój widok zaczną kreślić znak chroniący przed złym spojrzeniem — ostrzegała go Marianna.

— Wtedy zaczną sprawować władzę.

— Zwariował — orzekła Pani Green, jak gdyby żywiła nadzieję, że powód jest aż tak prosty. — Nie wie sam, co robi.

— Oni myślą, że rzuciłam na ciebie czary — powiedziała Marianna. — Narażasz nas oboje.

Napełnił worek naczyniami i narzędziami Donally'ego, zaniósł go nad strumień i tam cała jego zawartość poszła na dno w ślad za łańcuchem. Ognisko zarzyło się jeszcze, kiedy plemię ruszyło w dalszą

drogę, około południa, gdy Klejnot zakończył porządki. Tego dnia, dokądkolwiek się ruszył, szedł w eskorcie dwu braci, którzy wyglądali jak straż przyboczna. Najdroższy, zbyt chory, żeby jechać wierzchem, wyciągnięty jak długi i cały w bandażach leżał obok Pani Green na jej wozie, pojękując na każdym wyboju i od czasu do czasu tracąc przytomność, ale Pani Green była szczęśliwa, bo znowu miała przy sobie dziecko. Marianna szła obok raz po raz odrzucając namowy, żeby porzuciła to błoto i wsiadła na wóz. Wiatr stał się zimny i orzeźwiający, i bardzo świeży. Niósł ze sobą białe fale mew, które wydawały w górze tajemnicze krzyki.

— Jakie jest morze, proszę pani?

— To cała masa samej wody, dwa razy na dzień podnosi się, a potem odpływa. Poza tym jest taka jak wszędzie. Ale to za daleko, dziś nie dojdziemy do wsi rybaków, za późno wyruszyliśmy przez te jego kaprysy. Będziemy musieli rozbić obóz gdzieś po drodze.

Doszli do sztucznego wąwozu z porowatego kamienia, po obu stronach zabudowanego niskimi, szarymi, kamiennymi domami, z których zachowało się kilka na tyle solidnych, żeby udzielić im schronienia. W miejscach, gdzie kiedyś biegły szyny, rosły teraz krzewy i drzewa. Znajdowało się tam pomieszczenie pełne zardzewiałych dźwigni z przytwierdzonym do ściany zegarem. Szkło osłaniające kiedyś jego tarczę wisiało osobno, tarcza pokryta była pajęczyną. Drzwi od tego pomieszczenia leżały na popękanych płytach chodnika przed wejściem, ale dach pozostał cały. Nadeszła noc. Marianna wahała się między potrzebą a pożądanym, przed którym została ostrzeżona. Gdyby szło tylko o to, że go pragnęła, wszystko byłoby proste i łatwe, mogłaby znaleźć jakieś wyjście nie przestając nim pogardzać.

Jeżeli jednak był jej niezbędny, stwarzało to całkowicie inną sytuację, a ta powoływała do życia cały układ żalonych ewentualności, z których każda wskazywała na to, że chcąc nie chcąc Marianna musi się zmienić. Pod wpływem tej doprowadzającej do szału niepewności porała mu paznokciami plecy w tak wariackiej furii, że w kilku miejscach głęboko rozdarła skórę, zupełnie jakby chciała zedrzeć mu tatuaż z pleców. Zanurzyła palce w te głębokie, wypełnione krwią rysy i owinęła się wokół niego, żeby spróbować krwi. Smakowała zupełnie tak samo jak każda inna, nie było w niej nic szczególnego.

— A czego się spodziewałaś? — zapytał.

Leżał równie cichy jak ten zegar, który nie tykał od wielu więcej lat, niż ich przeżył Klejnot czy przed nim jego ojciec, wiedziała jednak, że nie śpi. Zastanawiała się, że może on czeka, czy ktoś się pośród nocy nie zakradnie i nie rzuci na niego z nożem, ale nic się nie poruszyło, tylko suche gałęzie zaszeleściły tam, którędy kiedyś przejeżdżały pociągi. Leżała po swojej stronie siennika i też nie spała. Przyłożyła dłonie do brzucha i próbowała wymacać w środku kształt dziecka, które w sztucznej nocy jej łona zawiązywało ciało i krew z jej własnych, a ona nic nie mogła na to poradzić. Po dłuższym czasie Klejnot wstał i ubrał się. Poczekała, aż dojdzie do drzwi, zanim zapytała:

— Dokąd idziesz?

— Do morza.

— Jak to daleko?

— Za wzgórzem. Już tu kiedyś byłem.

Zrobiło się teraz bardzo zimno, owinęła się więc w futro, żeby iść z nim, ale oboje wybrali się bosy. Przekradli się między namiotami i

wygasłymi ogniskami, w których leżały poczerńiałe szczapy, przechodząc nad wyciągniętymi ciałami śpiących psów. Na straży za obozem miał stać Błękitny, ale spał pod kocem i obejmował jakąś dziewczynę.

— Złapany na kradzieży swojego miodu — powiedział Klejnot i już chciał go obudzić, ale Marianna położyła mu dłoń na ramieniu i powstrzymała go. Ten młody mężczyzna i dziewczyna, uśpieni, wydali się jej tacy spokojni i piękni, że nikt na świecie widząc ich nie chciałby im zrobić krzywdy. Choć może w gruncie rzeczy myślała co innego, może w głębi serca pragnęła, żeby się pojawiły hordy Wygnańców albo Żołnierze, albo dzikie zwierzęta i zawładnęli tym uśpionym obozem, a to nagle ustępstwo na rzecz sentymentalizmu posłużyło jej tylko jako zasłona, żeby ukryć przed sobą prawdziwe pragnienia. Zastanawiała się, czy nie jest to pragnienie narzucone przez Klejnota. Albo może także jego pragnienie. Klejnot bowiem wzruszył ramionami i zostawili tę nieślubną parę tak, jak ją zastali.

Klejnot wyprzedził Mariannę przeskakując kępki wyrastającej z piasku trawy. Ledwie go widziała, niewyraźnie jak cień, kiedy wspinał się na zbocze pagórka, a potem zobaczyła jego sylwetkę na tle nieba. Poszła za nim. Okazało się, że trawa się kończy i zaczynają gołe wydmy piasku. Nigdy dotąd nie widziała i nie dotykała piasku, nabrała go więc pełne dłonie, żeby powąchać. Pachniał sucho i nie-naturalnie. Stopy osuwały się, a piasek skrzypiał i szeleścił. Wydmy wydzielaly jakieś blade własne promieniowanie, ich obłe, miękkie kształty i wystrzelająca z nich tu i ówdzie rzadka szorstka trawa bardzo przypominały żywe stworzenia, które w każdej chwili mogły się otrząsnąć i okazać jakimś olbrzymim, nieznanym i bujnym żywiołem. Cienka skorupka piasku pękała pod bosymi stopami Marianny.

Drobniutkie osty, tak cienkie, że niewidoczne w ciemności, kłuły ją w podeszwy. Klejnot znów się pojawił na szczycie wydmy. Zakaszła. Kiedy znalazła się przy nim, zobaczyła morze.

U jej stóp rozpościerały się sfałdowane płaszczyzny lśniącego piasku, była bowiem pora odpływu i fala, cofając się, pozostawiła za sobą linię wysokiej wody. Tuż pod nimi leżały głębokie po kostki zwały morskich muszli, placki szerokich brudnych muszli wielkich jak dłoń, wyrzucone na brzeg kawałki drewna i wszelkiego rodzaju morskie odpadki. Klejnot ruszył naprzód, ze szczytu wydmy w dół, pobiegł przez plażę i dalej, ku odległym zmarszczkom morza, w których drgał wąski nów księżyca. Zatrzymał się w miejscu, w którym z tajemnym szeptem łamały się drobne fale. Marianna podążyła za nim.

Otoczały ich wszystkie cuda morskiego wybrzeża, których Marianna nie umiała nazwać, mimo że kiedyś zostały co do jednego skrupulatnie skatalogowane. Wachlarze, paprocie, wstęgi, wieńce, girlandy i bicze wodorostów zostały już w swoim czasie podzielone na rodziny, morskich trzpień, wodorosty jadalne i inne. Gąbki podobne do sakiewek, szlamowate, podobne do chleba, czerwone jak krew. Morska strzykwa rurkowata, pospolita strzykwa morska, strzykwa podobna do agrestu, strzykwa gwiazda morska (zwana inaczej rozgwiazdą). Dżdżownice morskie rozmaitych kształtów. Miękkie koraliki i morskie anemony znane jako palce topielca, węzowe sploty, narośl, czyli anemon kamienny, przekrętwa, anemon-stokrotka, koral kielichowaty, morska sosna, morskie dęby. Szkieletowała rodzina długonogich ekinodermów, do których liczą się kruche rozgwiazdy, rozgwiazdy pierzaste, ogórki morskie o gębach obrośniętych włochatą frędzlą i lilie morskie wyposażone w dziesięć pierzastych ramion

powiewających w wodzie. Meduzy. I niezliczone inne stwory.

Tracąc swoje nazwania stworzenia te przeszły proces dekrecacji i powróciły w chaos, istniały tylko dla siebie, w świecie nie uporządkowanym, formalnie nie uznane stały się rozszerzającym się nieustannie marginesem niezróżnicowanej i bezimiennej materii na obrzeżu wysuniętych placówek człowieka, który się już z nimi nie zapoznawał i nie uznawał ich za autentyczne w swoim doświadczeniu przez akt nadawania im imion. Klejnot i Marianna wędrowali wzdłuż plaży tej otwartej i nieuczęszczanej zatoki nie tak, jak gdyby ją odkrywali czy badali, ale jak spóźnieni goście, których nikt nie wprowadza i którzy nie są pewni miłego przyjęcia, mimo to jednak postanowili stawić czoło sytuacji.

Doszli do cypla lądu sterczącego na końcu półksiężycowato wygiętej łachy piasku. Marianna stawiała stopy w delikatnie odcisnięte jego ślady, już wypełniające się wodą. Gdyby porzucili plemię, staliby się Wygnańcami i, w najgorszym razie, zanurzyliby się w nienazwane. W najlepszym razie mogliby dać początek nowemu podgatunkowi człowieka, żyjącego w największym odosobnieniu w ukrytych jaskiniach, któremu towarzyszyłoby tylko niebezpieczeństwo śmierci i który przyswajałby sobie z mlekiem matki odpowiednią obojętność na wszystko, co istnieje na zewnątrz. Ta nieustraszona i rozumna rasa unikałaby takich tajemnic jak ta, która kazała jej w tej chwili iść za tą postacią na brzegu, czarną jak negatyw fotografii, i nie pozwalała wracać samej. Może nie byłaby zdolna nauczyć jego dzieci absolutnej obojętności, skoro sama tak bardzo nie umiała być obojętna, i wtedy cały jej plan upadał. Zaczęła mówić z goryczą:

— Czegoś tak osobliwego jak ty nie oglądałam w życiu. Nawet na obrazkach nie widziałam niczego, co by było do ciebie podobne, nie znalazłam też twojego opisu w książkach, z tymi twoimi klejnotami, malowidłami, futrami, nożami i strzelbami, zupełnie jak jakaś falliczna czy diaboliczna wersja pięknych kobiet z minionych okresów. Najdogodniejsze dla ciebie miejsce to wielki słów z formaliną, mogłabym cię w nim trzymać na kominku w swoim zacisznym pokoju i przyglądać ci się, i wyobrażać sobie ciebie. To najlepsze dla ciebie miejsce, ty chodzące arcydzieło sztuki, bo ten poczciwy Doktor wykształcił cię o tyle powyżej twojego stanu, że już przez to mógłbyś być najodpowiedniejszym eksponatem, żeby budzić podziw intelektualistów. Ty, ty... jesteś tylko zwariowanym wymysłem moich dziewiczych nocy.

Rzucił jej krótki, dziwny uśmiech, ale nie wyrzekł ani słowa w odpowiedzi. Dokuczała mu, wysilając całą swoją pomysłowość, zanim nie doszli do przyłądka. Kiedy ujrzała, co znajduje się za nim, umilkła.

Zobaczyła strawione przez czas i prawie całkowicie zanurzone w morzu miasto. Jego wieże, kopuły i dachy tak zlewały się z własnymi cieniami i odbiciami, że całe zdawało się unosić w powietrzu, wśród nocnych chmur i blednących gwiazd. Dawno temu morze oderwało masywne bloki esplanady, choć musiały one ważyć całe tony i dobrze być utwierdzone. Potem wdarło się przez opuszczone arterie, skubiąc, odgryzając, pochłaniając i trawiąc kamień, cegłę, sztukaterię, metal i cement. Teraz obojętne ryby pływały po sypialniach, w których zalane wodą lustra nie odbijały już niczyich twarzy, tylko zawily taniec szczątków i zniszczenia. Ryby wpływały do zalanych oceanem pieców, wypływały z nich i nadal były żywe. Ryby, zanurzone w swoim

żywiolen, z rozdziawionymi pyskami przepływały przez salę balową, przez magazyn i hotel tego miasta będącego kiedyś kurortem. Ponieważ wiatr ucichł podczas nocy, fale szumiały nie głośniejsz niż oddechy Klejnota i Marianny.

Najwyższ wśród minaretów, wież i metalowych kopuł wystających z wody tkwił olbrzymi zegar, którego wskazówki wciąż stały na godzinie dziesiątej, choć oczywiście nie wiadomo już było, czy wskazywał godzinę dziesiątą rano czy wieczorem. Zegar ten trzymała w rękach i opierała na wypukłym brzuchu olbrzymia figura z jakiegoś gatunku gipsu, która sprawiała wrażenie, że wyskakuje na palcach z laguny jak genius loci, gdyż podtrzymujący ją cokol był całkowicie pogrążony w wodzie. Figura przedstawiała olśniewającej urody kobietę, skąpo przyodzianą w jednoczęściowy kostium kąpielowy, który u góry ledwie mieścił stromą wypukłość wielkich jak góry piersi. W ich cienistym wgłębieniu zagnieździły się mewy, toteż cała postać zachlapana była białymi ptasimi odchodami. W świetle dnia strój tej kobiety zachowywał jeszcze smugi pogodnego błękitu, na jaki został 'pomalowany, tak jak i jej ciało tu i ówdzie prześwitywało żywą różowością, noc jednak przyćmiła te barwy. Głowa, ozdobiona bujnymi, długimi do ramion kędziorami, odrzucona była do tyłu w miłosnej ekstazie i, mimo że częściowo rozkruszone przez słone wiatry, na twarzy widoczne były gigantyczne wargi wygięte w szerokim uśmiechu, radośnie ukazującym komplet wspaniałych gipsowych zębów. Oczy kiedyś świeciły, gdyż w oczodołach tkwiły niebieskie elektryczne żarówki, różnokolorowe żarówki otaczały też zegar, były to jednak dzisiaj relikty, których nikt nie pamiętał. W pobliżu tej figury

nad gładkim i spokojnym morzem sterczała najwyższa część koła gigantycznych rozmiarów.

Teren za zatopionym miastem wznosił się, a nad nim wyrastała skała tak wysoka, że wiele będzie musiało przeminąć stuleci, zanim morze ją zdoła pochłonąć, choć z biegiem czasu miało to nastąpić pod uderzeniami fal. Siwe grzywacze, które teraz wyglądały tak spokojnie, rozszaleją się podczas sztormów towarzyszących zrównaniu dnia z nocą. Będą atakować skały nie tylko własnym impetem, ale także niesionymi przez siebie taranami, głazami, kamykami i wszystko ścierającym piaskiem. Będą pchały przed sobą wiatr i ciskały nim o skałę. Nawet powietrze było jej wrogiem, uwalniane bowiem przez morze wybuchało, rozkruszając po trochu skałę. Fale podmyją ją, aż się zawali.

Dzień ten jednak należał do dalekiej przyszłości i biała wieża na skale lśniła jak świetlisty palec wskazujący w niebo. Była to latarnia morska. Jej światło zgasło, tak jak oczy posągowej kobiety, ale latarnia została i, mimo że nieczynna, trwała nie poruszona, choć nie było już marynarzy ciskanych burzą, aby dziękować za jej pomocne promienie. Mariannie wydała się bliźniaczką białej wieży, w której się urodziła, i wywołała w niej głębokie wzruszenie, bo mimo że żadna z wież nie rzucała już pożytecznego światła, obie nadal służyły jako ostrzeżenie i informacja o otaczającym niebezpieczeństwie. W ten właśnie sposób ta wieża dostrzeżona w ciemności dostarczyła jej symbolu i rzuciła światło na jej postanowienie. Strzeż się katastrofy — mówiła latarnia morska, zachowaj lęk przed bezsenssem. Korzystaj z rozumu — mówiła latarnia. Pokochała integralność tej latarni. Nie przyszło jej do głowy, że dla jej towarzysza przedstawia ona raczej

kulturę kariatydy z zepsutym zegarem, nie zrozumiałaby też, jak to jest możliwe, ponieważ psychika wyrzutka była dla niej zamkniętą księgą, a poza tym nikt go nigdy nie nauczył sztuki pisania.

Zrobiło się bardzo ciemno, gwiazdy jedna po drugiej gasły. Za Klejnotem i Marianną przypyływ zaczynał z powrotem wpełzać na odsłonięty pas piasku. Powodowana ciekawością chciała zapytać Klejnota, czy przypyływ zalewa całkowicie nosicielkę zegara, stwierdziła jednak, że nie może się wdrzeć w pentagram jego nieprzerwanego^ ponurego milczenia. Zawrócił w stronę, z której przyszli, i poprowadził ją na wydmy, aż przyładek zasłonił miasto w morzu czy też morze w mieście, stracili też z oczu zbliżający się skraj wody. Klejnot ukląkł i zaczął wygrzebywać dół w piasku.

— Co ty robisz, na Boga?

— Wykopię dół, wleżę do niego i pójdę spać.

Ułożył się, na pół przykryty piaskiem, jak czarny lis zagrzebany w ziemi, a ona usiadła obok. Przyglądała się, jak zamknięte powieki drgają mu od przesuwających się pod nimi snów, aż przeszył ją dreszcz czułości i troski o niego. Jednym skokiem zerwała się na nogi i uciekła, rozgoryczona, aż oddzieliły ją od niego dwa lub trzy grzbieity wydm. Osiedla podmiejskie sięgały kiedyś małymi domkami aż za wydmy. Znalazła się na tyle wysoko, że widać stąd było rozkruszony beton pokryty zaroślami, gęstwiną straszną, ale naturalną, jakby oryginalny plan przewidywał ruinę, a mężczyźni i kobiety mieszkali tu tylko w jakimś nieuniknionym, lecz przejściowym stadium wypełniania się tego wielkiego zamierzenia. Nie sposób było powiedzieć, gdzie zaczynały się domy, a kończyły zarośla. Kiedy w jednym z domów coś drgnęło, pomyślała, że oczy ją zwodzą, a na widok lwa

wyskakującego z otworu okiennego jakiegoś letniego bungalowu, pomysłowała, że śpi i to jest sen.

Nigdy dotąd nie widziała lwa. Wyglądał zupełnie tak samo jak na obrazku. Mimo że ciemność zatarła jego barwy, dojrzała grzywę i drgający, zakończony kępką włosów ogon, kiedy zwierzę wydostało się poza skraj cienia i wyszło na wydmnę. Zatrzymał się węsząc, szczerkał cicho i podjął swoją wędrówkę przez piasek. Natychmiast wróciła tam, gdzie zostawiła Klejnota, choć była już od niego dosyć daleko i myślała, że bawi się w chowanego ze lwem może po to, żeby umrzeć u boku męża, wydała się jej w najwyższym stopniu niedorzeczna, nawet kiedy poczuła, że serce się w niej kurczy na myśl o tym, jak ta straszna, niewinna łapa zdziera z jej męża skórę i pozbawia go życia.

Lew znalazł się przy Klejnocie przed nią. Wyjrzała spoza wydmy i zobaczyła, jak jego tępy, szlachetny profil pochyla się nad mężczyzną omiatając jego niewidoczny kształt grzywą zwisającą z wielkiego, sklepionego łba. Ziemia przestała się obracać i morze stanęło w miejscu. Wybrzeże należało teraz do lwa, a ona i ten mężczyzna byli intruzami, którzy mają szansę przeżyć tylko wtedy, jeżeli będą udawać nieruchomość samego piasku, jeżeli zastygną w milczeniu i spróbują oszukać to krwiożercze zwierzę, przekonać je, że nie istnieją. Pradkowie tego lwa przybyli zza morza w klatkach, dla zabawy i nauki dzieci z czasów oswojonych. Przyjrzała mu się i odebrała naukę. Jego oczy płonęły spokojniej niż płomienie świec i Klejnot czuł pewno jego obecność jako bliską i pełną miłości. To najpowabniejsza śmierć. Lew zbadał człowieka dokładnie nozdrzami i językiem. Ogonem miarowo uderzał się po bokach.

Potem uniósł łeb i straszliwie ziewnął, nieskończenie znudzony. Klejnot leżał tak, jak wtedy przy ognisku. Gdyby lew go ugryzł, nie znalazłby pod ubraniem ciała, toteż obwąchał go raz jeszcze i odszedł obojętny. Wrócił do puszczy z cudownym, skradającym się wdziękiem, na luźnych stawach, z rozluźnionymi mięśniami swobodnie poruszającymi się pod skórą. Nie spieszył się, odchodził bardzo wolno.

Marianna poczekała, aż zniknie wśród wydm, a potem jeszcze trochę, ale Klejnot nadal się nie ruszał. Czekala i czekała, aż zobaczyła, że poblask piasku zbladł, i kiedy się obejrzała, dostrzegła zapowiedź świtu na niebie, smugi jasnej chmury. Wtedy do niego podeszła. Był ciemny jak zwapniały posąg, ale oczy miał otwarte. Przypomniała sobie wizerunki starożytnych Egipcjan, którzy malowali swoich umarłych z otwartymi oczami, żeby widzieli drogę na tamten świat.

— Cygan, po angielsku „gypsy”, to zniekształcona forma słowa Egipcjanin — poinformowała go chłodnym tonem, żeby zachować dystans.

— Rodzina mojej matki, Lee, to Cyganie, cokolwiek to znaczy, sprzed wojny. Handlowali złomem, przynajmniej tak mówił ojciec, i byli uradowani i zaskoczeni ilością złomu po wojnie, dopóki nie zrozumieli, że nie ma już komu go sprzedawać. Wtedy się zmartwili. Jesteś prawdziwa, czy śnisz mi się? Naprawdę był tu lew i lizał mnie po twarzy?

— Był. Widziałam go.

— Na pewno żyją w puszczy. Najpierw spotykało się je bardzo rzadko, ale niedługo zaczną nam codziennie zagrażać. Często się zastanawiam, jakby to było być jednocześnie zwierzyną i myśliwym i

leżeć w krzakach w ekstatycznym lęku, nasłuchując własnych nieustraszonych kroków. Polizał mnie po twarzy i odszedł.

— Tak. To było niezwykle.

Nic nie mogła na to poradzić. Uklękła obok i objęła go. Kiedy jednak spróbowała wsunąć mu język do ust, odepchnął ją. W lesie rozległ się ryk lwa jak słodki grzmot.

— Świt chyba dziś nie nadejdzie — powiedział.

— Już się zaczął. Wszystko jest, jak trzeba.

On jednak zdjął jeden po drugim pierścienie z palców i zakopał je głęboko w piasek. Po nich kolczyki z uszu.

— Dlaczego to robisz?

— Wracaj. Wracaj i połóż się spać.

— A co z tobą?

— Mnie zostaw.

— Chcesz, żeby lew mnie pożarł?

— Już poszedł, nic ci nie zrobi.

— Pójdę, jeżeli chcesz — zgodziła się nieszczęrze.

— Nie oglądaj się.

Położyła się za wydumą i podglądała go. Wrócił nad skraj wody. Poszła za nim. Światło było blade i posępne, zapowiadało dzień pochmurny i deszczowy. Zdjął z szyi łańcuchy i amulety i położył je na najdrobniejszych falach wracającego przypływu, który najpierw zniósł je wyżej w górę plaży, potem krótko unosił na sobie, aż wreszcie duża fala, fala siódma, schwyciła je w swoje zagłębienie i zniknęły w otchłani morza. Samotny na sierpie piasku Klejnot wydawał się równie maleńki i nieważki jak odrzucona muszla. Wszedł w morze.

Szedł powoli, ale powracające morze podawało go sobie z fali na falę, potknął się podcięty ich wstecznym prądem, ale utrzymywał się

na nogach. Jego włosy pływały rozpostarte na wodzie i wkrótce widać mu już było tylko głowę, jak gdyby ktoś ją odciął i położył na bezbrzeżnym półmisku z prążkowanego srebra. Rzuciła się przez plażę, zerwała z siebie kurtkę, skoczyła w lodowatą wodę i dogoniła go. Wyrывał się jej ze wszystkich sił, a nie był słaby.

Oboje stracili grunt pod nogami i zmagali się w wodzie skłóconej, z powietrzem. Klejnot kłął, chwytając oddech, usiłował ściągnąć ją w głąb i utopić, ale była dla niego za zwinna, a zresztą woda go pokonała. Zachłysnął się i zwiotczał. Wracająca fala przyływu wyrzuciła ich na brzeg i Marianna przeciągnęła Klejnota przez piasek za włosy, aż znaleźli się poza zasięgiem fal. Zemdlał. Ciało miał mokre i zimne jak morskie stworzenie. Położyła się na nim, okryła go sobą i dotąd rozgrzewała, aż wrócił do przytomności. Jęknął i uderzył z taką niespodziewaną siłą, że upadła obok. Odczołgał się i zwymiotował sporą ilość wody. Przemoczona, obolała Marianna przypomniała sobie, że jest w ciąży, i wrzasnęła z wściekłością:

— To już drugi raz mnie uderzyłeś! Jak mogłeś? Jestem w ciąży! Jeżeli jeszcze raz mnie tkniesz, strzeż się!

— Mówiłem ci, żebyś się nie oglądała.

Dokuczało jej zimno. Odszukała suchą kurtkę i zawinęła się w nią. Klejnot trząsał się i płakał, ale czuła do niego taką namiętną nienawiść, że zostawiła go, by sam, bez jej pomocy, dźwignął się na nogi. Najbardziej upokorzyło go to, że to ona go uratowała. Noc się skończyła. Zostawił ją. Pozwoliła, żeby pierwszy ruszył z powrotem do obozu, a sama poszła jego śladem, dygocząc i mściwie szepcząc sama do siebie. W obozie rozpalano pierwsze ogniska.

Weszła do pomieszczenia z dźwigniami, zdjęła mokre ubranie i położyła się. Była wyczerpana i sztywna od zimna. Ku jej zdumieniu Pani Green przyniosła dla niej miskę owsianki i, kiedy jadła, stała nad nią z założonymi rękami.

— Co się stało? — zapytała. — Wygląda jak piekło wcielone.

Marianna przełknęła spokojnie łyżkę owsianki, zanim odpowiedziała:

— Chciał się utopić. Kiedy go wyciągnęłam z morza, uderzył mnie. Niech pani spojrzy na ten siniak.

Pokazała jej ramię.

— O, Boże — skomentowała Pani Green. — A do tego jesteś w ciąży.

— Jeżeli poronię, to przez niego — z satysfakcją oświadczyła Marianna i powtórzyła te słowa głośniej, widząc, że Klejnot podchodzi do drzwi. Woda ściekała mu z włosów, mokre ubranie lepilo się do ciała, wyglądał nędznie jak rozbitek, oczy chwilami miał białe jak perły. Pani Green desperacko osłoniła Mariannę własnym ciałem, ale Klejnot trzymał w ręku tylko strzęp papieru.

— Musi mi to przeczytać.

Podał jej papier i osunął się na ziemię koło niej. Cofnęła się, żeby go, broń Boże, nie dotknąć, i przeczytała karteczkę, parę słów nabażranych na odwrocie jednej z wytłaczanych wizytówek Donally'ego. Wizytówka była wymięta i brudna.

— On pisze: „Na pomoc”.

Spodziewała się jakiegoś gnomicznego aforyzmu. Była rozczarowana. Klejnot naciągnął koc na głowę i' rozkaszłał się.

— Wytrzymaj się — poradziła Pani Green. — Jesteś takiego delikatnego zdrowia.

— Potrzebuje pomocy, no — powiedział ociężale. Tak nasiąknął wodą, że poruszał się jak w zwolnionym filmie, jak gdyby pochodził z

morskiego dna i wyniósł ze sobą na łąd własne środowisko.

— Swoją drogą, w jaki sposób dostałeś tę kartkę?

— Przyniósł ją jego syn. Właśnie przyszedł, wyjada palcami owsiankę z garnka i mówi, że na ojca napadło znieścacka paru żołnierzy i skuli go kajdankami. Tyle co do jego elokwencji. Ale sam chłopak uszedł wolno, pewno uciekł.

— To kłamstwo — stwierdziła Marianna. — I sam o tym wiesz.

Powoli zaczął się wycierać kocami. Pani Green pochyliła się i dotknęła jego czoła.

— Masz gorączkę.

— Płonę — przyznał. — To morze musiało mi zaszkodzić.

Mimo że woda ściekała mu po ramionach, wydawało się, że cały płonie. Marianna czuła, jaki jest rozpalony, bez dotykania go, i nie wiedziała, co robić.

— Więc po tym, jak go wyгнаłem, oczekuje ode mnie pomocy?

— Na to by wyglądało.

— Naprawdę cały jestem w ogniu? — zapytał, jakby nie ufał świadectwu własnych zmysłów.

— Naprawdę.

— Muszę iść porozmawiać z braćmi.

— Zostań tu i nigdzie się nie ruszaj — rozkazała Pani Green.

Marianna poczuła pod sercem drgnienie, jakby ryba plusnęła w sadzawce. Wbiła paznokcie w dłonie, żeby stworzyć przeciwbodziec dla tego poruszenia czułości, ale powiedziała:

— Nie idź.

— Łatwiej to powiedzieć niż zrobić, jestem niewolnikiem sumienia...

Bracia jednak sami go odnaleźli. Johnny, Bendigo, Jakub i Błękitny, Najdroższy bowiem zbyt jeszcze był cierpiący, żeby się poruszać. Z ich wejściem w pomieszczeniu pociemniało, stanęli nad posłaniem jak cztery dorodne i bezimienne młode drzewa.

— Wstawaj — powiedział Johnny. — Ona rzuciła na ciebie urok, to przez nią go wypędziłeś. Zupełnie nie możesz się jej wyrzec, ona cię zjada. Nie jesteś tym, czym byłeś.

Johnny uzbrojony był w cztery różnych wielkości noże, strzelbę na ramieniu i pistolet u pasa. Jego futra nosiły ślady krwi zarzniętych zwierząt.

— Jest chory — oświadczyła Pani Green.

— Zbyt chory, żeby ganiać tego szarlatana — dodała Marianna.

— Nie ma czasu chorować — orzekł Johnny. — Ma do wypełnienia swoje zadania. A ty, suko, zamknij się.

— Nie zamknę się! — krzyknęła. Na to, ku jej zdumieniu, Johnny odstąpił parę kroków do tyłu i nakreślił na sobie znak chroniący przed złym spojrzeniem.

— Ale wstanę i muszę wstać — powiedział Klejnot. — Pójdę i będę szukał swojego nauczyciela, choć to prawie na pewno zasadzka, wymyślona po to, żeby mnie zwieść, i zginę, a ze mną ty, Johnny, i Jakub, i ty też, Bendigo, i Błękitny, któremu nawet nie można powierzyć straży. Mam nadzieję, że będę mógł was wszystkich zabrać ze sobą. I wszyscy razem damy wspaniałego nura w nicość, razem...

— Zostaniesz ze mną, będziesz chował swojego syna.

— Co?! — wykrzyknął Johnny.

— Tak — potwierdziła Pani Green z sytym zadowoleniem.

— Teraz mnie zostawcie, nałożę szminkę na swoje oczy, przystroję głowę i będę patrzył z góry przez okno...

Rodzina Lee należała do starowierców. Pani Green, jak galwanizowana, podjęła jego wątek:

— „...lecz znaleźli po niej tylko czaszkę, nogi i dłonie”.

— Jeżeli ruszysz za Donalym, opuszczę cię.

— Akurat mi zależy.

Zjawił się syn Doktora, zjadał chleb. Po przygodach minionego dnia i nocy z jego płaszcza zostały strzępy.

— Co zamierzasz? — zapytał Klejnota, jak gdyby kontynuował rozmowę rozpoczętą gdzie indziej.

— Mam zamiar umalować twarz. Przynieś mi słoiki z farbami, patrz, jak się zmieniam w straszdyło.

Johnny dał sygnał pozostałym i znikli równie nagle, jak się pojawili. Chłopak odszedł także, odszukać farby wśród bagaży.

— Kiedy Żołnierze zobaczą, jak nadjeżdżasz, pomyślą, że to wcielony diabeł na karym koniu.

— To oni wyglądają jak diabły przez te swoje szklane twarze. Nie sposób uniknąć konsekwencji swojego wyglądu.

— Nie jest to prawdziwy wygląd ani ich, ani twój.

— Ale tak wyglądamy, dopóki chcemy w to wierzyć.

— Nie jesteś człowiekiem, tylko metafizyczną hipotezą.

— Nie pożarły mnie dzikie zwierzęta, morze nie pochłonęło. Jakież mogę wyciągnąć wnioski?

— Lew nie był głodny, a z morza to ja cię wyciągnęłam. Kule zabiją cię na pewno. Zresztą myślę, że i tak jesteś umierający.

Jakby na dany sygnał gęsta czarna krew rzuciła mu się z ust. Przycisnął do warg rękę, ale krew ciekła między palcami na przegub dłoni. Pani Green otarła go szmatką. Chłopak przyniósł słoiki z farbami i odłamek lustra, które umieścił na podłodze. Pani Green wzięła go za rękę.

— W takiej chwili lepiej zostawić męża i żonę samych.

Czerwona farba zrobiona była z tłuszczu zmieszanego z czerwoną gliną, biała z tłuszczu zmieszanego z kredą, a czarna z tłuszczu zmieszanego z sadzą. Klejnot ostrożnie oparł lustro o ścianę, kucnął przed nim i po kolei zanurzał palce w odpowiednich mazidłach. Wszystkie jego ruchy opanowała ociężała powolność. Niezręcznie rozsmarował czerń naokoło oczu. Marianna siedziała prosto, objęła ramionami kolana, sztywna, pełna zawziętości i odrazy-

— Szukałeś dzisiaj w nocy śmierci?

Nie odpowiedział, wiedziała więc, że to prawda.

— Co zrobisz, jeżeli to wszystko prawda i rzeczywiście uratujesz Donally'ego i sprowadzisz go z powrotem?

— Zrobi ze mnie człowieka-tygrysa.

Zobaczyła, jak w jego oczach zapala się ambicja.

Dodała:

— Gdybym ci zdjęła koszulę, chyba bym zobaczyła, jak Adam na koniec przyjmuje wytatuowane jabłko.

— Dziś rano, kiedy spałem, śniło mi się, że kopię sobie grób, a jak się obudziłem, okazało się, że lew mnie całuje. Tej nocy pieścił mnie lew. Lew, król zwierząt.

Rozsmarował czerwień na policzkach.

— Czy wyglądam dosyć strasznie?

— Nie dla mnie.

— I nie dla mnie. Może zapomniałem, jak się to robi. Kiedyś tra-
ciłem rozum ze strachu.

— Wyrzuciłeś wszystkie swoje talizmany i amulety, co zrobisz bez
nich?

— No, wkrótce się przekonam.

Zobaczyła w lustrze jego umalowaną twarz. Sen i rzeczywistość
zmieszały się tak gwałtownie, że roześmiała się histerycznie i zaczęła
powtarzać raz po raz:

— Dziś rano nie jesteś sobą, dziś rano nie jesteś sobą. — Kiedy
skończył się malować, wydobyl z kąta buty i włożył je. — Nie przy-
stroileś dziś głowy.

— Dziś nie.

— Nie jesteś już doskonałym dzikusiem, nie przykładasz dosta-
tecznej wagi do szczegółów. Wcale nie robisz wrażenia. Co się z tobą
stanie?

— Prawie nie widzę — stwierdził. — Pocałuj mnie, zanim pójdę.

— Nie! — krzyknęła, czując niesmak. — Nie potrafię cię szano-
wać, zanadto zsunęła ci się maska.

— Pocałuj mnie.

— Morderca — rzuciła. Okręcił się i runął na nią, padając ciężko i
uderzając ją w twarz. Tym razem dziko oddała mu uderzenie, aż jak
długi upadł na podłogę. — To już trzeci raz — zauważyła z nie-
nawistną satysfakcją. — Ostrzegalam cię. Na nic teraz nie licz. Sam
wiedziałeś, że ci przyniosę śmierć.

Chwilę trwało, zanim odzyskał oddech, a wtedy wyszedł, zatacza-
jąc się, na niepewnych nogach. Pomyślała: „Zniszczyłam go”, i dozna-
ła miłego zadowolenia z siebie, nic już bowiem nie zostało z tamtej
cudownej, wyzwalającej konstrukcji tkanin i barw, którą po raz
pierwszy ujrziała zajęta plądrowaniem spokojnego osiedla. Rozwiała

się jak złuda, która nie może się ostać w jasnych promieniach morskiej latarni. Wstała i zostawione przez niego słoiki z farbą wyrzuciła do zarośniętej zielskiem rozpadliny między dawnymi peronami. Wyrzuciła za nimi i lustro, żeby nie widzieć w nim jego twarzy, jego dawnej, niezwyklej twarzy, która mogła w tym lustrze pozostać, gdzieś bowiem pozostać musiała. Z przyjemnością patrzyła, jak się rozbija. Czuli się ociężała i bolały ją piersi. Weszła do wielkiego pomieszczenia, kiedyś poczekalni, i zastała tam Panią Green siekającą mięso. Tasak wciął się ślisko w czerwoną bryłę i Mariannę zemdliło.

— Nie możemy dziś jechać do rybaków — powiedziała Pani Green. — Zostaniemy tu, zanim Klejnot nie wróci.

— Myśli pani, że on wróci? — zapytała zdumiona Marianna.

— Czy ja wiem? — odpowiedziała Pani Green i po jej zwiedłych policzkach spłynęły łzy. — Nie powinien był w ogóle odprawiać Doktora, powinien był zabić go na miejscu i załatwić to raz na zawsze. To ty go powstrzymywałaś przed zabiciem Doktora, niedobra dziewczyno, to ty.

Marianna opanowała się i wyszła na peron. Siedziała tam Jen, machając nogami spuszczoneymi nad tory.

— Dlaczego masz sińce na całej twarzy? — zapytała. — Klejnot zaczął cię bić?

— Tak.

— To się ucieszysz, jak go już nie zobaczysz.

— Tak — odpowiedziała Marianna, ale stwierdziła, że i ona płacze. Doszła do końca peronu, gdzie płyty chodnika już się urwały, i ruszyła na przelaj przez krzaki. W oddali dostrzegła niewielką grupkę, pięć lub sześć jaskrawych postaci poruszających się bardzo powoli,

prowadzących konie. Dzieliła ich od niej nie więcej niż mila.

Trudno było biec, bo z piasku sterczały kolce ostów i ostre, suche, twarde zielsko, które kaleczyło stopy. Nawet trawa była szorstka i ostra. Dzień był szary jak popiół. Poczula w boku przeszywający ból i zatrzymała się, żeby przez chwilę odpocząć, ale skoro tylko mogła, pobiegła dalej, bo musiała. Biegła, dopóki jej starczyło sił, ale oni wciąż jeszcze byli daleko. Wołała najgłośniejszym głosem, jak potrafiła. Głos jej ochrypl, ale niósł się wyraźnie i syn Donally'ego się obejrzał, dojrzała błysk jego szkarłatnego płaszcza. Musiał coś powiedzieć do Klejnota, bo i on odwrócił głowę, ale potem szybko spojrzął w drugą stronę. Dopóki nie wręczył cugli Johnny'emu, nie zsiadł z konia i nie ruszył powoli w jej kierunku, trwała w jakiejś całkowicie oderwanej teraźniejszości, w momencie czasu ostro oddzielonym od przeszłości i przyszłości i jaskrawo od nich różnym. Pot ściekał jej wzdłuż kręgosłupa, pod stopami czuła każde z osobna źdźbło trawy i drobinę piasku.

Ogarnęło ją poczucie najwyższego szczęścia, kiedy zobaczyła, że jest zdolna przyciągnąć go ku sobie jakąś niewidzialną nicią, a on przybliżył się całkowicie pozbawiony własnej woli. Kiedy jednak zbliżył się na tyle, że mogła już dojrzeć rozmazane na jego twarzy farby, zobaczyła też, że i on kreśli na sobie znak chroniący przed złym spojrzeniem. Nagle rozpoznała ten znak.

— Kiedyś nazywano go znakiem krzyża — powiedziała. — Na pewno nauczyli go was starowiercy.

— Czy po to mnie zawróciłaś, żeby mi przekazać tę bezużyteczną informację?

Kiedy był już na tyle blisko, że mogła go dotknąć, przesunęła mu palcem po policzku i farba dostała się jej pod paznokieć.

— Zrozum, ja nawet nie bardzo kochałam swojego brata.

Obruszył się, dotknięty w najczulsze miejsce.

— A kiedy mi się to później śniło, a śniło mi się często, przypominałam sobie tylko ciebie. Męczyło mnie to.

Podniósł oczy i popatrzyli na siebie ze zdumieniem i podejrzliwością jak przebrani nie do poznania spiskowcy, którzy się nie nauczyli znaków rozpoznawczych, obojgu bowiem nie wydało się możliwe, ani nawet pożądane, żeby świadectwu ich zmysłów można było uwierzyć i żeby jedno mogło znaleźć w drugim jakąś obietnicę ratunku w tym wrogim świecie. Poza tym Klejnot był tak bardzo zmieniony, stracił tyle ze swojej godności człowieka wyrafinowanego, któremu zabrakło sprzyjających okoliczności, tak samo jak ona, w łachmanach teraz, wymizerowana z braku snu i wskutek swojego stanu, i brudna.

Tego dnia słońce się nie pokazało. Kiedy wrócił do oddziałku, postacie tych kilku mężczyzn zaczęły się stopniowo zmniejszać, aż zniknęły, i Marianna czuła, jak zmniejsza się wraz z nimi i ginie wśród groźnego ładu. Kiedy zniknął jej z oczu, ze zdumieniem stwierdziła, że odrywa się od własnego ciała i staje mu się obca. Jakby jej ręce i nogi były dziwnymi przedłużeniami, nie należącymi chyba do niej, a oczy bezkształtnymi, galaretowatymi bryłkami. Straciła też zdolność myślenia.

Zeszła sama na brzeg morza i ruszyła na poszukiwanie miejsca, w którym Klejnot zakopał pierścienie. Morze jednak podeszło teraz wysoko i lizało same wydmy. W dzień było brunatne jak bezkresna preria, barwy lwa. Nie zapuszczała się aż do latarni, tylko obserwowała morze, które wciąż się zmieniało i wciąż pozostawało takie samo.

Daleko dojrzała raz rybacką łódź z czarnym żaglem, ale nie mogła na niej rozróżnić ludzkich postaci. Została tam tak długo, aż zaczęło się ściemniać, i przez cały dzień nie mogła o niczym myśleć. Pani Green powitała jej powrót z nieodgadnioną twarzą. Wielką metalową łyżką mieszała w kotle z duszeniną.

— Ja to zrobię — powiedziała Marianna.

Staruszka dobrze ją zrozumiała, oddała łyżkę i roześmiała się gorzko.

— Nie sprowadzisz go z powrotem przez to, że mu ugotujesz jedzenie — powiedziała. — To się nazywa magia sympatyczna. A jeżeli wróci, przyprowadzi ze sobą Doktora potężniejszego niż kiedykolwiek.

Swoim zwyczajem ze wszystkim się już pogodziła. Już gotowa była szukać własnych rozstrzygnięć, jeżeli to się okaże konieczne. Marianna dalej mieszała w garnku. Jen z całą bandą dzieciaków wspięła się na dach dworca i wyglądała jeźdźców. W środku palenisko odbijało się w zamglonym, popękanym lustrze na ścianie, widać w nim także było Mariannę, nie do rozpoznania dla samej siebie, pochyloną nad kotłem. W obłoku pary ukazywały się zjawy mężczyzn, kobiet i dzieci z twarzami koni i lwów. Kłaniał się jej pokryty szramami mężczyzna, którego zabiła na drodze. Twarz niemal zapomnianej niani uśmiechała się triumfalnie, ponieważ w pewnym sensie jej proroctwo się spełniło, a wreszcie stanęła na powrót przed ojcem, który stopił się nie do rozróżnienia z obrazem ślepej latarni morskiej i zniknął wśród powoli unoszących się baniek powietrza. Weszła Jen i pociągnęła ją za rękaw.

— Widać ich! Widać ich!

— Jest z nimi?

— Za ciemno, żeby dojrzeć.

Jedzenie było prawie gotowe. Zamieszała łyżką i wreszcie wszedł syn Donally'ego. Pomieszczenie było pełne dymu, zmateralizował się w nim jak jedna ze zjaw nad garnkiem. Myślała, że pomalował się na czerwono, ale to była krew, pokrywała go całego, do pasa był nagi, nie miał już płaszcz. Wszedł na chwiejnych nogach.

— Gdzie tamci? — zapytała Pani Green.

— Doglądają koni.

Marianna pochylila się nad paleniskiem, skubnęła kawałeczek mięsa. Było gotowe.

— Czy to krew Klejnota? — zapytała chłopca.

Pociągnął nosem, pochlipując, i zaskowyczał twierdząco. Upadła i jedzenie się rozlało. Psy zaczęły sobie wydzierać zanurzone w sosie mięso z posadzki, a Pani Green pomogła jej wstać i wyprowadziła ją do sąsiedniego pomieszczenia. Znow położyła się na sienniku, na którym miała odtąd sypiać samotnie.

— Odejdź — powiedziała, ale chłopiec został i zapalił lampkę. Na zewnątrz zaszurały stopy.

— Powiem ci, co zrobią, zbiorą się i szybko ruszą dalej, bo jadą tu Żołnierze i Johnny mówi, żeby im ciebie zostawić, niech cię biorą.

— Och, nie — zaprotestowała. — Tak łatwo się mnie nie pozbędą. Zostanę i napędzę im takiego stracha, że zrobią wszystko, co im każę.

— Co? Zostaniesz królową?

— Zostanę Tygrysią i będę nimi rządziła żelazną ręką.

Po chwili opowiadał dalej:

— Rozdzielili się, żeby przeszukać okolicę, a Klejnot i ja wpadliśmy prosto na Żołnierzy, to było w jakimś lasku. I trafili go w brzuch, ale wtedy nadjechali tamci i wypłoszyli Żołnierzy, tylko że jeśli chodzi o Klejnota, to już był gotów.

- Jak?
- Szybko, ale boleśnie. Johnny i tamci dosłyszeli krzyk i przyjechali galopem.
- Gdzie był twój ojciec?
- Nigdzie nie było go widać.
- Więc wszystko na próżno albo to była pułapka.
- Nic o tym nie wiem. — Rozjaśniony intuicją, dodał: — Ale myślę, że musieli go zastrzelić, naprawdę tak myślę.

W chwilę później dokończył:

— Och, to było straszne, a Johnny i tamci zupełnie jak opętani. Było tylko dwóch Żołnierzy, Klejnot i ja czołgaliśmy się przez ten las, pachniało sosną, a kulki wyleciały z tego lasu i on upadł, a nadjechali tamci. Nie wiem nawet, czy to była zasadzka, może w ogóle chcieli tylko upolować kilka gołębi.

— Jak to się stało, że cały jesteś w jego krwi?

— Wił się i skręcał, i gryzł wargi, żeby nie krzyknąć, na wypadek, gdyby ich było więcej, a ja go chyba przytrzymałem, żeby się nie rzucał. Nikt inny nie miał czasu, on kłął i pomstował, a oni grzebali się obok w jakimś dole, gotowi go do niego wrzucić, ale ja go trzymałem i poczułem, że odchodzi. Trzymałem go, a potem już go nie było, więc położyłem mu kamyczki na powiekach, żeby mu zamknąć oczy. I tyle.

Wydawał się głęboko i dziwnie zaskoczony szybkością i łatwością, z jaką Klejnot odszedł z tego świata. Spojrzał pytająco na Mariannę i krótko zachichotał. Włosy sterczały mu naokoło głowy, sztywne od zaschniętej krwi.

— I tyle — powtórzył i zamilkł.

